

**STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ!** Ta powieść jest pełna magii, poezji, baśniowości, wymieszanych z typowym dla autorki czarnym humorem. Nie mogą się od niej oderwać nawet ci, którzy nie wierzą w cuda.

Lilliana Fabisińska, pisarka

Natasza Socha

# DWANAŚCIE NIEDOKOŃCZONYCH SNÓW



Pascal



Natasza Socha



DWANAŚCIE  
NIEDOKOŃCZONYCH SNÓW



Pascal



Autor: Natasza Socha

**Redakcja:** Joanna Machajska, Agnieszka Pietrzak

**Korekta:** Pracownia Cogito, Katarzyna Ziola-Zemczak

**Skład/przygotowanie e-Booka:** Mariusz Kurkowski

**Projekt graficzny okładki:** Magraf

**Zdjęcia na okładce:** Arcangel: JASENKA ARBANAS; Dreamstime: Fotoplanner

Zdjęcie autorki: Najka Photography

**Redaktor prowadząca:** Katarzyna Kocur

**Redaktor projektu:** Agnieszka Filas

**Redaktor naczelna:** Agnieszka Hetnał

© Copyright by Natasza Socha

© Copyright for this edition Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakiemukolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2017

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl

www.pascal.pl

ISBN 978-83-8103-156-1

*To, co w snach jest najpiękniejsze, to niewiarygodne spotkanie ludzi i rzeczy, które w normalnym życiu nigdy by się nie spotkały.*

Milan Kundera

## Rozdział 1

### MOMO

Momo prowadziła życie pudełkowe. Każda rzecz, każda decyzja, każda czynność miały swoje odpowiednie miejsce, od początku do końca zaplanowane. Kiedy gotowała obiad, wchodziła do pudełka z napisem „kuchnia” i wykonywała tylko te czynności, które były niezbędne. Żadnej spontaniczności, żadnego rozlewania mleka na blacie, żadnych resztek jedzenia w porę niesprząniętych czy też zapomnianego i zaschniętego ogórka w lodówce. Kiedy gotowała, nic jej nie kipiało, kiedy otwierała puszkę, nic nigdy złośliwie nie prysnęło, nawet olej był dość posłuszny i skwierczał na patelni dokładnie tyle, ile musiał. A patelnię miała jedną – średniej wielkości. Dwa garnki niezbyt duże oraz biały garnuszek na jajko. Cztery noże oraz jedną deskę do krojenia. Momo wchodziła do kuchni na palcach, jakby chciała, żeby żaden sprzęt jej nie zauważył i nie szturchnął znacząco. Nie każdy musi lubić gotować, nie każdy też się do tego nadaje. Są ludzie, którzy stają się jedzeniem, którzy na dźwięk słowa „pularda” lub „filet z halibuta” dostają ślinotoku, a kiedy słyszą „*carpaccio* z dyni z wianuszkami krewetek aromatyzowanych świeżymi ziołami, w łożu z *liści młodego szpinaku*”, dostają drgawek gastronomicznego zachwyty.

Nie. Momo nie lubiła pretensjonalności, napuszenia ani żadnych potraw serwowanych przy akompaniamencie sałat. W ogóle nie lubiła jeść.

Z kuchennego pudełka przechodziła do następnego, które można było nazwać salonem, ale na takiej zasadzie jak określenie miniaturowej łazienki pokojem kąpielowym. Było to dość małe pomieszczenie, urządzone bardziej niż minimalistycznie. Stała w nim biała kanapa, drewniany stolik i to chyba było wszystko. Nie, jeszcze na ścianie wisiał obraz, przedstawiający czarne koło na białym tle. Momo nie posiadała telewizora, dlatego kanapa stała naprzeciwko dużego okna, przed którym siadała z kubkiem kawy zbożowej i patrzyła przed siebie, a właściwie w okna budynku, który stał po drugiej stronie.

Momo to oczywiście nie jest imię. To przezwisko, pseudonim, który kiedyś wymyślił tata i tak już zostało, w przeciwieństwie do samego taty. On bowiem zniknął na zawsze, choć nie w znaczeniu śmiertelnym. Zresztą tego też nie wiedziała na pewno. Mama uważała jednak, że żył gdzieś tam, wolny i szczęśliwy, a Momo zachowała po nim kilka zdjęć oraz pseudonim, bo jakoś dziwnie do niej pasował. Poza tym to dość dziecinne obrażać się na tak fajne przezwisko.

Momo mieszkała na drugim piętrze, podczas gdy na parterze znajdowało się kolejne pudełko z jej życia, które nazywała galerią. Lub galerio-pracownią. To właśnie tam przesiadywała najczęściej, tworząc kolejne dzieła sztuki, ciesząc się umiarkowanym powodzeniem, które i tak ją szalenie dziwiło, bo Momo nie do końca wierzyła w cokolwiek, co sama wymyśliła. Czasem jednak los jest przewrotny i nawet jeśli ktoś myśli „nie”, dostaje dla odmiany coś na „tak”.



To bywa mylące i trochę niepokojące, bo przecież łatwiej byłoby po prostu odetchnąć z ulgą, kiedy nasz sceptycyzm i nieufność znajdują swoje odbicie w rzeczywistości.

Czy naprawdę ktoś kupi naszyjnik ze starych widelców?

Pierścionek z gwoździa?

A może paterę z nóżką ze spatynowanej chochli?

A jednak od czasu do czasu kupowali. Rzadko, trochę nieufnie, ale w końcu decyzja zapadała. I niemal zawsze wołali: „och!” na przemian z „ach!”, a czasem nawet wydawali oba te okrzyki naraz.

Momo Design. Sztuka użytkowa. Recycling niepotrzebnych rzeczy.

Cudownie było przywracać do życia stare sztuczce, naczynia, buty, paski od zegarków, lampy czy zamki błyskawiczne i fundować im swoistą reinkarnację, po której wracały na salony jeszcze piękniejsze niż przedtem. Odświeżone, nowoczesne, a jednak z tchnieniem historii i pamięcią dawnych występów.

– Och! – to właśnie jeden z tych okrzyków, który wydała z siebie pewna kobieta na widok ławicy rybek uciekających przed rekinem.

Rybki zrobione były z łyżeczek do herbaty z uchwytami zabawnie wygiętymi na kształt płetw, a rekina odgrywał stary nóż z ząbkami. Całość umieszczono na pozbijanych ze sobą sztachetach ogrodowych, wymalowanych w spokojne odcienie zieleni i turkus.

Momo uśmiechnęła się skromnie, spuszczając wzrok na drewnianą podłogę. Nie umiała przyjmować komplementów, zupełnie jakby na nie nie zasługiwała.

– To będzie cudowny prezent pod choinkę dla mojego męża. Bo on jest wędkarzem. To znaczy jest informatykiem, ale z zamiłowania wędkarzem. Fascynuje go to nieruchome siedzenie nad brzegiem jeziora, bo jest całkowitym zaprzeczeniem szybkości, z jaką zmienia się cały ten komputerowy świat – powiedziała kobieta i dodała dla odmiany: „ach!”.

Dzieło zostało sprzedane, zapakowane w szary papier, na którym Momo szybko wymalowała kilka rybek, i owinięte zwykłym sznurkiem z trzema gałązkami świerku dla ozdoby. Dziewczyna chciała dodać jeszcze małą, błyszczącą bombeczkę, ale po chwili się rozmyśliła. Nigdy nie lubiła przesady i egzaltacji, nawet w pakowaniu prezentów. Chętnie stawiała w poprzek bożonarodzeniowej afektacji i wszystkim, co błyszczące, słodkie i pachnące cynamonem. Owszem, święta rządzą się swoimi prawami, ale to nie oznacza jeszcze, że należy gwałcić własne.

– Wróć do pani – obiecała kobieta na pożegnanie, poprawiła szalik i umieściwszy pod pachą dzieło z rybkami z łyżeczek, opuściła pudełkową galerię Momo.

To dobrze. Przed świętami każda gotówka zmierzająca w naszym kierunku jest witana równie chętnie jak kiedyś Trzej Królowie.

Pierwszego grudnia.

Dzień, w którym miesiąc rozpoczyna zawrotny bieg w kierunku Wigilii, przyspieszając przed samym końcem do tego stopnia, że można czasem przez nieuwagę po prostu się potknąć i wylądować tuż po świętach, nie pamiętając smaku barszczu. Chaos, zamieszanie, okrzyki, nerwy, a wszystko przeplatane kolędami i dekorowaniem pierników. Falstarty barszczowo-grzybowe, lądujące w zamrażalnikach, zamówienia pierogowe, obmyślanie ciast, które i tak zawsze kończy się na serniku i makowcu. Powtarzalne i od lat niezmiennie.

I dobrze. Momo nie miała nic przeciwko świętom Bożego Narodzenia i całemu temu

rozgardiaszowi. Wystarczyło po prostu nie brać w tym udziału, tylko stać z boku i bacznie obserwować, a potem ze spokojem wejść w styczeń, kiedy świat zwalnia i nie nuci już pastorałek. Grudzień wygrał los na loterii. Zimny, mokry, często deszczowy i depresyjno-ponury miesiąc, o którym nikt tak jednak nie mówi. Bo przecież na jego końcu błyszczą gwiazdka, pachnie choinka i bieli się obrus na stole.

Momo usiadła za metalowym stołem, wyciągnęła duże łyżki z wyciętymi pośrodku owalnymi otworami i zabrała się za polerowanie kantów. Łyżki były przepołowione – kiedy zostaną dokładnie wyszlifowane, należy połączyć ich dwie części silikonowym sznurkiem, a następnie przeciągnąć go przez otwór i w ten sposób naszyjnik jest gotowy. Prosty, minimalistyczny i na pewno daleki od pełnej przepychu Pandory. Prosty, minimalistyczny jak sama Momo i jak życie pudełkowe, bez wszystkich tych gadżetów, które wypełniają domy coraz bardziej i szczelniej, aż pęcznią ściany, a ludzie tracą oddech.

Przeciągnęła przez jedną łyżkę czerwony silikonowy sznurek, a przez drugą – zielony. Powiesiła oba naszyjniki na gwoździach i doczepiła do nich karteczkę z ceną. Sześćdziesiąt pięć złotych za sztukę. To cudowne, że coś, co wylądowało już na śmietniku, zyskało nie tylko drugie życie, ale i znacznie wyższą cenę.

A tak przy okazji – Momo nie wzięło się z niczego. Monika Morys. Mo Mo. Momo.

## Rozdział 2

### SEN NUMER JEDEN

*Feeria barw.*

*Stoję pośrodku wielkiej katedry, a może to jednak jest czyjś dom?*

*Z prawej dobiega mnie głos przekonujący, że do życia w zgodzie z naturą człowiek potrzebuje wszystkich kolorów. Mówi, żebym zjadła tęczę, a wtedy zrozumie, co ma na myśli. Mam szukać Brokatowego Upiora, który wyjaśni mi, dlaczego człowiek musi połykać barwy świata.*

*Cytat z Goethego, który nagle pojawia się na lodówce: „Kolory wypełniają przestrzeń między światłem a ciemnością”.*

*Lodówka? W katedrze? A może to jednak jest czyjeś mieszkanie, czyjś pałac wypełniony przestrzenią? Chyba nigdy nie słyszałam o lodówkach stojących w miejscach kultu.*

*Kiedy podchodzę bliżej, cytat nagle się rozplywa, zupełnie jakby ktoś starł go gąbką. A ja znajduję się w swoim salonie, który nie jest już biały. Kolory zmieniają się w nim przy każdym mrugnięciu powiek i nawet jeśli to mruganie jest znacznie dłuższe i wolniejsze niż w rzeczywistości, to i tak odnoszę dziwne wrażenie, że przed moimi oczami pojawia się cała paleta barw wraz z wszystkimi ich odcieniami.*

*Ktoś siedzi przy stole, ale to nie jest ani stolik w moim pokoju, ani też w kuchni. Je rękami i oblizuje palce. Nie lubię tego, ale teraz patrzę z fascynacją. Zielony sweter.*

*Zielony?*

*A może to jest turkus?*

*Albo raczej malachitowy?*

*Sweter nagle znika, podobnie jak stół i brudne od jedzenia ręce.*

*Mama?*

*A co ona robi w moim śnie?*

*– Zakonnicy i cyrulicy owijali chorych w kolorowe płótna, z kolei picie wody z żółtego dzbana zapobiegało gruźlicy – mówi mama spokojnym, jednostajnym tonem.*

*Ten sweter chyba właśnie był zielony, choć zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, czy miał jakiś wzór. I kto go nosił. Na pewno mężczyzna, bo te ręce były duże, a palce bez problemu zginały...*

*Co to było?*

*Jakieś muszelki?*

*Wpadam w turbulencje. Moje nogi i ręce kręcą się, jakby były końcówkami od miksera, a głowa podskakuje mi jak na sprężynie.*

*Czy ja lecę samolotem? Ale przecież nigdy tego nie robiłam! Nie lubię samolotów, nie ufam im, nie wierzę, że potrafią pokonać grawitację.*

*Na pewno jednak unoszę się w powietrzu. Płynę w stronę jakiegoś mostu, którego część jest*



*widoczna, ale cały dół tonie we mgle. Słyszeć chłopot wody, dźwięki budzącego się miasta. Gdzie jestem teraz? Czy szukam upiórów?  
I dlaczego tak tu pachnie kawą?*

Była czwarta nad ranem. Momo przebudziła się gwałtownie, usiadła na łóżku w swojej pudełkowej sypialni i mocno ścisnęła oburącz głowę. Cisza zajrzała jej w oczy i przysiadła na pościeli. Żaden dźwięk nie próbował przedostać się do środka, żaden ton nie przypominał, że już nie śni.

Czy naprawdę się obudziła?

Wyciągnęła przed siebie ręce i spojrzała na swoje dłonie. Wzrok przyzwyczał się już do ciemności, więc dostrzegła wystające kłykcie i paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem. Wysunęła spod kołdry ciepłe stopy i poruszyła palcami. Podkurczyła kolana i objęła je rękami.

Westchnęła. I posłuchała własnych myśli.

Nie chodziło wcale o to, że sen był intensywny, że składał się z miliona większych i mniejszych kawałeczków, które w ostateczności wypełniły ją niemal całą, aż na moment straciła oddech. Tu nie było pudełek do połowy pustych, dających spokój, przestrzeń i poczucie wolności. Każdy centymetr kwadratowy został wypełniony, jakby nadmiar wolnego miejsca był jakimś grzechem.

I nie chodziło też o to, że sen potrząsnął nią nagle tak mocno, że musiała się obudzić. Usiąść na łóżku i uruchomić proces myślowy.

Dlaczego, na Boga, przyśnił jej się po raz kolejny? Zupełnie jakby do niej wracał, zaczepiał i pytał oburzony, czy czasem nie nadszedł już czas, żeby go wreszcie zrozumieć.

Momo odrzuciła białą kołdrę i wsunęła stopy w białe drewniaki. Dlaczego sen nie wspomniał nic o bieli i czerni? Dlaczego z uporem pokazywał wszystkie te kolory, które były pomiędzy?

Momo miała białą szafę, a w niej siedem czarnych swetrów, trzynaście czarnych podkoszulków, w tym siedem z krótkim, a resztę z długim rękawem, pięć par czarnych spodni, dwie czarne tuniki, dwie czarne sukienki, czarny płaszcz i czarną puchową kurtkę. Żaden kolor nie miał prawa przeciąć tej czerni, pozbawić ją absolutnej dominacji i zapaskudzić swoją obecnością. Momo nie uznawała pstrokacizny, przy czym pstrokaty był już dla niej wzór w czarno-szarą kratkę, nie wspominając o jakichkolwiek innych kolorystycznych odchyleniach. Czerń była bezpieczna, mądra, spokojna i bezkonfliktowa. Można się było za nią schować, udawać, że się nie istnieje, a jednak żyć całkiem normalnie.

Na drugim biegunie stała równie zrównoważona biel, która nie zmuszała do niczego. Nie trzeba jej było lubić, przyzwyczajając się do niej, stymulować mózgu agresywnym kolorem. Po prostu była.

Momo przeniosła się do kuchni, wykonując dokładnie siedem kroków. Usiadła za białym stołem i sięgnęła po kubek z wodą, który stał na blacie. Upiła kilka łyków, a potem wyprostowała się i spojrzała z premedytacją w okno. To wtedy właśnie sny ulatują z naszej głowy i pozostawiają po sobie tylko rozmyte wspomnienie, a im dłużej patrzemy w okno, tym szybciej zapominamy o tym, co nam się przyśniło. Rozproszenie. Dezintegracja obrazów. Rozszczep podświadomości. I nawet jeśli ten sen wwiercał jej się w głowę, to jednak Momo odniosła wrażenie, że już nie jest tak wyraźny, jak jeszcze dziesięć minut temu. Ulatywał po trochu, by wreszcie pozostawić po sobie pojedyncze pasma, o których niewiele mogła powiedzieć.

Nie pamiętała swetra ani jego koloru.

Ten mężczyzna coś jadł...

A czego chciała mama?

Z opadającymi powiekami nie ma sensu walczyć, zwłaszcza o czwartej nad ranem. Momo wróciła więc do swojej sypialni, otuliła się kołdrą i pozwoliła sobie śnić dalej. Tym razem o czymś zupełnie innym. Nieobciążającym myśli i łatwym do strzepnięcia zaraz po przebudzeniu.



Rozwódka. Tak, Momo była rozwódką i po kilku miesiącach w końcu zaakceptowała to paskudne słowo. Początkowo wołała być kobietą bez męża, tak jak jej mama, ale po jakimś czasie zaczęła ją uwierać swoista nieprzejrzystość tego statusu. Rozwód stawiał kropkę nad i, wyjaśniał niedomówienia i pozwalał ruszyć do przodu. Kobieta bez męża, ale i bez rozwodu żyje w ciągłym zawieszaniu, nie bardzo wiedząc, jak się przedstawiać. Mama w ogóle miała z tym trudność, bo nigdy nie była żoną i kiedy jej umowny mąż odszedł gdzieś tam, byle daleko, kompletnie nie wiedziała, jaka jest jej pozycja w świecie. Ani rozwódka, ani wdowa. Singielka też chyba nie.

A Momo lubiła jasne sytuacje.

– Jestem rozwiedziona.

Z drugiej strony było to przyznanie się do życiowej porażki, chociaż czy rzeczywiście? Najpierw miała być miłość „na zawsze”, zresztą później w zasadzie też, tyle że zmienił się obiekt uczucia. „Na zawsze” jednak pozostało, więc chociaż w tym względzie jej były mąż nie kłamał.

Momo nie należała do kobiet, które mają wyrzuty sumienia, choć w tym wypadku większe znaczenie odegrała jej wrodzona wewnętrzna uczciwość. Czy rzeczywiście cierpiała, kiedy jej mąż zaproponował separację? Cierpiała jej urażona duma, owszem, jakieś dziwne poczucie zepchnięcia na dalszy plan, czego nikt z nas przecież nie lubi. Przypominało to trochę klucz żurawi. Ptak, który znajduje się na czele, po jakimś czasie ustępuje miejsca kolejnemu. Oczywiście w przypadku ptaków ma to swoje uzasadnienie – rola przewodnika stada jest przecież ogromnie męcząca, więc trzeba się zmieniać, żeby dolecieć do celu. U ludzi cel jest zupełnie inny, a poszczególne członkinie klucza mają głęboko w dupie swoje poprzedniczki.

– Zakochałeś się? – spytała tak po prostu Momo, patrząc, jak jej mąż zaczyna się wiercić we własnej skórze.

Mężczyzna przyciśnięty do muru zawsze czuje się niekomfortowo, bo wie, że nie ma żadnego pola manewru. Musi powiedzieć prawdę, żeby atakujący zwolnił uścisk.

– Nie planowałem tego.

Roześmiała się.

Kto planuje zakochanie?

– Ale przecież wiesz, że nam się nie układało.

Pokiwała głową.

Rzeczywiście, wiedziała. A przecież często jest tak, że kobieta jednak nie wie, nawet nie przeczuwa. Co więcej, wydaje jej się, że układanka, którą tworzy od samego początku związku, staje się coraz bardziej wyraźna, coraz bardziej czytelna i stabilna, gdy tymczasem druga osoba

widzi to zupełnie inaczej. Poszczególne fragmenty przestają do siebie pasować i zamiast jednoznacznej wizji pojawiają się jakieś efemeryczne twory jak z obrazów Pollocka. Ekspresjonizm abstrakcyjny. Jego złośliwość polega na tym, że można go dowolnie interpretować. Jedni widzą w nim dialog damsko-męski, inni tylko rozlaną na płótnie farbę. Jej mąż najwyraźniej zobaczył to drugie, ale ona chyba też...

Małżeństwo Momo było bardzo stonowane, z przewagą bieli. Nawet oświadczyzny były jakieś takie rozmyte, zupełnie jakby główni aktorzy nie do końca nauczyli się swoich ról.

– A co myślisz o ślubie? – to w sumie mogło być pytanie retoryczne, a jednak Momo odpowiedziała na nie nieznacznym skinieniem głowy.

Dlaczego nie?

Znali się trzy lata i wszystko wskazywało na to, że całkiem dobrze do siebie pasowali, a Momo nie chciało się dłużej sprawdzać czy rzeczywiście. A jeśli chodzi o beczkę soli, to ona nie soliła nawet potraw, a cóż dopiero związku. Więc powiedziała „tak”, a on kupił obrączki. I weszli w to małżeństwo jakoś tak miękko, bez entuzjazmu, ale i bez strachu. Jej rodzice nigdy nie wzięli ślubu i jak to się skończyło? Może stempel na papierze okaże się lepszą gwarancją niż zwykłe obietnice.

Zrobiła kolejny krok do przodu.

Rozpoczęła kolejny etap, w którym dwa „osobno” stają się jednym „razem”.

Podobno istnieją ludzie, którzy wydają się predysponowani do kłótni. Nie umieją inaczej żyć i nawet nie próbują. Jeśli coś idzie nie po ich myśli, wpadają w furję. Typy osobowości z charakterystycznym brakiem poczucia tożsamości. Impulsywni, egzaltowani, wybuchowi, z teatralnym podejściem do błahych spraw. Kiedy widzą brudną łazienkę, dostają ataku hysterii. A gdy partner ma inne zdanie, popadają w spazmy. Niemal każda sytuacja życiowa wywołuje w nich paranoidalne reakcje. Momo i jej mąż byli całkowitym przeciwieństwem takich osób. Czuli się raczej predysponowani do kompromisów, a to wróży dobrze każdemu związkowi.

Pod warunkiem jednak, że od czasu do czasu ktoś rozbije przynajmniej jeden talerz. Dla życiowej równowagi.

Mąż Momo zajmował się tłumaczeniami tekstów specjalistycznych, w tym katalogów laboratoryjnych, opisów patentowych czy specyfikacji technicznych produktu i większość czasu spędzał przed komputerem, w swoim osobistym pudełku zwanym biurem. Momo nie zaglądała do niego zbyt często, ponieważ panował tam specyficzny nieład, a ona bardzo tego nie lubiła. Nie chciała jednak porządkować cudzego pudełka, wystarczało jej, że zamykała wieko. On z kolei uśmiechał się tylko na widok współczesnej sztuki użytkowej swojej żony i chyba nigdy niczym tak naprawdę się nie zachwycał.

– Naszyjnik ze starych guzików? Torebka z dawnych okładek na zeszyty? – kręcił z niedowierzaniem głową i nie mówił ani „och!”, ani „ach!”.

Momo nie chciała wprowadzić nieszczerých zachwyków, a jednak odrobinę kłuło ją w prawym boku, że oficjalnie najbliższa osoba w jej życiu zachowuje dystans. Ale i to potrafiła sobie jakoś wytłumaczyć. Największym błędem, jaki popełniamy wobec drugiej osoby, są wygórowane oczekiwania. Co gorsza, one nieustannie rosną. Ciągłe chcemy więcej, bardziej i mocniej. I żeby było bez chrapania, bez chrząkania, bez sikania zbyt głośno i bez tej całej fizjologii, która jakoś wcześniej nam umknęła. Momo nie była małostkowa. Chciała tylko, żeby jej mąż od czasu do czasu powiedział „och!”, dotknął naszyjnika ze spinaczy, krzesła z butelek i uniósł brwi ze zdumienia, bo on by tak nie potrafił.

No i nie potrafił.

Pochwalić.

Ich rozmowy podczas wspólnych posiłków były zdecydowanie mniej zakręcone niż makaron, który jedli, i dużo mniej aromatyczne niż stojące na stole wino.

– Co jest najważniejsze w tłumaczeniu technicznym?

– Spójność. Każde tłumaczenie tworzone jest przy użyciu specjalnego oprogramowania, dzięki czemu glosariusz do tekstu może być wielokrotnie wykorzystywany.

Momo uprzejmie kiwała głową, zawieszając się przy słowie „glosariusz”.

– Cieszę się, że już niedługo wakacje, może wybierzemy się w końcu nad morze? – zmienił temat mąż.

Tyle że Momo nie znośła podróży. Najbardziej przerażała ją wizja chaosu i pewnych nieprzewidywalnych sytuacji, które zawsze towarzyszą osobom podróżującym. Opóźnienia, nieplanowane przesiadki, pokój ze zdublowaną rezerwacją, pogoda, która nie współgra. Gniazdo os, w które można wdepnąć, zaskroniec, przepalone żarówki, brak prądu lub burza, która wszystko zniszczy. Nie sposób jest dokładnie zaplanować urlop, a im więcej niewiadomych, tym większe niebezpieczeństwo, że coś się nie uda. Momo bardzo nie lubiła otwierać drzwi, nie mając pewności, że za nimi jest równie bezpiecznie.

No i było coś jeszcze. Strach przed zgubieniem się.

– Tak, morze jest piękne latem – odpowiadała jednak z uśmiechem, po raz kolejny wybierając wodę zamiast wina.

– Nie pijesz?

– Nie mam dzisiaj ochoty.

Nigdy nie miała. Woda była stabilna i zawsze smakowała niczym. A winem należało się delectować, rozsmakowywać w nim i zatopić. Nie każdy to lubi.

I nie musi.

– Spotkałem dzisiaj twoją mamę.

– Wiało wczoraj jakoś tak gwałtownie.

– Sąsiedzi kupili psa.

– Listonosz przewrócił się na naszych schodach.

Słowa mijały się, podobnie jak ich kontekst. Jedno nie oczekiwało od drugiego współudziału, chciało po prostu wyrzucić z siebie kilka zdań, które dopasowywały się do kolacyjnej atmosfery, nie szarpiąc jej, nie burząc i nie wnosząc niczego nowego.

I dlatego właśnie dzisiaj była rozwódka.

## Rozdział 3

### PATI

A gdyby tak zespawać ze sobą łyżki i widelce? Naprzemiennie, w koło. Dorobić od spodu trzy nóżki i w ten sposób uzyskać paterę na owoce?

Momo uśmiechnęła się do tej koncepcji, jak zawsze, kiedy jakaś myśl wizualizowała się przed jej oczami, aż w końcu stawała się trójwymiarowym produktem końcowym, dokładnie takim, jaki powstał w jej głowie.

– Cześć.

Mama.

Zagłędała do swojej córki nieregularnie, czego Momo oczywiście bardzo nie lubiła. Spontaniczność rodzi chaos, a w chaosie człowiek się gubi. Ale mama i tak tylko machała ręką na wszelkiego rodzaju sugestie, że przecież wystarczy zatelefonować.

– Daj spokój, przecież wiem, że jesteś w galerii. A nawet gdyby cię nie było, poszłabym po prostu gdzieś na kawę. – Wzruszała tylko ramionami.

Na mamę mówiło się w domu Pati i tak też zostało do dzisiaj.

Tak, to również wymyślił tata. Patrycja, Pati, to przecież logiczne. Tata w ogóle miał fajne pomysły, oprócz tego ostatniego, kiedy po prostu wyszedł z domu i dziwnie się zgubił.

Pati z ciekawością obejrzała nowe patery ze starych, ręcznie malowanych talerzyków, które zostały połączone łyżkami, oraz wazony na jeden kwiat wykonane z mosiężnych chochli.

– Powiem ci, skarbie, że to się robi coraz ciekawsze. A te kubki? Jak na to wpadłaś? – spytała chyba nawet odrobinę zachwycona, sięgając po porcelanowe kubeczki z zatopionymi z boku metalowymi uchwytami od wieszaków, odgrywającymi tu rolę uszek.

Momo wzruszyła ramionami. To jakoś samo przychodzi. Może nocą, wraz z tymi snami?

Ale mama już nie czekała na odpowiedź. Czas minął, a ona miała coś ważnego do powiedzenia, więc przeszła do sedna. Mama w ogóle nie lubiła zawracać sobie głowy zbyt długo jedną rzeczą.

– A ja miałam dzisiaj niezłego klienta. Zmarł na jakąś dziwną alergię, choć nie do końca ustalono, co dokładnie go tak śmiertelnie podtruło. I pomyśleć, że jeszcze latem zapisał się na kurs czeladnika juhasa, bo nagle odkrył, że kocha owce.

Momo spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Nie dziw się tak. Kursy pasterskie są ostatnio bardzo modne, zwłaszcza wśród osób, które zrozumiały, że miasto je dusi. Dosłownie i w przenośni.

– Może był uczulony na owczą wełnę?

Pati skinęła głową.

– Może. Malowałam go dzisiaj na specjalnie życzenie żony, która nie mogła patrzeć na jego zastygłą twarz. Faktycznie, odpłynęły z niej wszystkie kolory, nawet z ust. Był woskowy, jak

na obrazie *Lekcja anatomii doktora Tulpa* Rembrandta... – zawiesiła na chwilę głos.

Pati zajmowała się tanatokosmetyką. To również była sztuka, sztuka pośmiertnego makijażu. Każda inna osoba pewnie niechętnie przyznałaby się do wykonywania takiej profesji, ale Pati była dumna z tego, co potrafiła wydobyć z twarzy nieboszczyka. Spokój, piękno, dostojność. Dla kogoś, kto tyle lat przepracował w zakładzie pogrzebowym, obcowanie z samym ciałem nie było ani straszne, ani smutne, ani tym bardziej ponure. Było tylko dość jednostronne, bo klienci nie należeli do gadatliwych. Zresztą Pati nie lubiła rozmawiać. Wolała ciszę i spokój, stan, w którym tylko ona mogła decydować, co będzie dalej. Dialog wymaga czasem kompromisu, czasem kłótni lub gwałtownych uniesień, a ona od czasu rozstania z ojcem Momo, czy raczej od jego zagadkowego odejścia, miała serdecznie dosyć wszelkiego rodzaju niespodzianek. Są ludzie, którzy lubią być zaskakiwani, większość jednak wybiera emocjonalny letarg. Zwłaszcza w relacji z najbliższą osobą.

– Pachnie śniegiem. – Pati pociągnęła nosem i zamknęła oczy.

– Zawsze tak mówisz na początku grudnia. Zupełnie jakby śnieg musiał spaść.

– Bo powinien. Każda pora roku powinna być dokładnie taka, jak się ją opisuje.

Momo nie mogła się z tym nie zgodzić. A jednak śnieg coraz rzadziej pojawiał się w grudniu, jakby chciał zobaczyć, czy święta odbędą się również bez niego. I czy mimo wszystko znajdą swoich wielbicieli.

– Dobrze ci?

Momo zamyśliła się na moment.

– Tak. Nie brakuje mi go, jeśli o to pytasz. Próbowałam nawet płakać, ale mi nie wyszło. Próbowałam być zła, ale również poniosłam klęskę.

Pati roześmiała się.

– Z jednej strony to dobrze, z drugiej – każdy psycholog zatarłby ręce, widząc, jaki ciekawy przypadek udało mu się dorwać. Oni lubią ludzi ubogich w emocje, bo są przekonani, że to właśnie im uda się je odnaleźć. Gdzieś w okolicach wątroby, nerek, no i serca oczywiście.

– Nie wolno nie być smutnym?

– To prawdopodobnie wbrew ludzkiej naturze. Każdy z nas ma inny próg odczuwania melancholii po stracie kogoś bliskiego, problem polega na tym, że ciebie ona w ogóle nie dopadła. Ale może pojawi się w Wigilię. Wtedy łatwiej o nostalgię i chmurność myśli. Wigilia w ogóle ma w sobie pewne rozprężenie duchowe. Z jednej strony cieszysz się nią, bo cieszy się większość ludzi, z drugiej czujesz rodzaj zaćmienia. Albo przyćmienia raczej.

Momo zamyśliła się. Do tej pory lubiła Wigilię, choć czym tak naprawdę różniła się ona od pozostałych dni? Była trochę bardziej odświętna, trochę bardziej wystrojona i zaznaczała swoją obecność już od wczesnych godzin porannych. Ludzie próbowali rozciągnąć ten dzień, wstając jak najwcześniej i wkładając makowce do piekarników. Dzieci podskakiwały w napięciu, przeskadzały i pytały co chwila, czy to już, a Wigilia stała z boku i uśmiechała się pod nosem. To było jej coroczne pięć minut, podczas których niekiedy dokonywały się cuda, choć czasem polegały one na tym, że nic się nie wydarzało.

Momo ostatnie trzy Wigilie spędzała z mamą i swoim mężem. Wcześniej tylko z mamą. I ciotką czasem. A jeszcze wcześniej...

Jak miał na imię jej mąż?

To nie tak, że nie pamiętała, po prostu teraz już nie był Kamilem, tylko właśnie byłym mężem, oficjalną nazwą pewnego statusu, rodzajem instytucji, jedną z kilkuset tysięcy osób należących do grupy małżeństw, które się rozpadły. Już nie mógł być Kamilem, nawet jeśli Momo nie



cierpiała tak, jak nakazują psycholodzy. Imię jest nierozzerwalnie związane z osobą, która istnieje w naszym życiu, nawet tylko od czasu do czasu. A były mąż po prostu zniknął.

Były mąż.

Zawsze miał dla niej prezent, którego się spodziewała, ale to chyba nie jest małżeńska zbrodnia. Biały ekspres do kawy, biały serwis bez żadnego szlaczka i biała narzuta na łóżko w sypialni. Idealnie pasowała do białej pościeli, zlewając się z nią i tworząc białą wyspę snu. Narzuta i serwis zostały, ekspres odszedł wraz z mężem i chociaż był to podarunek, Momo chętnie się z nim rozstała. Wprawdzie marzyła kiedyś o takim urządzeniu, ale potem okazało się, że nie lubi samej czynności parzenia kawy. Przynajmniej nie w tym stylu. Z sypaniem, mieleniem, a potem czyszczeniem tego wszystkiego, żeby nic nie przyschło i nie zatkało filtrów. Kawę robił mąż, a kiedy się wyprowadził, zabrał tę umiejętność ze sobą. W tej sytuacji Momo po prostu dorzuciła mu jeszcze ekspres, sama decydując się na związek z kawą zbożową. Wyjątkowo mało skomplikowaną. Dwie łyżeczki rozpuszczalnej na nieduży kubek, do tego odrobina cukru i trochę mleka. Zawsze ten sam smak, który nie zaskakiwał nadmierną goryczą, kwaśnym posmakiem czy też nieprzewidzianym rozwodnieniem. Jeżeli stałość jest wartością w związku, to może ona również dotyczyć jednolitości smaków.

– Nie będziesz już piła kawy? – zdziwił się były mąż, kiedy bez słowa podała mu ekspres.

Wzruszyła ramionami.

– Nie muszę. Nie chcę. Nie lubię.

– A co będziesz piła?

Roześmiała się. Bo to naprawdę zabawne, kiedy były mąż, który już parzy kawę innej kobiecie, ciągle zastanawia się, jakie płyny przyjmie jego była żona. Naprawdę go to interesuje?

– Kompoty.



– Spędzimy święta tylko we dwie czy masz ochotę na towarzystwo mojej siostry? – spytała Pati.

Momo przełknęła ślinę.

Ciotka Rebeka. Słowo „kurwa” było dla niej przecinkiem, a pozostałe wulgaryzmy skutecznie wypierały jakąkolwiek treść ze zdania. Nie cierpiała głupoty, konwenansów, facetów w przykrótkich spodniach oraz wiecznie cierpiących kobiet. Nie znosiła bycia porządną i akuratną, a słowa „akuratna” nie znosiła jeszcze bardziej. Mówiła, że najbardziej lubi kamienie.

– Kamienie są w porządku. W przeciwieństwie do ludzi, niektórych zwierząt i roślin.

Rebeka pasowała do wigilijnej otoczki jak tiulowa sukienka do dupy hipopotama.

## Rozdział 4

### SEN NUMER DWA

*Znowu unoszę się w powietrzu, choć za wszelką cenę chcę dotknąć ziemi. Człowiek nie urodził się po to, by latać. I kiedy moje stopy już, już sięgają powierzchni, coś mnie podrywa w górę i każe tańczyć w chmurach.*

*Nie, to nie jest taniec. Raczej jakaś dziwna składanka ruchów, wymachów i prób zachowania równowagi. Chmury są zbyt miękkie, by stanowić jakkolwiek podporę. Różowe, pomarańczowe, seledynowe. Skąpane w pastelach. Czym mogą smakować? Truskawką, pistacją? Wyciągam rękę, żeby nabrać odrobinę chmurzastego puchu, i zaczynam go jeść. Obok chmur przelatuje lusterko. Sięgam po nie i wystawiam język. Jest czerwony, jest niebieski, ma żółte punkciki i zielone paski.*

*A biel? A czerń? To też są przecież barwy! Człowiek powinien otaczać się kolorami, które lubi. Które go nie krępują i nie wystawiają na światło dzienne. Czerń i biel. Cudowna mieszanka neutralności. Nie patrzę już w lustro, tylko odpływam po niebie dalej. Już nawet nie próbuję walczyć z lataniem. Poddaję się. Swoją drogą to nawet przyjemne. Swobodne unoszenie się, leniwe przesuwanie wśród tych wszystkich pastelów. Od czasu do czasu spoglądam w dół, żeby upewnić się, że podę mną ciągle jest ziemia.*

*Nad brzegiem wody siedzi jakiś mężczyzna. Ma podwinięte spodnie i białe stopy zanurza w niewielkich falach. Wystawia twarz do słońca i nagle czuję, że bardzo chcę ją zapamiętać. Coś szarpie mnie za serce. Coś rozmiękcza kolana. Ale to przecież niemożliwe, nie można zakochać się w kimś, kto tylko nam się śni. Nie znając go, nie wiedząc, jak wygląda, jaki ma kolor oczu, włosów, jaką barwę głosu.*

*Nagle twarz mężczyzny zmienia się w wielką łyżkę, a jego zielony sweter jest już nie tyle ubraniem, ile raczej wydętym od wiatru żaglem. Znikają stopy, a w ich miejscu pojawiają się porcelanowe talerzyki. Początkowo są białe, z czasem jakaś niewidzialna ręka wymalowuje na nich kolejne wzory. Coraz więcej i więcej, aż biel całkowicie znika. Napisy jak na nagrobkach, imiona, nazwiska, daty, których nie chcę widzieć. Dlaczego nie udało mi się zobaczyć jego twarzy? Przecież tego właśnie chciałam. To mój sen, to ja nim dyryguję.*

*Wiatr wieje coraz mocniej, a potem nagle przemienia się w płatki śniegu. Znika zielona trawa, niebieska woda, znika słońce. Mam na sobie ogromny malinowy sweter, który pachnie owocami. Chcę go z siebie zdjąć, bo to nie są moje barwy, i nagle czuję, że ktoś mi w tym pomaga.*

*Obok malinowego swetra znowu pojawia się zielony...*

*Odganiając wzrokiem chmury, żeby wreszcie zobaczyć jego twarz.*

*Ktoś śpiewa, ktoś tańczy, ktoś nawołuje.*

*Pachnie kawą. On podaje mi parującą filiżankę...*

*Czuję, że już za chwilę...*

Obudziła się z poczuciem jakiejś bezpowrotnej straty.

– Znowu to samo – wyszeptała do siebie.

Znowu ten sam sen, którego kompletnie nie rozumie. Zakłęty w jakiejś absurdalnej metaforze, która nic jej nie mówi. Jak przypowieść, pełna tych wszystkich alegorii i symboli. Czy powinna kupić sennik?

Tym razem nie spojrzała w okno, tylko mocno zacisnęła powieki, starając się przypomnieć sobie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Gdyby tylko mogła komuś o tym powiedzieć. Albo zapytać o znaczenie poszczególnych elementów. Ale Momo nie miała zbyt wielu przyjaciół, a ci, z którymi się spotykała, byli bardziej jak storczyki niż domowe zioła. Do podziwiania, a nie użytku. Piękni, fajni, wygadani i dobrze im się spędzało razem wolne popołudnia. Do czasu. Bo w pewnym momencie zawsze następował przesyt, zupełnie jakby dochodzili do pewnej granicy, której żadne z nich nie chciało przekroczyć. Przed nią była jeszcze beztroska i rozmowy o niczym, za nią zaczynało się współuczestnictwo w cudzym życiu, a na to niewielu ludzi ma ochotę. Pytania o rozwód, samotność, próby wsparcia, nieszczerze propozycje: „W razie czego dzwoń”. Niewielu to lubiło.

Mama?

Może wejść w mistycyzm, w jakieś dziwne opowieści z pogranicza życia i śmierci. Dla niej umarli byli nie tylko ciałem bez żadnych funkcji życiowych. Ona ciągle widziała w nich ludzi, a z niektórymi nawet rozmawiała.

Nie. To trzeba nazwać inaczej. Mówiła do nich. Bo oni – mimo całej jej uprzejmości – nie odpowiadali.

Farbowała im włosy, niektórym „robiła odrost”, malowała brwi i rzęsy, nakładała puder na policzki i pomadkę na usta. Zależało jej na tym, żeby podczas przejścia do innego świata wyglądali ładnie. Żeby chociaż z tego powodu nie było im przykro. Wystarczająco przygnębiający był fakt, że właśnie przestali oddychać.

Kiedy odszedł ojciec Momo, jeszcze bardziej zamknęła się w sobie i zbliżyła do tych, którzy jej słuchali. Oswoiła śmierć na tyle, że sama chyba przestała myśleć o niej ze strachem.

– Pati, a ty się nie boisz?

– Zmarłych? Żywych trzeba się bać, bo to oni krzywdzą najbardziej. – Wzruszała ramionami.

– A umarły jest tylko zimny. I nieprzystępny. To w sumie podobnie jak większość ludzi. Tyle że już cię nie zrani.

Pati bardzo przeżyła odejście ojca Momo, choć starała się nie dać po sobie tego poznać. Minęło piętnaście lat, a ona ciągle miewała momenty potykania się o swoje myśli i wpadania w dziury, z których bardzo długo wychodziła. Nieustająco męczyło ją jedno pytanie – jak mógł? Tak po prostu wyjść z domu z jedną walizką, poinformować, że jedzie w trasę dwutygodniową, ale może potrwa to nieco dłużej, a potem po prostu nie wrócić. „Dłużej” przeciągnęło się do piętnastu lat. Najtrudniej było na samym początku, kiedy czekanie zaczynało się przeciągać, kiedy każdy kolejny dzień bolał i kiedy Pati musiała w końcu zgłosić zaginięcie swojego... partnera. Ojca dziecka.

– To nie mieliście państwo ślubu? – upewniła się po raz szósty policjantka, jakby chciała tym samym podkreślić, że być może to właśnie wyjaśnia sytuację.

Pati nie dała się wyprowadzić z równowagi, więc po raz szósty przytaknęła i odpowiedziała jeszcze na cały zestaw innych pytań, mniej lub bardziej szczegółowych, mniej lub bardziej głupich i upokarzających.

– Jeśli się znajdzie, powiadomicie mnie? – spytała na koniec.

– Policja nie może ujawnić miejsca pobytu osoby zaginionej po jej odnalezieniu, jeśli nie wyraża ona na to zgody, składając pisemne oświadczenie. Oświadczenie takie może złożyć tylko osoba dorosła i nieubezpieśniona – wydeklamowała policjantka i odłożyła zgłoszenie o zaginięciu na kupkę innych.

Pati tylko wzruszyła ramionami. Szósty, siódmy, a nawet jedenasty zmysł podpowiadał jej, że ojciec Momo nie zginął, tylko po prostu odszedł i coś wspólnego miała z tym pewna blondynka z długimi lokami i niebieskimi rzęsami, której zdjęcie znalazła w jego rzeczach.

Tak, niebieski tusz do rzęs. Od razu rzucił się Pati w oczy, bo aż krzyczał szkaradziństwem.

Po kilku latach czekania uznała go za zmarłego. Przynajmniej dla niej. Ale mimo to o swoim mężu-nie-mężu zawsze mówiła dobrze i kompletnie nie rozumiała, dlaczego Momo próbuje wymazać pamięć o tacie i wszystkie te momenty, kiedy jeszcze byli rodziną.

Za to Momo wiedziała.

Bo to nie były jakieś piękne wspomnienia. Owszem, kilka z nich zasługiwało na dziesięć gwiazdek, choć większość mogła dostać najwyżej dwie. Taty bardziej nie było, nawet wtedy, gdy był. Jego wzrok prześlizgiwał się po ich twarzach, a czasem przez nie przechodził, zupełnie jakby wolał patrzeć na to, co jest za nimi. Bo tam było ciekawiej, weselej, głośniej i zawsze ktoś pił wino. Tańczył, śpiewał, rozdawał karty i talony na zabawniejsze życie.

Występ w szkolnym teatrzyku nie jest być może wydarzeniem na miarę koncertu Stonesów, ale dla siedmioletniego dziecka ma większe znaczenie niż wygrana na olimpiadzie. Publiczność, obce twarze, rola, której trzeba nauczyć się na pamięć, i emocje, którymi należy się podzielić. Momo nie lubiła takich występów, ale otuchy dodawał jej fakt, że na widowni zasiądą rodzice i będzie mogła skupić na nich wzrok.

Zasiadła mama.

A ojciec zasiadł w jakimś barze i nie mógł zobaczyć, jak jego dziecko radzi sobie z rolą Bazyliszka. Zapomniał? Albo w ogóle nie pamiętał. Być może zapatrzył się w niebieski tusz do rzęs, równie paralizujący jak wzrok smoka.

A przecież to na Momo można było patrzeć godzinami. Była tak inna od wszystkich, tak bardzo eteryczna ze swoimi rudymi włosami i piegami na całej twarzy, przypominająca topolę, wysoką, chwiejną, odrobinę trzęsącą się na wietrze. Z czasem rude włosy Momo zaczęły przypominać kolorem lśniący mosiądz, a piegi stały się jeszcze bardziej wyraźne na bladej, niemal porcelanowej twarzy. Zupełnie jakby ktoś sypnął w nią piaskiem, który nieregularnie osiadł w różnych miejscach. I jeszcze te oczy. Bardziej bursztynowe niż brązowe i choć takiego koloru nie podaje się, opisując tęczówki, to Momo należała do wyjątków. Bo jej oczy naprawdę były bursztynowe, z zatopionym światełkiem i zielonymi punkcikami. Około ciemnymi rzęsami i niedbałymi brwiami, jakby ktoś pospiesznie przejechał pędzlem nad oczami, zostawiając dwie czekoladowe smugi.

Mama zawsze patrzyła na nią z zachwytem, ojciec najwyraźniej miał inny zmysł estetyczny.

Momo spojrzała na podświetlaną tarczę budzika. Czwarta dwadzieścia siedem. Nagle poczuła, jak wielką ma ochotę na kawę. Zwykłą, czarną, parzoną, bez mleka i cukru. Ale nie zbożową. To wszystko przez ten sen. To on pachniał palonymi ziarnami i czuła ten aromat tak wyraźnie, jakby naprawdę pamiętała parujący płyn.

Czy w mieście są już otwarte jakiegokolwiek kawiarnie?

Niedaleko jej domu znajdowała się mała piekarnia, na którą natknęła się zupełnie przypadkowo. Wystarczyło skręcić w prawo, potem zapuścić się w uliczkę, skręcić w lewo i zejść schodkami w dół, w kierunku dużej bramy. Po jednej stronie znajdowała się właśnie piekarnia, a po drugiej szewc, do którego Momo zaniósła kiedyś swoje jedyne buty na obcasie. Nie nosiła ich zbyt często, ale ponieważ lubiła być przygotowana na każdą okazję, na wszelki wypadek miała je w swojej szafie. Jak zauważyła – bez fletzka. Kiedy wychodziła od szewca, zerknęła na piekarenkę. Nie знаła tego miejsca wcześniej, ale pachniało bardzo przyjemnie. Była to dawna, maleńka suterena, w której ledwo mieściło się kilka osób. I miała tylko jeden stolik z jednym krzesłem – przynajmniej tyle zauważyła Momo, zerkając z ciekawością przez szybę w drzwiach. Na parapetach stały doniczki z ziołami. Taki ziołowo-zielony prztyczek w nos zimy.

Czy można tam pójść o tej porze?

To pewnie absurd, ale Momo właśnie zaplotła włosy w niedbały warkocz, założyła czarne spodnie, czarny sweter i puchową kurtkę. Na głowę wcisnęła czarną czapkę z pomponem, a na nogi – czarne zamszowe kozaki.

Śnieg?

To niemożliwe, żeby Pati miała rację.

A jednak z nieba padały delikatne płatki, trochę jeszcze nieśmiałe, niepewne czy im wolno. Znikały niemal natychmiast po kontakcie z ziemią, ale Momo i tak poczuła ich smak. Oblizła usta, poprawiła czapkę i skręciła w wąską uliczkę, a potem skierowała się w stronę bramy.

W piekarni paliło się jasne światło, a zapach mówił „dzień dobry”, więc mu odpowiedziała.

Za ladą stała starsza kobieta z siwym kokiem i błękitem oczu tak intensywnym, że Momo na chwilę wstrzymała oddech. I jeszcze ten szal. Zdawał się niemal unosić w powietrzu, był jak chmura, jak para z czajnika albo dym z ogniska. Przeczył prawu grawitacji. Chyba naprawdę jest mocno niewyspana.

– Ma pani kawę?

Starsza pani tylko skinęła głową i naląła do filiżanki parujący płyn. Podała go Momo bez słowa, za co dziewczyna była jej bardzo wdzięczna. Ciasne pomieszczenia niejako wymuszają na ludziach konwersację, dialogi o niczym, byle tylko zagłuszyć ciszę. Im mniej metrów kwadratowych, tym większe skrzępowanie.

Ale teraz było inaczej. Starsza pani wyjmowała po prostu bułki z pieca, który jakimś cudem udało jej się upchnąć w tym pomieszczeniu, a potem zaczęła je układać za szybą. Nie miała zbyt wielkiego asortymentu, zwykłe kajzerki, *croissanty*, bułki z ziarnami słonecznika i maślane rogaliki. Chyba każda inna piekarnia była dla niej konkurencją, ale najwyraźniej starsza pani nie brała udziału w żadnych zawodach. Szal zatańczył w ciepłym powietrzu z rozgrzanego pieca.

A kawa?

Momo początkowo tylko ją wahała. Nie piła kawy od czasu, kiedy były mąż się wyprowadził, chociaż i wtedy robiła to dość rzadko. Gdyby nie ten sen... Gdyby nie ten mężczyzna, który podał jej filiżankę...

– Proszę siorbać.

Momo podniosła ze zdumieniem głowę.

Jak to: siorbać?

– Dzięki temu kawa rozlewa się po całym podniebieniu, co pozwala dotrzeć smakowi do wszystkich partii języka. Śmiało. Niech pani siorbie, i tak nikogo tu nie ma – zachęciła starsza kobieta.

Momo delikatnie zanurzyła usta. No dobrze. Skoro siorbanie ma jej w czymś pomóc.

Kawa smakowała orzechami. I jagodami. To może wydawać się dziwne, ale Momo była absolutnie przekonana, że ma rację. Orzechy i jagody, a także coś cytrusowego. Mocna, aromatyczna, niezepsuta cukrem ani mlekiem.

– I jak?

– Jest pyszna – przyznała Momo. – Dawno nie piłam czegoś tak dobrego.

Starsza pani puściła do niej oko.

– Do widzenia – uśmiechnęła się po chwili dziewczyna, wstała i oddała pustą filiżankę. Pomyślała też, że pewnie jeszcze tu zajrzy, bo rzadko kiedy spotyka się miejsca, w których nie czujesz obowiązku tłumaczenia się, dlaczego już wychodzisz (spieszę się do pracy, muszę wyprowadzić psa, chyba nie wyłączyłam żelazka), tylko po prostu wstajesz i idziesz, a „do widzenia” w zupełności wystarcza.

I nie musisz też kupować żadnych bułek.



## Rozdział 5

### REBEKA

Sny są naszym życiem, choć nieco zdeformowanym. Abstrakcyjnym. Czasem mrużą oko, czasem wystawiają język. A czasem podają rękę.

Do tej pory Momo nie przywiązywała większego znaczenia do swoich sennych obrazów. A przecież zawsze coś jej się śniło. Zdarzały jej się sny nostalgiczne, po których budziła się z poczuciem smutku, jakiejś melancholii, której nie potrafiła sobie do końca wytłumaczyć. Zdarzały jej się sny męczące, w których nie umiała wydostać się z błota, w których stała odwrócona plecami do świata i nie chciała już być jego częścią. Zdarzały jej się sny erotyczne, wywołujące wstyd i specyficzne upokorzenie, że jej podświadomość ujawniła to, o czym naprawdę myśli. Dlaczego ten senny seks był lepszy od rzeczywistego? I jeszcze były koszmary, choć bez wilkołaków, krwi i żywych trupów. Koszmarem był dom pełen pokoi, które ciągle się zmieniały. I kiedy Momo już wiedziała, którą klamkę nacisnąć, żeby wreszcie znaleźć się w korytarzu, pokój zmieniał się z salonu w łazienkę lub z kuchni w bibliotekę i musiała zacząć poszukiwania na nowo. Męczył ją fakt, że nie może ot tak, po prostu pójść tam, dokąd chce. Drażniła ją świadomość, że ktoś inny decyduje o jej krokach. Kiedy budziła się z takiego snu, długo leżała w swojej białej pościeli, czekając, aż w jej ciało znowu wleje się spokój, a serce przestanie się szamotać.

Najbardziej lubiła sny romantyczne, choć wstydziła się do tego przyznać. Człowiek coraz częściej próbuje uciekać od banałów, aby nikt nie posądził go o infantyлизм, a jednak to właśnie banalne kawałki życia dają najwięcej szczęścia. Są jak zachody słońca. Zawsze rozmiękczają mięśnie i łagodzą nawet najbardziej nieprzyjemne doświadczenia. Wyciszają, każą machnąć ręką na całą resztę.

Momo również miała swoje zachody słońca. Był nimi mężczyzna, który po prostu ją obejmował i głaskał po włosach. I kiedy sen dobiegał końca, a ona czuła, jak pod powieki wciska się świt, nurkowała pod kołdrę, żeby jeszcze choć chwilę tak postać i nie przejmować się zupełnie niczym. I czuć zapach kogoś, kto całkowicie ją rozumiał.

Momo ma dwadzieścia osiem lat.

To za dużo, by śnić o rycerzu, i za mało, by z tego zrezygnować.



Ciotka Rebeka zawsze wkraczała na scenę bez zapowiedzi, dlatego zrobiła to również w tej opowieści.

– Kurwa, ale ziąb – oznajmiła od progu, zanim Momo na dobre otworzyła drzwi i usta, żeby

się przywitać. – Daruj sobie to „dzień dobry”, oklepane, nudne i kompletnie niepotrzebne. Dzień jest dobry wtedy, gdy porządnie się wyśpisz, przeżyjesz w nocy ze dwa orgazmy, nieważne w jaki sposób uzyskane, a rano zjesz śniadanie u kogoś innego, żeby nie nasyfić sobie we własnej kuchni.

– Dlatego jesteś u mnie? – spytała Momo, rezygnując z kolejnych prób przywitania ciotki.

– No, między innymi. Choć pewnie w twojej lodówce prędzej światło na mnie łygnie niż jakaś porządna szynka.

– Mam dwa rodzaje serów i jogurt.

– Tak myślałam. Chcesz mnie otruć.

Ciotka Rebeka.

Chyba nikt inny na całym świecie tak bardzo nie nienawidził reguł, zakazów, norm i zwrotu „to nie wypada”. Cztery lata starsza od Pati, nauczycielka historii w gimnazjum, jedna z nielicznych, którą młodzież mająca zazwyczaj na wszystko ogólny zwis uwielbiała bardziej niż aplikacje w swoich komórkach, mimo iż ona sama twierdziła, że nie cierpi dzieci i nastolatków. Rebeka nie klęła podczas lekcji, ale kiedy ostatni dzwonek zwalniał ją z etatu nauczycielki, wypowiadała donośnie: „Kurwa”. I z uśmiechem na ustach opuszczała szkolny budynek. Jesienią waliła kamieniami w gałęzie kasztanowca, by w ten sposób nazbierać kasztanów, które rozsypywała potem na stole i patrzyła, jak szybko matowieją.

– Starzeję się równie szybko jak moja dupa. Wczoraj jędrna, jak ze stali, dzisiaj pomarszczona. Czas jest skurwysynem. Najpierw obiecuje złote góry, mówi o przyszłości z namaszczeniem, o tym, co nas jeszcze w życiu spotka pięknego, zachwala kolejne poniedziałki i niedziele, a potem okazuje się, że musisz zgłosić się na kontrolę jelita grubego, bo właśnie stuknęła ci pięćdziesiątka. Nie wiem, czy badanie przez tyłek jest właśnie tym, na co czekałam.

Momo lubiła ciotkę.

Tak jak lubi się kogoś, kim zawsze chciało się być, tyle że nie starczyło odwagi. Pati też lubiła Rebeke. Nawet były mąż Momo ją lubił, chociaż powiedziała mu kiedyś, że jego sposób krojenia chleba świadczy o tym, że jest kiepski w łóżku.

– Niby dlaczego? – szczerze się zdumiał.

Wzruszyła ramionami.

– Bo kroisz jakoś tak idealnie. Tak jakby te cholerne kromki musiały mieć dokładnie centymetr grubości każda. Pieprz to, chłopie! W łóżku też zawsze jesteś taki idealny? Raz, dwa, trzy, wchodzimy i wychodzimy, cztery, pięć, chyba dojdziemy?

„Siedem, osiem, dobranoc” – dodała w myślach Momo.

Ale podobno to nie jest tak, że ludzie są w łóżku kiepscy. Są po prostu niedobrani.

– Spędzisz z nami Wigilię?

Rebeka wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak. Miałam w planach ogniste bzykanie na Malediwach, ale nie znalazłam ani chętnego, ani kasy na wyjazd. W tej sytuacji wybieram kolację z wami, będzie bestialsko nudno, z tym samym beczliwym barszczem co zawsze i umierającą choinką.

– Kupię taką w donicy.

– I co? Gdzie ją potem posadzisz?

– Nigdzie. Wyniosę na śmietnik, może ktoś się nią zaopiekuje.

– Nie lubisz roślin, co? Wcale ci się nie dziwię. Mnie też wkurwia to ciągłe podlewanie, pielienie, usuwanie szkodników, nawożenie i Bóg wie co jeszcze, a na koniec i tak zdychają, chociaż wypruwałaś z siebie flaki. Dlatego właśnie zbieram kamienie. Wrzucasz je raz na rok

do miski, splukujesz kurz wodą i są jak nowo narodzone. Jak Jezus w każdą kolejną Wigilię. Lulajże, kamyczku – zanuciła sarkastycznie pod nosem.

Rebeka nigdy nie miała męża. Przez jej dom i łóżko przewinęło się mnóstwo facetów, ale żadnemu nie wolno było zostawić w łazience szczoteczki do zębów.

– Szczoteczka to symbol. Kiedy tam ją zostawi, zacznie też bekać i puszczać bąki. I zakończy grę wstępną, ograniczając ją do zrzucenia kołdry na ziemię. Faceci są mniej skomplikowani od jamochłonów. I przewidywalni jak wróżbita Maciej.

Momo postawiła na stole dwa rodzaje żółtego sera i kubek jogurtu naturalnego.

Nie miała ochoty na kolację, ale jeść przecież było trzeba.

Nigdy zresztą nie jadła dla przyjemności. Nie lubiła gotować, doprawiać, próbować i testować nowych smaków. Nie lubiła głupich nazw potraw, wspomnianych już wcześniej. Jedzenie służyło podtrzymaniu czynności życiowych. Smaki nie miały znaczenia. A im mniej mięsa, tym mniej cuchnąca fizjologia.

I dlatego zjadła teraz plasterek żółtego sera, trzy łyżki jogurtu i całość popiła inką z mlekiem.

A jednak tamta kawa smakowała lepiej. Coś w niej obudziła. Spowodowała, że kolacja nie tylko nie smakowała, ale i wzbudziła w niej dziwny wstręt.

– Masz minę, jakbyś chciała rzygnąć. Nic dziwnego. Jogurt naturalny! – parsknęła Rebeka. – Gdybyś go chociaż zmieszała z bulionem z otrębami, twarogiem, *ghee* i kaszą pszeniczną, uzyskałabyś ulubioną potrawę Mahometa. Inna sprawa, że on żarł wszystko. Odmawiał tylko pieczonych jaszczurek. W sumie mu się nie dziwię. Sama nie miałabym ochoty połykać gada o diapsydalnej czaszce.

Ciotka wstała i otworzyła po kolei trzy kuchenne szafki, które aż same zawstydziły się swoją nagością. Niewiele tu było. Opakowanie mąki. Torebka cukru. Paczka kaszy gryczanej. Wszystko przeterminowane, ale najwyraźniej nie na tyle, żeby się zatruć, bo kaszę Momo jadła nie dalej jak wczoraj. Dodała do niej trochę masła i jak zwykle zapomniała posolić. Puszka z zupą pomidorową i druga ze szparagową. Jakieś torebki z sosami i słoik z czerwoną fasolką. Ananas w puszcze, dwie paczki ryżu.

– Jasna dupa, ale słabo. Nie, żebyśmy oczekiwała wywaru z ucha jaszczurki, tudzież gnata chrzanionego, ale to pustkowie jest przykre dla moich kubków smakowych. Czy ty, dziecko, wiesz, co jesz? Czy w ogóle cokolwiek czujesz w sensie smakowym?

Momo chciała przytaknąć, ale usłyszała, jak jej żołądek właśnie się zbuntował. Nie, nie będzie przyjmował w nieskończoność żółtego sera. I ogórków smakujących niczym, których nawet nie soliła. Nie chce też zupy pomidorowej z puszki, o szparagowej nie wspominając. Cuchnie po otwarciu jak bąk woła piżmowego. Puryzm żywieniowy jest dobry dla mnichów. Lub osób po resekcji żołądka. Spojrzała na Rebekę, a ciotka tylko uniosła brwi.

– Gówna, nie? Powinni powiesić za jaja producenta tych serów. Gorzej smakują tylko niedogotowane winniczki.

## Rozdział 6

### MILA

Zdumiewające.

Po raz pierwszy od bardzo dawna nie przyśniło jej się chyba nic. A już na pewno nie sen atakujący kolorami, wciskający się nachalnie do jej czarno-białego świata. Była nawet odrobinę zawiedziona, kiedy przebudziła się rano, nie pamiętając absolutnie niczego.

Ale przecież człowiek zawsze o czymś śni.

Ciotka Rebeka została u niej na noc, chociaż nie mieszkała daleko. Ale uznała, że prześpi się na białej kanapie w tak zwanym salonie, a do domu wróci następnego dnia. Momo chciała jej nawet zamówić taksówkę, bo nie lubiła niezapowiedzianych sytuacji w swoim życiu, ale bała się, że ciotka i tak postawi na swoim. A na dodatek nieźle ją opieprzy. Przełknęła więc tylko informację, że tej nocy nie będzie w domu sama, i wcześniej niż zwykle poszła spać. Ojciec ciągle sprowadzał do domu jakichś znajomych, którzy albo się zasiedzieli, albo upoili słodkim winem tak bardzo, że plątały im się nawet palce u stóp, albo po prostu nagle robiło się rano. I na śniadaniu było osiem, dziesięć albo dwanaście osób. A czasem też jakiś pies.

Od czasu, kiedy wyprowadził się mąż Momo, ona sama w jakimś sensie polubiła swoją samotność, która być może nie dawała żadnego wsparcia, ale z drugiej strony była już oswojona. Nie każdy lubi wracać do pustego domu, ale Momo nie miała z tym większych problemów. Nie była batmanowską Kobietą-Kotem, która po wejściu do mieszkania wołała: „Cześć, kochanie, już jestem!”, a zaraz potem dodawała z przekąsem: „Ach, zapomniałam, że przecież nie mam męża”.

Momo nie zapomniała.

I z czasem przyzwyczała się do tego, że to ciska mówiła jej „dzień dobry”, „do widzenia” albo „na razie”. Są ludzie, którzy nawet do toalety zabierają ze sobą najlepszą przyjaciółkę, ale Momo należała raczej do osób, dla których ciotka śpiąca na kanapie w salonie stanowiła pewne zaburzenie przestrzenne. Dyskomfort i brak swobody ruchów. Wstydziła się wyjść z sypialni i przemknąć do łazienki w obawie, że ciotka może się obudzić i ją usłyszeć. Druga osoba jakoś dziwnie ją krępowała, a co dziwniejsze, wcześniej dotyczyło to również jej własnego męża.

Tylko teoretycznie nie był jej obcy. Ale tak naprawdę cóż miała z nim wspólnego poza papierem? Po trzech latach bycia razem można wiedzieć o sobie wszystko, można też nic. A Momo wiedziała niewiele. Najgorsze jednak było to, że wcale nie chciała wiedzieć więcej. Gdyby ktoś zapytał ją, czy to właśnie jest miłość, pewnie wruszyłyby ramionami.

Miłość. Mama szalała za tatą i chociaż nie mieli ślubu, wydawali się nie widzieć poza sobą świata. To znaczy tata go widział, choć początkowo tylko na niego zerkał. A potem jednak wyrwał się z objęć mamy i pobiegł ku innym zachodom słońca, nie przejmując się zupełnie tąpnięciem serca swojej ukochanej. Oraz rozdarciem, jakie pozostawił w Momo. Pozbierała się

po jakimś czasie i sama pozszywała wszystko to, co w niej popękało. Podobno najmocniejszą nicią zastosowano podczas wystawy designerskich foteli, kiedy to jeden z nich zawisł na stalowym włóknie, piętnastokrotnie bardziej wytrzymałym niż stal czy nawet kevlar, wykorzystywany do produkcji kamizelek kuloodpornych. Nic bardziej mylnego. Najsilniejsze były te nici, które na nowo spięły Momo.

– Ej, mała, musisz siku? Bo mi już leci po nogach – krzyknęła nagle Rebeka, całkowicie rozbudzając swoją siostrzenicę i zmuszając ją do ostatecznego otwarcia oczu.

A zatem nie ma żadnych szans. Nie przypomni sobie niczego, co może jednak jej się przyśniło. Otwarcie oczu i odgłosy sikającej ciotki ostatecznie wypłuczą z niej resztki marzeń sennych, które być może głęboko tkwią gdzieś tam w podświadomości.

– Nie muszę! – woła więc Momo. Ma w końcu dwadzieścia osiem lat, jej pęcherz potrafi wytrzymać znacznie dłużej niż pęcherz starszej kobiety.

Piętnaście minut później wróciła dawna harmonia. Rebeka zrezygnowała ze śniadania, twierdząc, że wstąpi po drodze zjeść cokolwiek, byle smacznie, a potem dorzuciła jeszcze na pożegnanie:

– Z tym brakiem telewizora to nie był głupi pomysł. Zgasiałam światło i obserwowałam sąsiadów z naprzeciwka. Film był wprawdzie niemy, więc sama zaczęłam podkładać głos. W rolach głównych matka i ojciec, od razu widać było, że drą mordy bez powodu. Plus nastolatka, która ma ich głęboko w dupie. Nawet jej się nie dziwię. Odgradzała się od siebie pogardliwym wzruszaniem ramionami. A i tak wydawała mi się bardziej dorosła niż ta dwójka. Patrz, a myślałam, że w grudniu ludzie odrobinę łagodnieją, że te wszystkie durne bombeczki i światełka tępią im trochę pazury. Nic bardziej mylnego. – Wrzuciła do torebki majtki i pochwyciła wzrok zdumionej Momo.

– Co jest? Przecież nie pójdę w brudnych.

– Mogę ci jakieś pożyczyć.

– Po co? Nigdy nie chodziłaś z gołą dupą? Zresztą mam spodnie, więc i tak jej nie widać.

– Przeziębisz się.

Rebeka prychnęła.

– Jasne. To daj mi termofor na nerczki. Daj spokój, nic mi nie będzie. Od gołej dupy nikt jeszcze nie umarł.

Momo tylko się uśmiechnęła. Jak ona to robi? Jak udaje jej się zachować klasę, mimo takiego języka? Zola mógłby ją spisywać żywcem. Gdyby żył, oczywiście.



W galerii było dzisiaj spokojnie. Jak zwykle zresztą. Inne sklepy tętniły życiem, a im więcej w nich było skarpetek, apaszek oraz gotowych zestawów kosmetycznych, tym chętniej odwiedzano je w grudniowe przedpołudnia, popołudnia, a także wieczory. Do galerii Momo zaplątała się w końcu jedna klientka, której spodobał się naszyjnik z guzików, ale nie była do końca pewna, co powie na to jej mąż.

– Proszę przyjść z nim.

– On nie lubi zakupów.

No tak. A który mężczyzna lubi?

– To proszę zrobić zdjęcie. Pokaże mu pani w domu i wtedy podejmie decyzję.

Klientka zrobiła więc jakieś trzydzieści fotek i zadowolona z pomysłu podziękowała Momo. Na koniec raz jeszcze przymierzyła naszyjnik i westchnęła dokładnie sześć razy. Już po pierwszym powinna zdecydować się na zakup, ale najwyraźniej opinia męża była ważniejsza niż kolejne westchnienia.

– Przyślę do pani mojego brata.

– Ale to mężczyzna.

– No i?

– Mężczyźni nie lubią zakupów.

– On jest trochę inny. Dziwny taki, więc może mu się tu spodobać.

– Wybierze coś z biżuterii?

– Nie, on nie jest gejem. Po prostu lubi nietypowe rzeczy. Sam jest dość, hmm, nietypowy. Zupełnie inny niż ja. Właściwie inny niż ktokolwiek inny, jeśli mnie pani rozumie.

Momo uśmiechnęła się. W jej galerii znajdowały się tylko nietypowe rzeczy. Inne niż jakiegokolwiek inne, dziwaczne, osobliwe, zaczepne. Kompletnie różne od tego, jak żyła. Jej pudełkowy świat był bardzo przewidywalny i całkowicie pozbawiony chaosu. Wszystko miało w nim swoje miejsce, żadne zbędne przedmioty nie zakłócały tej specyficznej harmonii i pewnego ładu. Tymczasem w galerii zdarzały się odstępstwa od norm. Była to wprawdzie sztuka użytkowa, ale nie do końca potrzebna i na pewno burzyła standardy. Stare koło od roweru odgrywało tutaj rolę tarczy zegara, a niepotrzebny wózek na zakupy przemieniał się w fotel. Widły nie były widłami, tylko wieszakiem na ubrania, a połączone kapselki od piwa stawały się siedzeniem taboretu. Momo zastanawiała się czasem, skąd wzięło się u niej to przełamywanie stereotypów? Lubiła siebie prostą, nieskomplikowaną, w czarnych ciuchach i z białym wystrojem mieszkania. Nie zazdrościła ludziom szaleństwa, wariacji w życiu, przeskakiwania przez fale. Nie lubiła rozpędzonych pociągów i adrenaliny wymieszanej z krwią.

Lubiła swoje pudełka.

Do maleńkiej piekarenki poszła około piętnastej. I tak przez najbliższą godzinę nikt nie zajrzy do galerii, wiedziała to z doświadczenia. Bardziej łaskawa była siedemnasta, kiedy większość ludzi skończyła już pracę i czasem zbaczała z prostej drogi do domu, szukając nie wiadomo czego. Lub z ciekawości.

Znowu poczuła potrzebę napicia się kawy. Może tym razem z maślanym rogalikiem? Dwoma rogalikami?

Starsza pani była dzisiaj fiołkowa z elementem soczystej zieleni, zamkniętej w dzierganej ręcznie chuście. Momo aż się wzdrygnęła na widok tych kolorów.

– Kawa?

– Bez mleka i cukru. I jeszcze rogalik. Albo dwa.

Tak, zdecydowanie znowu wyczuła smak jagód. Fascynujące. Do tej pory myślała, że kawa smakuje przede wszystkim gorzko, czasem z domieszką kwasu. Jagodowość plus garść orzechów burzyły te wyobrażenia.

– Czy to możliwe, że ta kawa mi się przyśniła? – spytała głośno Momo i natychmiast poczerwieniała na twarzy. Nigdy nie lubiła rozmawiać z obcymi, a już na pewno pierwsza nie zagajała rozmowy. Obcy ludzie wywoływali w niej jakiś dziwny strach, lęk przed tym, co mogliby odpowiedzieć. I nigdy, przenigdy nie patrzyła im prosto w oczy.



Piekarenka była jednak zbyt mała, by wypowiedziane słowa mogły się w niej unosić nieusłyszane i niezauważone przez nikogo.

– Sny często pokazują nam bohaterów naszych marzeń – odezwała się starsza pani.

– Ale moim bohaterem nie może być przecież kawa.

– A ktoś, kto ją przyrządza?

Momo zastanowiła się przez chwilę.

Mężczyzna w zielonym swetrze. Ale przecież nie miała pojęcia, kim był.

– Sny łączą się z naszym życiem na jawie. I zawsze próbują nam coś powiedzieć. Niektórzy się z tego śmieją, inni wzruszają ramionami. Ale to nie zmienia faktu, że sen jest nam tak samo potrzebny jak jedzenie, woda i tlen. I to nie tylko dlatego, że łąduje nas jak baterię, ale dlatego, że do nas mówi. Dziubie palcem. Poklepuje po ramieniu.

W zasadzie Momo powinna poczuć się jakoś niezręcznie, w końcu nie znały się w ogóle, więc tym bardziej opowiadanie o czymś tak intymnym jak sny powinno być krępujące. A jednak brnęła dalej.

– Od jakiegoś czasu ciągle śni mi się to samo. Najpierw chciałam o tym zapomnieć, ale ten sen wraca, zupełnie jakby chciał wryć się w moją pamięć. Poszczególne fragmenty ulegają zmianie, czasem przenoszę się w różne miejsca, ale pewne rzeczy pozostają niezmiennie. I wreszcie doszło do tego, że czekam na kolejną noc. A dzisiaj nic. Nic mi się nie śniło.

Momo po raz pierwszy w życiu rozmawiała tak swobodnie z kimś obcym. Być może ciasnota pomieszczenia zrzuciła z niej skrępowanie albo po prostu ta starsza pani automatycznie zdejmowała wszelkie blokady.

– Jestem Momo.

– Miła.

– Ale...

– Możesz mi mówić po imieniu.

Momo zaczerwieniła się. No dobrze. Spróbuje.

– Znasz się na snach?

Miła zamyśliła się.

– Sny to przypowieści. Zamknięte w metaforach, które każdy musi odczytać sam. To wędrowanie między światami, emocjami, między tym, co przeżywamy a podszeptami podświadomości. To pomost między istnieniem a myśleniem. Sny nie są tylko nic nieznaczącym obrazem, absurdalnym i pełnym nieścisłości. Po prostu trzeba chcieć je zrozumieć.

– Ale moje sny tak często się urywają. Kiedy wydaje mi się, że coś albo kogoś mi pokażą, kiedy czuję, że czegoś się dowiem, następuje przebudzenie. Nie umiem więc pójść dalej. Nie umiem ich odczytać. A nie chcę zwariować, myśląc bez przerwy o czymś, co tak naprawdę nie jest realne.

Miła podkręciła temperaturę w piecu i zaczęła wyrabiać ciasto na kolejne bułki. Momo pomyślała nawet, że starsza pani o niej zapomniła i chciała wyjść po cichutku, ale wtedy właśnie Miła podniosła głowę i powiedziała:

– Ktoś kiedyś powiedział, że niezinterpretowane sny przypominają nieotwarty list. A ja wiem doskonale, co to znaczy nie otworzyć w porę listu. – Mrugnęła do niej.

– Ale ja nie umiem.

– Każdy umie. Tylko powoli, stopniowo, krok po kroku. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc. Albo przynajmniej spróbuję.

Momo dopiła kawę i kupiła jeszcze dwa rogaliki. Będą na później albo poczęstuje nimi

Rebeke. Trochę jej było głupio za ten obrzydliwy żółty ser i zbożową kawę. I za szafki kuchenne ubogie i gołe jak derwisz.

– Mogę tu czasem przychodzić? – spytała jeszcze.

– Kiedy tylko się przebudzisz.

## Rozdział 7

### SEN NUMER TRZY

*Stoję przed jakimś mężczyzną, którego twarz kompletnie nic mi nie mówi. Ma karteczkę przyczepioną do koszuli. Friedrich Kekulé von Stradonitz. Naprzeciwko niego siedzi inny mężczyzna. Elias Howe. Patrzą na mnie z uśmiechem i chyba coś mówią. Jestem wystraszona, bo zadają mi jakieś pytania, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Nie lubię być odpytywana. Nie lubię nie wiedzieć. Ale mężczyźni nagle odwracają ode mnie wzrok i zaczynają coś sobie nawzajem pokazywać. Jakieś kartki, wykresy, rysunki.*

*Próbuję jakkolwiek skojarzyć ich nazwiska, ale oni nagle rozplývają się, znikają, a ja znajduję się w wysokiej wieży. Pośrodku stoi stół, krzesła, których nie mogę dosięgnąć, i półki, na których stoją ponumerowane kartony. Czy dostrzegam na nich swoje imię? Zamykam i otwieram oczy, ale pokój nie znika. Słyszę szept, słyszę głosy uwięzione w ścianach, w przedmiotach, w meblach. Mówią do mnie i czuję, jak prawie mnie dotykają.*

*Nagle coś każe mi podejść do okna. Wychylam się i widzę kolejnego mężczyznę. Tym razem jednak nie mogę dojrzeć ani jego twarzy, ani ewentualnej karteczki, jeśli ma ją w ogóle doczepioną do swetra.*

*A sweter jest zielony.*

*Czuję, jak coś ściska mnie w żołądku, i wiem, że muszę jak najszybciej wydostać się z wieży. Ale te półki... Te głosy i moje imię napisane na kartonach obok numerów... Chyba powinnam do nich zajrzeć. A jeśli mnie zaduszą?*

*Nie dam rady. Szarpię metalowe drzwi i z ulgą odkrywam za nimi kręte schody. Chcę zbiec, ale moje nogi są jak z żelaza. Poruszam się koszmarnie wolno, choć przecież tak bardzo się spieszę. Zupełnie jakbym broczyła w smole, jakby coś trzymało mnie za kostki. Kiedy w końcu dopadam poręczy, schody zaczynają pływać. Boję się sięgnąć kolejnego stopnia, boję się upadku, poślizgnięcia.*

*W końcu zamykam oczy i skaczę. To tylko sen. Nie może mi się nic stać.*

*Znowu unoszę się w powietrzu, dzień przemienia się w noc i już nie można niczego dojrzeć. Oprócz mężczyzny, który leci obok mnie i który nie ma na sobie zielonego swetra.*

*Ale nie musi mieć też żadnej karteczki.*

*To Wolfgang Amadeusz Mozart.*

*– Dlaczego właśnie ty? – pytam zdumiona.*

*Ale Mozart śmieje się tylko, a kiedy otwiera usta, żeby odpowiedzieć, czuję, że chyba się budzę.*

Pati ze skupieniem wysłuchiwała uwag kobiety, która następnego dnia miała pochować swoją

matkę.

– Ona bardzo nie lubiła garsonek. I teraz nie wiem, co robić. Bo rodzina kupiła czarny żakiet i te buty, i taką koszulę z żabotem. Ale boję się, że mama będzie zła.

Rozumiała ją doskonale. Wiele osób mówiło o zmarłych w czasie teraźniejszym, a nawet zastanawiało się, czy coś im się spodoba, rozzłości ich, oburzy lub rozśmieszy. Wbrew pozorom z takimi ludźmi pracowało jej się najlepiej. Byli podatni na sugestie i nie obrażali się, kiedy proponowała trochę bardziej odważny makijaż lub strój znacznie odbiegający od tego trumiennego. Z czasem zdobywała sobie coraz więcej klientów, choć oczywiście ci główni nie mieli zbyt wiele do powiedzenia. Za to ich rodziny były zachwycone podejściem Pati do tematu śmierci, odchodzenia i przejścia na drugą stronę z błękitnymi powiekami lub w martensach w czerwone róże.

– Czy pani mama będzie leżeć w otwartej trumnie? – spytała teraz córkę kobiety, która nie lubiła garsonek.

– Nie. Wiem, że by tego nie chciała. I wiem, że to nie ma znaczenia, w co ją ubiorę, ale...

– To ma znaczenie – przerwała jej Pati. – Po pierwsze, zawsze jest lepiej spełnić ostatnią wolę umierającego, a po drugie, musi pani zostać na tym świecie z poczuciem absolutnego komfortu. Śmierć jest wystarczająco przygnębiającym wydarzeniem, aby jeszcze smucić się z powodu niespełnionych obietnic. Jakie ubrania mama lubiła najbardziej?

– Dres.

– Niech zatem będzie dres.

– Do trumny?

– Tak. Skoro takie było jej życzenie...

Kobieta, która przez cały czas stała, usiadła w końcu na krześle i ciężko westchnęła.

– Wie pani, ja chyba nie wierzę w Boga, wolę jednak powiedzieć „chyba”, bo nigdy nic nie wiadomo. Ale jestem przekonana, że po śmierci coś jest. I teraz pytanie – czy jeśli mama tam trafi, będzie wyglądała dobrze w dresie?

Pati zastanowiła się przez chwilę.

– Obawiam się, że tylko na ziemi przywiązujemy dużą wagę do tego, jak wyglądamy. Opowiem pani o moim mężu, który oficjalnie nigdy nim nie był. Ale słowo „konkubent” jest gorsze od nieświeżego oddechu.

– Czy on umarł? – spytała ostrożnie kobieta.

– Częściowo. Umarła nasza wspólna przyszłość, teraz po prostu stanowimy dwa niezależne byty. Ale kiedy tworzyliśmy tak zwaną rodzinę, mój mąż miał największą szafę i największy wybór ubrań. Kochał wszystko, co kolorowe, pstrokate, błyszczące i odróżniające go od szarego przechodnia. Potrafił założyć koszulę w banany, do tego pomarańczowe szorty, zielone klapki i dandysowski kapelusz. Nie muszę chyba mówić, że papugi na jego widok czuły się jak wypłukane w chlorku. Zasadniczo – najważniejszą rzeczą w życiu mojego męża był strój. Wyróżnianie się. Odróżnianie. Różnorodność. I dlatego jestem przekonana, że gdziekolwiek lądujemy po śmierci, ubiór nie ma tam żadnego znaczenia. Na ziemi jest inaczej, tu trzeba się pokazać. Ale tam? Być może nikt nawet nie widzi naszego stroju. Pani matka będzie się czuła komfortowo w miękkim i wygodnym dresie, ale nikt nie zwróci na niego uwagi. Nie będzie istotny bardziej niż jej dobre samopoczucie, niż ona sama.

Kobieta poczuła, jak wracają jej siły i pewność siebie. W razie czego dokładnie to powtórzy swojej rodzinie. A garsonkę odda do Czerwonego Krzyża.

– Umaluje ją pani?

Pati uśmiechnęła się.

– Zawsze to robię.

– Rzęsy też? Ona lubi mocne oko. Lubiała...

– Nie ma problemu. Zrobimy piękną czarną kreskę *eylinerem* i wytuszujemy rzęsy. Bardzo lubię malować oczy zmarłym, bo przecież oczy są ważne. Okna duszy, chyba tak się o nich mówi. Pomadka również?

– Tak, różowa. Wie pani... chyba będzie mi łatwiej przeżyć pierwszą Wigilię bez mamy, wiedząc, że przeszła w inny wymiar dokładnie w takim stylu, jaki lubiała najbardziej. Dziękuję. Dzięki pani jest mi trochę różnie, trochę mniej się boję samej śmierci i tego, że jest nieodwracalna. Mama będzie wyglądała pięknie. Bo była piękna i śmierć tego nie zmieni.

Pati poklepała ją po ręce i zerknęła na wyświetlacz telefonu.

Momo?

– No dobrze, to ja znikam i raz jeszcze za wszystko dziękuję. To będzie dobry pogrzeb. – Kobieta ukłoniła się jakoś tak niezdarnie i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Rzadko do mnie dzwonisz – powiedziała Pati, kiedy tylko odebrała połączenie. Usiadła za biurkiem i uśmiechnęła się do słuchawki.

– Kim byli Friedrich Kekulé von Stradonitz i Elias Howe?

Pati zdumiała się. Jak dotąd jej poukładana córka nie zadawała pytań dziwnych i osobliwych, a już na pewno nie bez wcześniejszego „Cześć, co u ciebie?”.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Ale domyślam się, że nie żyją.

– Bo?

– Bo brzmią jakoś staroświecko. Filozoficznie. Więc pewnie dużo myśleli i już umarli.

– Była u mnie Rebeka. Powiedziała, że święta spędzimy razem. Jeśli więc nawet miałybyśmy inne plany, nic z tego – Momo nagle zmieniła temat i Pati potrzebowała chwili, żeby przeskoczyć na zupełnie inny tor myślenia.

– Jesteś w galerii?

– Tak.

– Są klienci?

– Nie ma. Zaglądamy przez okno i czasem dotykają kłamki, ale nie wchodzi. Nawet ich rozumiem. Pod choinką najlepiej sprawdzają się skarpetki, perfumy najróżniejsze oraz krawaty. A także kubki. I ramki do zdjęć. To niewiarygodne, jak wiele czasu ludzie poświęcają na wymyślenie oryginalnych prezentów, by na koniec i tak kupić kubek.

Pati westchnęła.

– Zobaczysz, do ciebie też przyjdą.

– Tak. Jak zniszczę fabrykę kubków.



Tym razem to Mila zjrzała do Momo i z ciekawością rozglądała się wkoło.

– Nie musisz być w piekarni? – zdziwiła się dziewczyna.

– Muszę. Ale na razie wszystko sprzedałam, a nowy zapas bułeczek dopiero wjechał do pieca. Mam dziesięć minut. I już wiem, że będą wyjątkowe. Nigdy w życiu nie widziałam takiej sztuki. Bo to sztuka, prawda?

Momo uśmiechnęła się nieśmiało.

Sztuką byłoby sprzedać to wszystko.

– To twoje własne pomysły?

Skinęła potakująco głową.

Mila była naprawdę zachwycona.

– To jest krab! – zawołała zdumiona. – Krab ze starej łyżki, widelca i kilku gwoździ. Trzeba naprawdę mieć ogromną wyobraźnię, żeby stworzyć coś takiego. A to? – Nachyliła się nad prostokątnym, piętrowym przedmiotem na drewnianych nogach, chyba od krzesła. – To są walizki?

Momo tylko się uśmiechnęła.

– Dolne części z małej i dużej, połączone nogami od starego zydła. Pełnią rolę, hmm, posłania dla kotów.

Mila klasnęła w dłonie.

– No jasne! Walizkowy domek dla kotów. Genialne!

– Friedrich Kekulé von Stradonitz i Elias Howe – powiedziała nagle Momo.

– Co z nimi? – zdziwiła się Mila.

– Znasz ich?

– Osobiście nie.

– A możesz mi powiedzieć, kim byli?

– Friedrich Kekulé von Stradonitz to chemik, a Elias Howe był amerykańskim wynalazcą.

– Bez sensu – zmartwiła się Momo.

– Dlaczego?

– Przyśnili mi się dzisiaj. Co już samo w sobie było dość dziwne, bo ostatnio śniło mi się ciągle to samo. Aż wreszcie jakaś odmiana. Nie wiedziałam, że to oni, ale do koszul mieli doczepione karteczki z nazwiskami. I potem jeszcze pojawił się Mozart, jedyny, którego rozpoznałam. Nie rozumiem tego snu. Niby z jakiego powodu miałyby mi się przyśnić jakiś chemik? Albo kompozytor?

Mila zastanowiła się przez chwilę.

– Kekulé von Stradonitz zobaczył kiedyś we śnie budowę cząsteczki benzenu, a Howe plany maszyny do szycia. Podejrzewam, że Mozart wyśnił jedną ze swoich oper – zachichotała. – Zasadniczo chodzi o to, że wszyscy ci panowie głęboko wierzyli nie tylko w swoje umysły, ale i w siłę podświadomości. W kreatywność, która wyzwala się w najmniej oczekiwanych momentach. Większość z nas nie wierzy w nic innego poza ścisłą nauką i racjonalnym wytłumaczeniem każdej, nawet najbardziej niezwykłej rzeczy. A ja myślę, że człowiek jest energią, której nie wykorzystuje nawet w pięciu procentach. Kumulują się w nim siły potrafiące wywołać trzęsienie ziemi i nie myślę tu bynajmniej o użyciu dynamitu.

– Pewniej jest stąpać po ziemi, niż się nad nią unosić.

– Ale lubisz latać w swoich snach, prawda? To najczęściej oznacza, że jakiś ciężar spadł ci z ramion. Że uwolniłaś się od nieprzyjemnej sytuacji.

Momo zastanowiła się przez chwilę.

– Lubię, ale wolę mieć nad tym lotem kontrolę. Chcę sama decydować, gdzie i kiedy wyląduję, a nie unosić się w powietrzu, bo moja podświadomość mi tak każe. Poza tym nie latam swobodnie. Ciągle coś mnie ściąga na ziemię. Boję się, że źle wyląduję.

– Ale pamiętaj, że w snach można odpuścić sobie autonadzór. Przecież nic ci się nie stanie, nie upadniesz, nie potłuczysz się, nie połamiesz nóg. We śnie nie istnieją prawa logiki, czas

i przestrzeń nie mają żadnej władzy, a obrazy są zawsze symbolami. W przeciwieństwie do rzeczywistości, gdzie spalona bułka zawsze oznacza dokładnie to samo. Spaloną bułkę. Dlatego znikam, zanim moja piekarnia pójdzie z dymem. – Miła pomachała Momo na do widzenia, raz jeszcze gwizdnęła z uznaniem na widok łyżkowo-widelcowego kraba oraz walizkowego domku dla kotów i zniknęła szybciej, niż dziewczyna zdążyła mrugnąć.

Maszyna do szycia? Cząsteczka benzenu? Szkoda, że Mozart nie dostrzegł w porę widma własnego bankructwa.

## Rozdział 8

### NA CO KOMU HYGGE?

Śnieg chwilowo się rozmyślił. Im głębiej w grudzień, tym bardziej było mokro, czego w zasadzie wszyscy się spodziewali, ale nikt nie akceptował. Momo patrzyła, jak strugi deszczu myją jej szyby od zewnątrz i wodziła palcem za spadającą kroplą. Urządzała również zawody, która z deszczowych kropelek jako pierwsza zakończy swój wyścig.

Obserwowała ludzi, którzy chowali swój świąteczny nastrój pod parasolami, tłumiąc przekleństwa i ogólne grudniowe zniechęcenie do życia. To ciekawe, jak niewiele trzeba, żeby powrócił optymizm. Wystarczy odjąć kilka stopni, zamrozić te krople, a potem przemienić je w płatki śniegu i już panuje lepszy nastrój. Czyli jednak miała rację, wybierając biel. Czystą, prostą, zrównoważoną. Im więcej jej było w grudniu, tym bardziej topniała złość, a ludzie potrafili wysunąć się o kilka kroków do przodu przed swój egoizm.

Ktoś wszedł.

Mężczyzna kiwnął nieśmiało głową i natychmiast uciekł wzrokiem. Jak każdy, kto znajduje się w sklepie sam na sam ze sprzedawcą i boi się, że zostanie zmuszony do zakupów. Zaatakowany retorycznym pytaniem, czy czegoś szuka i czy nie potrzebuje pomocy.

– Tylko patrzę – rzucił jeszcze i zanurkował w stronę drugiego pomieszczenia, gdzie mógł w spokoju odetchnąć chwilową samotnością i ewentualnie rozejrzeć się dokoła.

Momo powróciła do obserwacji kropli na szybie. Ten człowiek schował się tu przed deszczem i na pewno nie kupi niczego, co nie będzie mu potrzebne. W ogóle nie chciał niczego kupować, po prostu jej galeria stanęła mu na drodze.

I właśnie w tym momencie do środka weszła ciotka Rebeka, wnosząc ze sobą zapach miasta, jego hałas i przekleństwa.

– Kurwa, znowu leje. Miałam dzisiaj tylko trzy godziny w szkole i chciałam potem trochę połączyć po sklepach, w sumie nie wiem po co, bo dla was prezenty już mam. A może nie mam, nie pamiętam, szczerze mówiąc. Ale to ścierwo kapiące na łeb pokrzyżowało mi plany, a tego nie znoszę. Kupuje pan coś? – zwróciła się do mężczyzny, który odważył się wysunąć nos z pomieszczenia obok.

– Nieee, znaczy nie wiem, patrzę tylko... – spłoszył się niczym kuropatwa na widok kombajnu.

– Jasne. To patrz pan może bardziej konkretnie. Co chcesz kupić swojej żonie pod choinkę? – Przeszła błyskawicznie na „ty”, a Momo tylko zamknęła oczy.

Rozpoczyna się rebekowy *rollercoaster*. Facet jest bez szans.

– Skąd pani wie, że mam żonę?

– Łatwiej zgadnąć, że ktoś ma niż nie. Zwłaszcza po obrączce na paluchu. – Wskazała głową jego prawą dłoń.



- No tak.
- To co chcesz kupić?
- Perfumy?

Rebeka zabawnie przewróciła oczami.

– Jasne. Perfumy, gacie z koronki i książkę o duńskiej metodzie bycia szczęśliwym. Odradzam. Głaskanie psa, picie kawy z kubka ubranego w sweterek czy też zjedzenie żytniego chleba z rzodkiewką jeszcze nikogo nie wyleczyło z depresji. I nie sądzę również, żeby czyniło szczęśliwym. Ten duński bełkot namieszał tylko wszystkim w głowach, ale przed autorką chyłę czoła. Zarobić kupę kasy na wciskaniu nam kitu o zbawiennym wpływie cynamonowej herbaty i pisaniu listów do przebiśniegów, to jest dopiero sztuka. Wierz mi, twoja żona nie chce *hygge*. Bierz naszyjnik.

Mężczyzna głośno przełknął ślinę.

- Ale to chyba łyżka jest.
- Była. Teraz gra inną rolę. A poza tym ma dziurę. Nie sądzisz chyba, że mógłbyś się najeść dziurawą łyżką.
- Ale czy moja żona...
- Tego nie wiem – przerwała mu Rebeka – ale pewnie ją zatka, że po raz pierwszy w życiu byłeś oryginalny. Co jej dałeś w zeszłym roku? Też perfumy?

Mężczyzna bał się odpowiedzieć.

- Tak myślałam. Co za banał. Bierz naszyjnik i torebkę.
- Tę ze starych filmów do aparatu?
- Bingo, misiu. Podoba ci się?
- Nie wiem.
- To zaryzykuj. A być może w nagrodę dostaniesz pod choinkę bzykanko. Podobno niektórzy mają częściej Wigilię niż bzykanko, więc będziesz należał do grona szczęśliwych wybrańców.

Momo próbowała udawać, że tego nie słyszy. I chociaż facet kupił i naszyjnik, i torebkę, to wiedziała, że już nigdy więcej go tu nie zobaczy. Ale i tak podziękowała ciotce. Trzysta pięćdziesiąt złotych wylądowało w kasie i to był bardzo duży grudniowy plus.

- List do przebiśniegów? – spytała jeszcze z niedowierzaniem.

Ciotka skinęła głową.

– Pisany na jakiejś własnoręcznie wycinanej serwetce. Paranoja. Poza tym nie ma jednego *hygge*. Każdy ma własne algorytmy szczęścia i to, co dla jednego jest metafizyczne, innego zabija ckliwością. Dla mnie *hygge* to wódka w dobrym towarzystwie, a dla jakiejś nimfy pewnie herbatka różana z oddechem elfa. Tylko po co to katalogować i wydawać w formie książki? – Rebeka wzruszyła ramionami, a po chwili dodała: – Słuchaj, bardzo się upieracie z matką przy wigilijnych potrawach?

Momo zastanowiła się przez chwilę.

- Nie wiem, ale to jakaś tradycja...
- Jasne. I dlatego muszę jeść grzyby, których nie znoszę. Przyniosę coś specjalnego. Wigilia ma być przyjemnością, a nie jakimś nudnym spotkaniem z dwunastoma bezpłciowymi potrawami w roli głównej. Wiesz, na co miałabym największą ochotę? Na hot doga ze stacji benzynowej. One są po prostu cholernie, dwuznacznie doskonałe! Do tego sos tysiąca wysp, której to nazwy nie pojmem do końca życia, ale najważniejsze, że dobrze smakuje. Chrupiąca bułka, paróweczka też całkiem sympatyczna, pod warunkiem oczywiście, że nie zastanawiasz się, co ma w środku. Zestaw idealny.

– Ale nie wiem czy wigilijny – zaryzykowała Momo.

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Zakaz jedzenia mięsa i nakaz żarcia ryb oraz grzybów to tradycja niewiele mająca wspólnego z chrześcijaństwem. To echo pogańskich styp. Wiesz, że mak, bób, groch, jabłka, miód i pszenica to dawne składowe stawy ofiarnej zanoszonej niegdyś na groby? I jeszcze jedno. Poszczenie w Wigilię to tradycja grekokatolicka, prawosławna i polska. Zjedzenie mięsa przez katolika w Wigilię nie jest żadnym grzechem. A przez niekatolika podwójnie żadnym. A ja mam ochotę na hot doga.

Kiedy wyszła, rozpędzając wzrokiem ciemne chmury, Momo zastanowiła się nad swoim prywatnym *hygge*. Czego ona tak naprawdę potrzebowała do szczęścia? Z pewnością nie był to list do przebiśniegów, ale również nie wódka. Momo po raz pierwszy w życiu pomyślała o sobie, że jest przezroczysta. Nie czuje się wypełniona żadnymi smakami, marzeniami, kolorami ani nawet wulgaryzmami, bo nie umiała się nimi posługiwać. Bardziej unosiła się nad ziemią, niż po niej stąpała. Nie miała nawet swojej ulubionej pozycji na kanapie ani talerzyka, z którego jadłaby ciasto.

Zresztą nie jadła ciast zbyt często.

Świat traktowała jak jedno wielkie rusztowanie, po którym przemykała bardzo ostrożnie, żeby niczego nie naruszyć i nie zburzyć. Plac budowy. Lepiej dwa razy się zastanowić, zanim człowiek zrobi krok naprzód.

A mąż?

A to, jak go poznała? Też jakoś tak... bez fajerwerków.

To była chyba wiosna... Kiedy jak zwykle w galerii pojawiły się trzy osoby, z czego jedna prawie coś kupiła, a dwie nawet nie zapachniały taką potrzebą, wywiesiła karteczkę: „Zamknięte” i pojechała do zakładu pogrzebowego, w którym pracowała Pati. Chciała trochę się wyzalić, a może nawet namówić ją na spacer, bo choć lubiła od czasu do czasu spacerować, to z pewnością nie sama. Samotność była w porządku tylko w czterech ścianach, które wtedy jeszcze wynajmowała.

– Mama jest w biurze – kiwnął jej głową Wincenty, współwłaściciel zakładu pogrzebowego, który wielbił Pati za wszystko. Wielbił platonicznie, bo miał już żonę, którą kochał szaleńczo, ale to nie przeszkadzało mu oddawać hołdów mamie Momo za to, że tak cudownie rozkręciła ich wspólny biznes. Jeśli ktoś w tym mieście chciał pochować najbliższą osobę z należytych szacunkiem i odważnym makijażem, natychmiast dzwonił właśnie do nich.

„WinPat – przeprowadzamy na drugą stronę z uśmiechem”.

Może i mało oryginalne, ale bardzo skuteczne hasło.

– Przepraszam – powiedziała Momo na widok młodego mężczyzny, który siedział w biurze i omawiał z mamą pochówek brata dziadka.

Mężczyzna był klasycznie urodziwy i miał zadbane paznokcie, co nie jest oczywistością w przypadku płci męskiej.

I to był właśnie jej były mąż, choć wtedy jeszcze przyszły.

– Kamil.

– Momo.

Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie dwa spojrzenia przetną się na tyle intensywnie, że potem człowiek czuje potrzebę patrzenia na siebie dłużej i częściej. W ich przypadku to był zakład pogrzebowy, w którym jej mama pełniła funkcję tanatokosmetologa i współwłaścicielki. Kamil i Momo wyszli stąd z obietnicą dalszych spotkań oraz zapowiedzią czegoś, co ostatecznie

zakończyło się małżeństwem, i nawet jeśli ich szczęście nie sięgało gwiazd, Momo zupełnie to wystarczało. Ucieszyła się, że znalazł się ktoś, kto się jej spodobał i komu spodobała się ona. Ktoś rozsądny, z zadbanymi paznokciami. W butach, które nie miały szpiczastych nosków (Momo ich nie znosiła), z uśmiechem przyjemnym, ale nie lepkiem.

No Kamil właśnie.

Starczył na całe trzy lata i wcale nie był to czas tak zupełnie stracony.

– Przypominasz mi butelkę wody gazowanej – powiedziała jej niedawno Pati, kiedy Momo znalazła w szafie zapomnianą koszulę swojego byłego męża i zamiast w niej zatonać, szlochając niczym świtezianka, zachwiać się ze wzruszenia wymieszanego z rozpaczą, po prostu ją wyrzuciła.

– Wody? – zdumiała się jej córka.

– No wiesz, takiej, którą się od razu zakręca, żeby nie uleciały z niej bąbelki. Tyle, że ty zakręcasz się sama. I dajesz siebie tylko po kropelce.

Ciotka Rebeka nazwałaby to bardziej dosadnie.

– Dziecko, jesteś jak zakonnica. Nigdy w życiu nie dopuścisz do siebie pełnej rozkoszy, choć fizjologia każe inaczej. Więc będziesz tylko pojękiwać po cichu, zamiast ryknąć niczym spełniona samica szympansa.

## Rozdział 9

### SEN NUMER CZTERY

*Spadają na mnie kawałki filcu. A potem zakrętki od butelek. Kolorowe piórka, spinacze, stare gazety, guziki. Deszcz wszystkiego, co niepotrzebne. Kucam i szukam drzwi w podłodze. Wiem, że to absurdalne, ale czuję, że gdzieś tu musi znajdować się jakieś wyjście. W końcu udaje mi się namacać klamkę i silnym szarpnięciem otworzyć ukryte drzwi. Zatrząskują się za mną z hukiem, a ja ostrożnie spoglądam w dół.*

*Schody.*

*W rzeczywistości nigdy bym nimi nie zeszła, nie wiedząc, co znajduje się na ich końcu, we śnie jednak moja odwaga została podniesiona do potęgi trzeciej. I pomnożona przez ciekawość.*

*Las?*

*Jestem w świerkowym zagajniku i nawet czuję jego zapach. Nagle choinki chwytają się za ręce i zaczynają wirować wokół mnie tak szybko i intensywnie, że aż kręci mi się w głowie. Siadam na mchu i zamykam oczy.*

*– Dzień dobry – dobiega mnie jakiś głos z prawej strony.*

*Nie ma już świerków, polany, zniknęły gdzieś schody. Koło mnie stoi starsza kobieta w kolorowej masce weneckiej na twarzy i żongluje pomponami z czapek.*

*Chcę coś powiedzieć, ale starsza pani jest szybsza.*

*– Przepraszam, pomyliłam sny. Ale zostawię ci maskę i pompony – to mówiąc, wyciąga przed siebie rękę, a potem ulatnia się niczym para wodna.*

*Pomyliła sny?*

*Nagle nad moją głową przelatuje wielki balon, a w nim...*

*Serce bije mi zdecydowanie szybciej. Znowu widzę zielony sweter. Bo widać go nawet z dołu, podobnie jak jego właściciela w weneckiej masce na twarzy, który szeroko się uśmiecha, a potem nagle schyla i wyrzuca coś z kosza.*

*No nie. Déjà vu?*

*Spadają na mnie kawałki filcu. A potem zakrętki od butelek. Kolorowe piórka, spinacze, stare gazety, guziki. Deszcz wszystkiego, co niepotrzebne. Czyżbym znowu miała poszukać jakichś drzwi?*

*Balon zaczyna obniżać swój lot, więc czuję przyjemny dreszcz, że wreszcie zobaczę mężczyznę w zielonym swetrze. Biegnę w jego stronę, a obok mnie kołysz się zielone świerki. Tylko dlaczego wyrósł nagle przede mną ten wielki las? Gdzie jest balon? I dlaczego ktoś owinął mnie folią bąbelkową tak ciasno, że znowu nie mogę zrobić kroku?*

*Otwieram usta, ale tylko po to, by wyleciały z nich bańki mydlane o smaku, którego nie potrafię rozpoznać.*

Momo zdecydowała, że jednak kupi sennik. Nie wierzyła wprawdzie w przepowiednie, wróżby i pseudonaukowe tłumaczenia zjawisk dziwnych i dziwniejszych, ale nie miała innego pomysłu na interpretację swojego nocnego życia. Coś najwyraźniej dawało jej znaki, coś miała zrozumieć, ale pewnie była zbyt głupia, by sama do tego dojść.

– Co miałas na myśli, mówiąc, że niezinterpretowany sen jest jak nieotwarty list? – spytała Miła, kiedy tylko weszła do piekarni, bez „dzień dobry” czy choćby kiwnięcia głową.

Ale czasem powitanie jest już zawarte w pytaniu.

– Pracowałam kiedyś w Biurze Przesyłek Niedoręczonych. Miejscu magicznym, choć smutnym, gdzie lądowały wszystkie te listy i paczki, które z jakiegoś powodu nie mogły trafić do adresata. Przez przypadek, niedopatrzenie, błędny adres. Niedobrze, bo czasem nieprzeczytany w porę list może zepsuć czyjąś przyszłość. Lub namieszać w niej na tyle, że już się nie chce czekać na kolejne dni. Człowiek snuje się zamiast żyć, brodzi, jakby pod nogami miał kiesel, na wszystko patrzy chmurnie. Ze snami jest podobnie. Jeśli ich nie zrozumiesz, będą cię męczyć, szczypać i zaczepiać.

– Myślałam, że sen to tylko skumulowane napięcie, którego nałykałam się w ciągu dnia i dlatego nocą musi znaleźć jakieś ujście. Przecież każdy z nas śni. I w ten sposób odreagowuje codzienność.

Miła pokręciła przecząco głową.

– Nie do końca. To raczej zaproszenie do innego wymiaru, do którego zazwyczaj nie mamy dostępu w realnym życiu. Na co dzień funkcjonujemy głównie na płaszczyźnie fizycznej, nocą dochodzi do tego poziom duchowy. Te dwa światy zaczynają się przenikać, informować wzajemnie o tym, co nas dotyczy. Robią to na różne sposoby. Poprzez absurd, wywoływanie strachu lub smutku, poprzez śmiech i zabawę. Ale zawsze chcą nam coś powiedzieć.

– A jeśli to tylko zwykła sekwencja dźwięków lub obrazów? Bez znaczenia?

– To dlaczego śni ci się właśnie to, a nie co innego?

– Tańczące świerki?

– Na przykład.

– Kolory?

– Też.

Momo wzruszyła ramionami.

– No właśnie tego nie rozumiem.

– Gdyby sny nie miały znaczenia, każdy śniłby dokładnie o tym samym. Ale to nie tak. To nie są wytwory nocy ani podszepty naszej wyobraźni, tylko głos podświadomości. Nawet jeśli wiele osób śni o lataniu, o tym, że znowu znalazły się w szkole, choć kompletnie nie są przygotowane, o spacerowaniu nago po ruchliwej ulicy, to i tak każdy z tych snów jest osadzony w innej rzeczywistości, przeznaczonej wyłącznie dla tej, a nie innej osoby. Każda nagość, egzamin czy przechodzenie na drugi brzeg są inne. Mówiłaś ostatnio, że ciągle śniesz o tym samym, ale teraz to się zmieniło.

Momo pokiwała głową.

– Pewne elementy nadal się powtarzają, ale faktycznie, sam sen ulega zmianie. Ciągle widzę mężczyznę w zielonym swetrze i nie mogę z nim porozmawiać. Nie mogę nawet zobaczyć jego twarzy, choć bardzo bym chciała.

Miła poprawiła fioletowy szal na swoich ramionach i powiedziała:

– Śnij dalej. Po kolei. Aż w końcu go zobaczysz. I wiesz co? Zaparz sobie te zioła. – Podeszła do parapetu i zerwała kilka listków.

– Co to? – zdumiała się Momo.

– Chmiel i anyż. Ten pierwszy działa wyciszająco i uspokajająco, twoje sny nie będą cię zatem więcej atakować, a drugi ma w sobie dużo energii ochronnej. Stabilizuje nas, broni przed koszmarami. Powinnaś śnić spokojnie, w równowadze wewnętrznej i mieć komfort obserwowania tego, co przynosi ci sen. A nawet jeśli to wszystko nieprawda, to przynajmniej napar z tych ziół smakuje całkiem przyjemnie. – Puściła do niej oko.

Mieszkanie Momo było od dwóch lat jej własnym, za co mogła podziękować swojemu byłemu mężowi, nawet jeśli był to prezent na pożegnanie. Początkowo tylko je wynajmowali, ale rok po ślubie zdecydowali się na zakup. Trochę pieniędzy dorzuciła im Pati, resztę jego rodzice. I nawet nie protestowali, kiedy to ona w nim została, a on odszedł do innej kobiety, która na szczęście miała własny dom. Miała też psa oraz fajną kosiarkę do trawy. Zabrał tylko kilka swoich drobiazgów, biurko, komputer oraz fotel, do którego się przyzwyczył. Dwa obrazy, których Momo i tak nie lubiła, ekspres do kawy oraz metalowy pojemnik do chłodzenia wina. Wziął też ubrania (oprócz tej niebieskiej koszuli, która u Momo nie wywołała łez), teczkę skórzaną, siedem par butów i wyciskarkę do soków.

– Mieliśmy wyciskarkę? – zdumiała się wtedy Momo.

Domowe biuro, w którym pracował, przemieniło się w niewielki skład rzeczy niepotrzebnych, do którego Momo wrzucała wszystko to, co zabierało jej przestrzeń i zakłócało ład pozostałej części mieszkania. Oraz to, czego mogła użyć do swoich prac. Pokój stał się w końcu pudełkiem recyklingu, swoistym magazynem półproduktów, składnikiem rzeczy niezdefiniowanych, czekających na swoją drugą szansę.

Dlaczego zajrzała tam właśnie teraz?

Godzinę później siedziała w pracowni na dole i wycinała kółka z zielonego filcu. Na każdym z nich naklejała przezroczyste kule z dmuchanego szkła i znowu je przedzierała kolejnymi, tym razem mniejszymi filcowymi kółkami. A potem wzięła naręcz starych metalowych wieszaków i zaczęła je ze sobą przeplatać, a na ich ramionach zawiesiła zwinięte kulki papieru na przezroczystej żyłce, co dawało efekt niezwykłej lekkości, zupełnie jakby papier unosił się w powietrzu. I jeszcze nakrętki od butelek, które zbierała, bo zbierają je przecież wszyscy. Naklejone na drewnianą płytę, spryskane białym sprejem i ozdobione zasuszonym plasterkiem pomarańczy na samym czubku konstrukcji.

A potem białe pióra, kartony, worek guzików, kora, kamienie, korki od win. Skrawki materiałów, metalowe zakrętki od słoików i wreszcie same słoiki.

I nagle powstało kilkanaście cudownych choinek, które postawiła na oknie i które nie zostały tam zbyt długo, bo przecież w grudniu choinki rozpierzchają się do nowych właścicieli i razem z nimi przygotowują do Wigilii.

Jedną z nich zrobiła z myślą... No właśnie, o kim?

Zielona, z papieru, trójwymiarowa i naprawdę maleńka. Zamknięta w szklanym pojemniku razem z nadzieją, że znajdzie swojego właściciela, który nosi sweter w podobnym kolorze. Postawiła ją nieco z boku, jakby chciała ukryć przed wzrokiem kupujących, a jednocześnie pokazać temu, który miał ją zobaczyć.

Wibrujący dźwięk komórki.

– Mamo, nie mogę rozmawiać, mam klientów – powiedziała przez telefon Momo i sama zdziwiła się, że to prawda.

Miała klientów. Męskich, żeńskich, dziecięcych. Starszych, młodszych, w wieku trudnym do określenia. Pachnących śniegiem, zimnem, proszkiem na mole. Spryskanych perfumami lub wodą po goleniu.

– Dużo?

– Mnóstwo.

Pati zapiszczała.

– A co biorą?

– Choinki.

– Zainwestowałaś w prawdziwe drzewka? Może to i jakiś pomysł! W końcu zbliżają się święta.

– Nie. Zrobiłam je sama. Ze wszystkiego, co tylko przyszło mi do głowy. Albo raczej ze wszystkiego, co mi się przyśniło.

Momo pakowała swoje własnoręcznie robione recyklingowe choinki i czuła, jak zaczyna wypełniać ją nastrój, który można by nazwać przedświątecznym podnieceniem. Obietnica czegoś, co już za chwilę się wydarzy i będzie smakować jak kawa u Mili. Jagodowo z posmakiem cytrusów.

Poprawiła szklany pojemnik z papierową, trójwymiarową choinką pomalowaną na zielono. Zmrużyła na chwilę oczy, potem zamknęła galerię i pomyślała, że z prawdziwą przyjemnością zanurzy się dzisiejszej nocy w kolejny sen i może dowie się czegoś nowego.

A dla pewności wypije ten napar z anyżu i chmielu.

## Rozdział 10

### LENA

Trzynastolatki nie mają łatwego życia. Po pierwsze, wyrastają z kombinezonu dziecka posłusznego i wskakują w skafander utkany z hormonów i pryszczycy. Po drugie, nie rozumieją, dlaczego nikt ich nie rozumie. A po trzecie, odkrywają, że świat jest głupi, dorośli jeszcze bardziej, a one muszą same temu wszystkiemu stawić czoła.

– Dupa, cholerna dupa – te właśnie słowa usłyszała ciotka Rebeka, gdy wracała z gimnazjum, w którym uczyła historii. Ostatnio coraz częściej chodziła pieszo, zawsze zahaczając o galerię swojej siostrzenicy, do której lubiła zaglądać choćby bez powodu. I chociaż sama była miłośniczką dosadnego wyrażania emocji, to jednak w ustach nastolatki słowo „dupa” zabrzmiało jakoś mało elegancko.

– Kto niby? – zapytała więc natychmiast i wbiła ciemne spojrzenie w twarz pryszczatego dziewczęcia.

– Co?

– Kto jest cholerną dupą?

– Świat – wzruszyła ramionami dziewczyna.

Rebeka spojrzała na nią zdumiona. Skąd ta wiedza w tym wieku?

– Coś w tym jest – zgodziła się po chwili. – Choć oczywiście bywają momenty lepsze i gorsze, więc chyba zbyt uogólniasz.

– Procentowo wypada na niekorzyść świata.

– Zależy, jakie parametry bierzesz pod uwagę.

– Tradycyjne.

Rebeka wzięła głęboki oddech.

– Bardzo chętnie...

– Ale ja mniej chętnie – przerwała jej natychmiast dziewczyna, a potem wystawiła język i pognała co tchu w trzynastoletnich płucach przed siebie.

Rebeka nawet nie zdążyła jej porządnie opieprzyć, więc tylko wzruszyła ramionami i z ciekawością zerknęła na wystawę w oknie galerii Momo.

Choinki?

Banalne doprawdy, zwłaszcza przed świętami, ale najwyraźniej skuteczne. W środku było całkiem sporo ludzi, a Momo po raz pierwszy od dawna wyglądała na mocno zajęta.

Choinka z piórek. Dość eteryczny pomysł, podobnie jak wykonanie. Za to cena przynajmniej bardzo stabilna. Sto dwadzieścia pięć złotych. I jeszcze jakieś drzewko zrobione z zielonych butelek po wodzie mineralnej. Praktyczne. Nie trzeba podlewać, nie trzeba martwić się opadającym igliwem. Co prawda, nijak miało się to do starotestamentowej tradycji bożonarodzeniowych drzewek z Księgi Izajasza, roślin żywych i prawdziwych (jodły, sosny lub



bukszpanu), z drugiej strony Rebeka uwielbiała puszczenie oka do skostniałych zasad. Niby dlaczego ścinać prawdziwe drzewa? Niby po jaką cholere ubierać je w te wszystkie świecidełka? Zresztą strojenie choinki Polacy wzięli od Niemców i pewnie większość nie miała o tym pojęcia, inaczej już dawno by się zbuntowali. Od Niemca można co najwyżej wziąć odszkodowanie.

Rebeka postanowiła nie przeszkadzać siostrzenicy w handlowej wymianie uprzejmości oraz przepływie świątecznej gotówki, zrezygnowała więc nawet z przywitania się i poszła dalej, w stronę swojego mieszkania, w którym właśnie trzeszczała rura w łazience, by wieczorem pęknąć na dobre.

A dziewczynka z pryszczami i zapasem świeżych hormonów miała na imię Lena.



Momo zrobiła coś bardzo dziwnego, co nawet ją samą wprowadziło w pewne zdumienie, ale starała się nie okazywać tego sprzedawcy, a nawet udawać zorientowaną i zdecydowaną. Nie patrzyła mu wprawdzie w oczy, tylko prześlizgiwała się wzrokiem po różnych produktach na półkach, udając, że ciągle dokonuje wyboru.

I zrobiła to.

Kupiła ekspres do kawy. W kolorze białym, co więcej – identyczny jak ten, który kiedyś podarował jej były mąż. Kolbowy. Z dyszą do spieniania mleka.

– Idealne urządzenie dla kogoś, kto uwielbia rytuał parzenia kawy, szuka urządzenia prostego w obsłudze i nie przeszkadza mu fakt, że po dwóch filiżankach będzie musiał oczyścić kolbę z fusów.

Bingo. Nic się nie zgadzało.

Ale Momo nie mogła już pić zbożówki i nie mogła za każdym razem biec do Mili, zwłaszcza kiedy zapragnęła napić się kawy o godzinie dwudziestej drugiej zero siedem.

– Chyba że woli pani kawiarkę? Parzy cudowne *espresso*, ale są też minusy. Sam czas parzenia jest dość długi, a poza tym trzeba każdorazowo czyścić czajniczek po użyciu.

Nigdy.

– Nie, ten kolbowy wydaje się idealny. Ma pan w białym kolorze?

Sprzedawca kiwnął głową.

– Doskonały wybór.

– A gdybym wzięła kawiarkę?

Sprzedawca nie zrozumiał.

Momo spytała więc odważnie:

– Czy wtedy to też byłby doskonały wybór?

– Yyy, no tak...

– Czyli w zasadzie zawsze byłby to doskonały wybór.

Sprzedawca zniżył głos.

– Odradzam kapsułkowe. Moim zdaniem nie wydobywają prawdziwego aromatu kawy. Są dla ludzi, którzy żyją w pośpiechu i tak naprawdę nie interesuje ich sam smak. Po prostu chcą mieć jakiś ekspres. Poza tym wszystko zależy od ciśnienia.

– To znaczy?

– Im wyższe ciśnienie, tym jakość kawy lepsza. W ekspresach ciśnieniowych przez zmielone

ziarenka tłoczona jest gorąca woda pod ciśnieniem. Dzięki temu z drobinek wydobywa się pełnia aromatu i smaku. Ale u ludzi jest odwrotnie.

– Czyli?

– Im wyższe ciśnienie, tym mniejsze efekty – zachichotał, chyba znacząco.

Momo nie mogła się z nim nie zgodzić.

A teraz stała w kuchni, parzyła kawę, patrzyła, jak spływa do filiżanki, jak szumi, syczy i fuka, i cieszyła się na moment, kiedy zasiądzie na kanapie i otworzy sennik.

*Hygge?*

Zaśmiała się sama do siebie.

Kolor zielony oznacza ozdrowienie i usunięcie przeszkód. Ale kiedy jest ciemny, może symbolizować chciwość. Jaki był ten sweter? Bardziej jak las czy czerwcową trawę? Malachit czy groszek? A może świeży bób?

Zobaczyć balon – malejące nadzieje na miłość. To nie była dobra przepowiednia, bo przecież ten mężczyzna w zielonym swetrze siedział właśnie w balonie...

Latanie – nowe wyzwania, nowe projekty. Chyba się udało, choć z drugiej strony, to mógł być tylko przypadek.

Ujrzyć świerk – zakochać się.

Momo uniosła brwi. Ona zobaczyła cały zespół tańczących świerków, czyżby więc...?

Upiła łyk kawy i odłożyła na bok książkę. To nie może być takie proste, takie oczywiste. Mila ma rację. Każdy sen oznacza coś innego, bo dopasowany jest do swojego właściciela. Można się trochę sugerować pewnymi wskazówkami, ale tak naprawdę odpowiedź trzeba znaleźć samemu. Mozart, Kekulé von Stradonitz, Howe. Dołączyła do nich. Przyśniło jej się coś, co wykorzystwała w rzeczywistości. I co zaczęło przynosić sukcesy. Ludziom najbardziej spodobał się naścienny zestaw choinkowy. Siedem desek, każda innej długości. Przybijało się je od najkrótszej na górze do najdłuższej na dole, a pomiędzy nimi doczepiało ozdoby świąteczne. Nie zabierała miejsca, była alternatywą dla tradycyjnego drzewka i na każdej ścianie wyglądała zjawiskowo.

No i nie usychała.

Momo spojrzała przez okno. W domu naprzeciwko w większości mieszkań były już pozapalane światła. Ludzkie cienie w oknach przesuwaly się to szybciej, to wolniej, niektóre biegały, inne zdawały się tańczyć. Mieszały coś w garnkach, siedziały przed telewizorem albo leżały już w łóżkach.

Jak Lena.

Telefon wyrwał Momo z rozmyślań, obserwacji i czytania sennika, który niczego jej nie ułatwiał.

– Kurwa, zalało mnie.

Ostre cięcie nożem, które przepędziło ewentualne *hygge* aż na Alaskę.

– Co się stało?

– Pękła rura w łazience, zalało mi mieszkanie, a przy okazji mieszkanie sąsiada. Jego to akurat mam w dupie, brzydki i niemiły jak cholera, ale ja stoję po kostki w wodzie, a wszystko chyba zaczyna śmierdzieć. Dobrze, że umiem pływać.

– Dzwoniłaś po pogotowie wodociągowe?

– Tak, zaraz będą. Powiem ci tylko, że nienawidzę takich akcji. Zapierdalam ze ścierą jak ruski czołg na Łuku Kurskim, a końca nie widać.

– Chcesz spać dzisiaj u mnie? – Momo sama się zdziwiła, że ta propozycja wyszła od niej tak łatwo.

– Chcę, ale nie mogę. Muszę to wysprzątać. Znikam, bo ktoś wali do drzwi, pewnie hydraulik gotowy na wszystko. Oby miał dobry sprzęt. Ten do naprawy też – zachichotała złośliwie i się rozłączyła.

A Momo odetchnęła z ulgą, że ciotka odmówiła, że jednak została u siebie, nawet jeśli po kostki w wodzie. Wzięła szybki prysznic, wypła duszkiem zaparzony anyż z chmielem i zniknęła pod kołdrą, szybko zamykając oczy. Zupełnie jakby chciała przyspieszyć swoją kolejną nocną przygodę, oczyścić psychikę z emocji i wszystkich tych myśli, które pojawiły się w dzisiejszym dniu. Zanurzyć się w innej rzeczywistości, rozbudzić w sobie wewnętrznego marzyciela i zobaczyć, co jeszcze powinna zrobić, by ujrzeć mężczyznę w zielonym swetrze.

Coś jej mówiło, że kiedy się wreszcie spotkają, wszystko samo się jakoś rozwiąże, choć przecież nie do końca znała swoje supelki i węzły. Z jednej strony czuła się bezpiecznie. Schowana w czarnych ubraniach, z twarzą przesłoniętą rudymi włosami. Miedzianymi. Bez makijażu, z bezbarwnym lakierem do paznokci. Z drugiej jednak czuła, że jest jeszcze inna Momo, która być może nie lubi czarnego koloru.

– Żyj – szepnął jej ktoś do ucha, ale nie potrafiła powiedzieć, czy były to tylko omamy, czy właśnie odpłynęła w pierwszą fazę snu.

## Rozdział 11

### SEN NUMER PIĘĆ

Gdzieś już widziałam te ponumerowane kartony. Z moim imieniem wykaligrafowanym ładnym, starannym pismem. Sen wrzucił mnie w swój środek i chyba postanowił odrobinę wystraszyć. Ogromne, przestronne pomieszczenie, oświetlone jasnymi jarzeniówkami. Z dużą ilością okien i śliską podłogą. Okna są czarne, boję się do nich podejść, jakby w obawie, że zobaczę za nimi coś złego.

Czy to jest muzeum?

Rozglądam się ostrożnie. Nie ma żadnych eksponatów, żadnych obrazów ani rzeźb. Tylko te kartony. Powoli podchodzę do jednego z nich i zaglądam do środka.

Wolno mi?

W muzeum przecież jest to surowo zabronione, ale tutaj najwyraźniej nie ma żadnego kustosza, pań pilnujących ani nawet kamer.

Kiedy wyciągam z pudełka zeszyt w kratkę, chce mi się płakać. Mój pierwszy zeszyt do matematyki. Staranne słupki, bardzo wyraźnie napisane cyfry. Jeden plus jeden, dwa plus dwa. Niebieski długopis może już trochę wyblakł, ale ciągle jeszcze można wszystko odczytać.

Pociągam nosem. Ze ściśniętym sercem podchodzę do kartonu numer dwa. Coś mignęło za oknem. Przelykam ślinę, ale wiem, że muszę pokonać strach. Łyżwy, na których jeździłam z ojcem. Jedna z nielicznych rzeczy, które ze mną robił. Ślizganie się było jego żywiołem, kręcił jakieś zwariowane piruety i uczył mnie, jak się robi jaskółkę. W kartonie numer trzy znajduję swoją ulubioną zabawkę. Pluszową świnkę, z którą spałam chyba aż do końca podstawówki. Świnkę przywiózł mi ojciec trochę jako upominek, trochę jako zadośćuczynienie za nieobecność podczas Dnia Taty, który obchodziliśmy w przedszkolu.

I są jeszcze pierwsze korale, pierwszy kosmyk włosów, muszelki, pocztówki, kamyki i kasety magnetofonowe.

Kręci mi się w głowie. To moje własne muzeum. Galeria wspomnień, które mnie ukształtowały, rzeczy, do których byłam przywiązana. Pozostałości po dawnym życiu, zapach dzieciństwa. Czas zamknięty w ponumerowanych kartonach.

W podłodze znowu widzę jakieś ukryte drzwi, ale tym razem nie mogę ich otworzyć.

– Co pani robi?

A więc jednak ktoś tu pracuje?

Kobieta ma ostre rysy twarzy, pluszowe bambosze na nogach i granatową sukienkę z białym kołnierzykiem. Wygląda bardzo oficjalnie, mimo że bambosze są za duże i czerwone.

– To moje rzeczy.

– Nie, proszę pani, to jest muzeum. A w muzeum eksponatów się nie dotyka.

Kiwam głową na znak, że przepraszam. Ale to naprawdę są moje rzeczy.

– Myślałam, że jestem tu sama.

– Nigdy nie jesteście sami.

– A te drzwi? – pytam cicho.

Kobieta kręci przecząco głową.

– Nie dla pani.

Nagle coś mi mówi, że za tymi drzwiami znajduje się mężczyzna w zielonym swetrze. Tak, na pewno! Muszę tam wejść!

– Proszę mnie wpuścić! Proszę mnie tam wpuścić! – wołam do kobiety, która cofa się z nieodgadnionym spojrzeniem.

– A ty?

– Co ja? – dziwię się.

– A ty kogoś do siebie wpuszczasz?

Jej twarz okropnie się wykrzywia, robi się brzydka, pomarszczona, a z ust wystają ostre zęby. Palce przemieniają się w węże.

Proszę otworzyć te cholerne drzwi!

Podobno nie popełniamy w swoim życiu błędów, a każda decyzja, nawet ta, która po jakimś czasie okazuje się nietrafiona, tak naprawdę jest tylko kolejnym elementem składającym się na nasze doświadczenie. Każdy wybór czemuś służy, podobnie jak każdy brak wyboru. Koniec końców, kiedy leżymy w trumnie, wszystko się kasuje, a decyzje, wybory i postanowienia przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Przynajmniej dla leżącego.

Pati nakładała właśnie specjalny puder na twarz zmarłego i, jak to zwykle bywało w takich momentach, zastanawiała się nad własnymi błędami czy raczej drogą, którą obrała jakiś czas temu. Dlaczego odszedł od niej mąż? Umowny mąż. W którym momencie podjął decyzję i co miało na nią wpływ? Po iluś latach doszła do wniosku, że bez względu na to, co by zrobiła, jak się zachowała i jakich konkretnie użyła słów, Perkoz i tak w końcu ruszyłby przed siebie. Perkoz to stuningowane imię Kacper. Kacper. Per. Perkoz.

Oczywiście sam to wymyślił.

– Daj spokój, zawsze gnało go ku falującym biustom, bezstanikowo rozwiośnionym – powiedziała Rebeka.

– Ja też mogłabym chodzić bez stanika.

Rebeka prychnęła.

– Problem polega na tym, że już nie powinnaś. Ani ja. Cycek to wredna część ciała, flaczeje szybciej niż nasza dusza. A ponieważ ktoś kiedyś wymyślił, że cycek ma być dorodny, jędrny i przypominać waniliowy stożek, większość kobiet po czterdziestce sama schodzi z bieżni. Zostają na niej tylko te, których piersi ciągle jeszcze porywają męskie spojrzenia. I robią burzę w spodniach.

Pati westchnęła.

– On i tak by odszedł. Bez względu na stan moich cycków.

– Pewnie tak. Coś go pchało przed siebie, a on nie potrafił się temu oprzeć. Zresztą perkozy uchodzą za jedno z najpiękniejszych ptaków wodnych, więc sama rozumiesz, że chciał się sobą podzielić. Byłby egoistą, uszczęśliwiając tylko jedną kobietę. Większość mężczyzn tak uważa. Taki król Francji Filip II August na przykład. Ożenił się z Agnieszką, siostrą Jadwigi Śląskiej, i w sumie nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że miał już żonę, duńską królową

Ingeborgę. Tylko z nią coś było nie tak, bo zaraz po nocy poślubnej zapałał do niej obrzydzeniem. Historycy nie ustalili dlaczego, ale moim zdaniem musiała śmierdzieć. Więc sama widzisz. Faceci są wielowątkowi, jeśli chodzi o kobiety, a my musimy się z tym pogodzić. Albo kopnąć ich w dupę.

Pati zamyśliła się.

Był taki moment, kiedy wydawało jej się, że Perkoz naprawdę się zgubił. Bo przecież nikt nie odchodzi tak całkiem bez pożegnania. Bez słów, nawet niedobrych, ale przynajmniej ze zrozumiałym przesłaniem. Nie Kocham, mam w dupie, poznałem inną.

Nic.

Pojechał w trasę, z walizką i saksofonem, na którym wcale nie umiał tak dobrze grać. Nie mówił, kiedy dokładnie wróci, a na pewno nie wspominał o latach. Już wcześniej zdarzały mu się takie wypadki, o których Pati wiedziała niewiele, a właściwie nic. Tyle tylko, że „musi, bo coś go gniece, coś go chwyta za szyję, nie pozwala spać i każe ciągle przebierać nogami”. I wyjeżdżał. A potem wracał, a ona o nic nie pytała, bo lepiej słuchać milczenia niż kłamstw. Czasem zamykał się w swoim pokoju i siedział w nim przez kilka dni, z małymi przerwami na posiłki. Mało mówił, patrzył szklanym wzrokiem. Zupełnie jak nie on. Czasem się „zawieszał”. Zupełnie jakby coś na moment odcinało mu prąd. Ale wracał po tej przerwie jeszcze bardziej energiczny, pełen pomysłów, które najbardziej zachwycały jego samego. Czy to możliwe, że umarł? Że się utopił, a ciało nigdy nie wypłynęło? Czy dzisiaj można w ogóle umrzeć bez żadnych konsekwencji?

Poszła raz jeszcze na komisariat, ale tam ciągle tylko bezradnie rozkładali ręce. I pytali, czy miał wrogów, kogoś, kto go nie lubił czy wręcz nienawidził. A przecież Perkoza kochali wszyscy, był duszą towarzystwa, choć Rebeka mówiła, że raczej dupą.

– Taką fajną, męską dupą, która po prostu musi być na każdej imprezie.

Potem pytali o miejsca, w których lubił bywać.

Cały świat.

O znajomych, przyjaciół, krewnych, kolegów z pracy.

Jakiś milion.

O to, jak się zachowywał w dniu zaginięcia.

Jak Perkoz. Śmiech, uśmiech, ogniki w oczach.

To może Alzheimer, schizofrenia, depresja, padaczka?

Pati spojrzała na nich przeciągle, więc od razu zaczęli się tłumaczyć, że to po prostu rutynowe pytania.

I kazali przeszukać osobiste rzeczy. Więc przeszukała kolorowe koszule, kolorowe swetry, kieszenie spodni, kolorowych marynarek, nawet do butów zajrzała. I wtedy wpadło jej w ręce zdjęcie tej kobiety ze złotymi lokami i rzęsami wymalowanymi na niebiesko. Uśmiechała się na nim tak, jakby osoba, która robiła to zdjęcie, stała przed nią nago i puszczała oko. Czy to Perkoz zrobił tę fotkę? Czy to on stał za obiektywem? Odwróciła fotografię.

*Dla K. Za wszystko.*

Dla K... Kacpra? Na kilka miesięcy odpuściła poszukiwania.

– Tylko Momo mi szkoda – westchnęła teraz.

– Poradzi sobie. Większość dzieci wychowuje się dzisiaj bez ojców i nie każde kończy w rowie.

– Momo się zamknęła. Zaszyła. I wierz mi, to nie jest żadna fastryga.

– Coś ją w końcu otworzy. Albo ktoś.

– Kamil nie dał rady.

– Bo był pipą. A tu trzeba drwała z jajami.

Rebeka też martwiła się o swoją siostrzenicę, ale wiedziała, że żadna ingerencja nie przyniesie pożądanых skutków. Momo nie chciała porad ani wskazówek. Chciała być taka, jaka jest, trochę samotna, ale przynajmniej na własnych warunkach. Była jak driada, leśna nimfa żyjąca w drzewie, schowana gdzieś, otulona własnymi gałęziami. Tylko nielicznym udało się ją zobaczyć.

Seweryn na przykład dojrzał w Momo nie tylko ukrytą driadę, nie tylko rude włosy (miedziane), które go całkowicie zachwyciły, ale i wyczuł jej zapach, od którego niemal się uzależnił. I nie chodziło tu ani o perfumy, których używała, ani o mydło czy też rodzaj szamponu, tylko specyficzny aromat samej Momo, prawdopodobnie niewyczuwalny dla nikogo innego na świecie. A Seweryn znał się na zapachach jak mało kto.

Zawód, który wykonywał, był dość krępujący, zwłaszcza kiedy musiał głośno wypowiedzieć jego nazwę. Bo Seweryn był nosem. Testerem zapachów – i naprawdę rzadko kiedy bywały to perfumy. Częściej kadzidełka, świece zapachowe, *potpourri*, choinki samochodowe. Seweryn miał duże zdolności sensoryczne oraz świetną pamięć zapachową i dlatego właśnie został nosem doskonałym. Ale czy nos miał szansę u driady?

Widował ją rzadko, choć gdyby chciał, mógłby poprawić te statystyki. Był jej sąsiadem z piętra niżej, a przecież sąsiedzi mają prawo pożyczać od innych cukier, mąkę lub nawet udawać, że coś skrobie po ścianie, i zapytać, czy u tego kogoś również. Kiedy dotarło do niego, że mąż Momo wyprowadza się i to na zawsze, chciał jej nawet pogratulować, ale na wszelki wypadek najpierw pogratulował samemu sobie. A potem ułożył milion doskonałych zagajek, pytań oraz scenariuszy przypadkowych spotkań, dzięki którym mógłby zbliżyć się do Momo nieco bardziej niż tylko w snach.

Bo Seweryn również śnił. O Momo.



– No dobrze, to zacznijmy od początku. Najpierw były sny o kolorach. I unoszeniu się w powietrzu – Mila skończyła właśnie wykladać ostatnią partię maślaných rogalików, więc miała czas, żeby przysiąść się do Momo i spokojnie porozmawiać.

– W zasadzie to ja ciągle latam. Nigdy nie jest tak, że po prostu dokąds idę. To unoszenie się w powietrzu...

– ... to zawsze wyzwolenie – Mila weszła jej w słowo. – Lot pozwala ci spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, a jednocześnie pokazuje, jak kontrolować samą siebie.

– To znaczy?

– Jeśli unosisz się w powietrzu bez żadnych przeszkód, co, jak wiemy, w rzeczywistości jest po prostu niemożliwe, to znaczy, że potrafisz panować nad sobą, nad swoim życiem, że wiesz, co robisz. Że czujesz się wolna.

– Ale to nie jest tak, że latam swobodnie. Czasem coś staje mi na przeszkodzie.

– Pewnie twoje własne ograniczenia, lęki i słabości. To swobodna interpretacja, ale przyznasz, że trochę do ciebie pasuje.

Momo pokiwała głową.

– Kiedy sny zaczęły się zmieniać? – pytała dalej Mila.

– Nie wiem.

– A zrobiłaś coś pod ich wpływem?

– Przyszłam do ciebie i wypłam kawę.

Mila uniosła ze zdziwienia brwi.

– A wcześniej jej nie piłaś?

– Tak, ale zbożową. I nigdy za nią nie przepadałam. Ale w tym śnie kawa pachniała tak intensywnie i taką miałam na nią ochotę, że przyszłam tutaj. I muszę przyznać, że dawno nic mi tak nie smakowało.

– I przeszłaś wtedy do kolejnego snu?

Momo przytaknęła.

– Tak mi się wydaje.

– Sny to nic innego jak rodzaj komunikatu. Sygnał dla nas, co powinniśmy zrobić albo z czym się uporać. W symboliczny sposób pokazują nam nasze blokady, bariery, które powinniśmy przeskoczyć – wyjaśniała Mila.

– Po co?

– Żeby żyć pełniej. Bardziej świadomie. Żeby być szczęśliwym, po prostu – mówiła starsza pani. – Każdy z nas składa się z lęków, których nie potrafimy oswoić. Być może dlatego właśnie śnimy. Żeby uzmysłwić sobie nasze strachy, żeby je nazwać i spróbować stanąć z nimi do walki.

– Ale co ma do tego kawa?

– Nie wiem. Ale pewnie w końcu znajdziesz odpowiedź.

– A te pamiątki z mojego dzieciństwa?

Mila spojrzała na nią znacząco.

– Zabolały?

– Nie, raczej wzruszyły.

– Pomyśl o nich raz jeszcze. Wróć do dzieciństwa. Załóż sandałki, zapleć włosy w dwa warkoczyki. Schowaj śniadanie za tapczanem.

– Skąd wiesz, że tak robiłam? – zdumiała się Momo.

Mila roześmiała się.

– Każdy tak robił. Przynajmniej raz w życiu.

Kiedy wracała późnym popołudniem do domu, przed galerią natknęła się na mężczyznę, którego znała z widzenia.

Coś u niej kupił?

Spotkali się na poczcie?

– Jestem pani sąsiadem – odpowiedział, choć przecież nie spytała głośno.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się. Ale nie spojrzała mu w oczy, żeby nie przekroczyć zbyt szybko granicy intymności. Miał dobry głos. Aksamitny. Z takim głosem można rozmawiać.

– Ta choinka w słoiku, czy można ją kupić?

– Nie jest na sprzedaż, ale mogę zrobić podobną. Zapraszam jutro do galerii.

Seweryn odetchnął z ulgą.



To ona go zaprosiła. Nie można więc powiedzieć, że jest nachalny.  
Pociągnął nosem. Lawenda, jagody, masło, odrobina mięty i nagietek. Oraz wanilia.  
Och, Momo. Pachniesz moją drugą połowę.



Wzięła do ręki telefon, a potem wybrała numer.

– Jak sytuacja? – spytała Reбекę.

– Opanowana. Wody nie ma, podobnie zresztą jak drewnianej podłogi. Wszystko się wygięło, pofałdowało i zaczęło odklejać. A zatem wchodzi w tryb remontu.

– Chcesz ze mną zamieszkać?

Rebeka zamilkła.

Momo przełknęła ślinę. Dlaczego nie? To tylko parę dni, potem ciotka wróci do siebie.

– Piłeś coś?

– Kawę.

– Po kawie nie mogło ci tak odwalić. I nie wiem, czy mogę ci wierzyć. To jakbym zaufała rosyjskiemu paktowi o nieagresji.

– Możesz się do mnie wprowadzić. Na czas remontu.

– Każdy inny na moim miejscu pewnie udawałby, że poszuka jeszcze innej możliwości, ale ja jestem mniej dyplomatyczna. Pakuję walizkę i jestem u ciebie za jakąś godzinę. Możesz tego żałować, ale to już będzie twój problem.

Momo roześmiała się. A potem wzięła głęboki oddech. Podzielić się swoją prywatną przestrzenią nie jest łatwo, ale ona chyba musiała.

*A ty kogoś do siebie wpuszczasz?*

## Rozdział 12

### LUDWIK BAWARSKI

Momo znalazła w dawnym biurze swojego męża, a teraz magazynie rzeczy niepotrzebnych, miniaturową formę do ciasta. Mogła mieć najwyżej siedem centymetrów średnicy i pewnie miała posłużyć jako element biżuterii.

To głupie, o czym pomyślała, ale z drugiej strony nie ma żadnych świadków. Więc spróbuje.

Ciotka przyjedzie dopiero za godzinę, a ona do tego czasu pewnie zdąży.

Ustawiła w kuchni cztery maleńkie kieliszki. Do jednego wbiła pół jajka, do drugiego wsypała mąkę, do kolejnych cukier i trochę kawy zbożowej. Usypała na blacie miniaturowy kopczyk sody i odkroiła kawałek masła, mniejszy niż kciuk. Wymieszała wszystkie składniki i przełożyła do foremki na ciasto.

Upiekło się w ciągu kolejnych piętnastu minut.

Przekroiła torcik na pół i posmarowała serkiem wymieszanym z cukrem i kawą zbożową. Zrobiła też polewę z czekolady.

– Robisz może przyjęcie dla lalek? – zdumiała się ciotka Rebeka, kiedy zobaczyła dzieło swojej siostrzenicy. – Kiedy masz lat siedem, jest to zrozumiałe, w wieku dwudziestu ośmiu świadczy o zaburzeniach psychicznych. Z drugiej strony Ludwik II Bawarski uważał, że jest jednym z rycerzy Okrągłego Stołu i potrafił nocą zasnuwać kilka godzin w swojej karocy, żeby zasymulować długą i męczącą podróż z jednego miasta do drugiego. Na dodatek miał sufit wymalowany w gwiazdy, bo chciał sam decydować, kiedy jest dzień, a kiedy noc. A mimo to był całkiem niezłym królem. Z kolei Jerzy III Hanowerski gadał z dębem, a nawet ścisnął mu gałąź, myśląc, że to kończy. Twój torcik jest wobec tego wszystkiego niegroźny – podsumowała.

Momo podzieliła ciasto i podała ciotce kawałek wraz z gorącą kawą.

– Twój pierwszy wypiek?

Przytaknęła.

– Nie chciałam robić od razu dużego, bo tak naprawdę nie lubię ciast, więc pomyślałam, że zacznę od miniaturki.

Rebeka oblizwała usta.

– Dobry. Kawowy trochę i mało słodki, ale dobry. Poza tym nie wiedziałam, że masz ekspres do kawy. Że w ogóle masz jakieś sprzęty w kuchni, poza lodówką.

– Kupiłam.

– A kupiłeś też coś na śniadanie? Coś, co nie będzie beztłuszczowym jogurtem lub miską otrębów dla konia?

Momo roześmiała się.

– Może pójdziemy jutro na śniadanie?

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Będziemy kierować się nosem.

– Momo? Czy ty lubisz być sama?

Momo spojrzała na ciotkę ze zdziwieniem.

– Lubię... To znaczy, nie mam problemu z tym, że jestem sama. Przynajmniej niczym się nie zaskoczę i nie zniknę, nie uprzedzając siebie samej.

– A masz mordercze skłonności?

Tym razem Momo zamilkła na nieco dłużej.

Rebeka uderzyła palcem w gazetę, którą przeglądała, popijając kawę z nowego ekspresu Momo, a potem głośno odczytała:

– *Naukowcy z University of Florida na łamach pisma „Social Science Quarterly” ogłosili ciekawą teorię. Otóż ich zdaniem związek małżeński może wyleczyć ze skłonności do przestępstw. Badania nad tym zagadnieniem przeprowadził socjolog profesor Alex Piquero, który twierdzi, że główną rolę odgrywa tu czynnik stabilizacji. Ludzie pozostający w związku małżeńskim mają zazwyczaj ustalony harmonogram – pracują w konkretnych godzinach, opiekują się dziećmi, pomagają w domu, wykonują szereg powtarzających się czynności. Ludzie stanu wolnego mają często sporo czasu, z którym nie wiedzą, co zrobić. Jeśli dodatkowo doskwiera im samotność, czują się sfrustrowani i zgorzkniali. A wtedy do głosu dochodzą złe emocje. Czyli bierzesz siekiere i zabijasz pierwszego lepszego napotkanego debila. Myślisz, że prawnik dałby radę nas wybronić?*

– A czujesz potrzebę mordy?

– Tak, czasem tak. Zwłaszcza w grudniu. Wiem, że powinnam w tym uroczym przedświątecznym okresie zmięknąć, a nawet przemienić się w słodką śnieżynkę, ale ja właśnie wtedy mam podniesiony poziom wkurwu. Bardzo nie lubię, kiedy coś muszę.

Momo też tego nie lubiła. Od kiedy? Musiała nieco cofnąć się w czasie.

Ma teraz lat osiem i właśnie zbliża się Wigilia. Właściwie to nawet już jest, bo w całym domu pachnie mdląco słodko, a Pati wypucowała wszystkie okna. Jest również choinka, a na niej bombki języki domowej roboty, wielobarwne łańcuchy z papieru i ptaszki z folii aluminiowej doczepione do klamerek i pomalowane na wszystkie kolory tęczy. Osobiste dzieła Momo, nad którymi pracowała od kilku tygodni. Jest stół nakryty czerwonym obrusem, bo na białym było zbyt dużo plam, które nie zeszły mimo zastosowania magicznego proszku, są świece i opłatek. Pełen zestaw wigilijny wzbogacony podnieceniem, oczekiwaniem oraz nadzieją na lalkę Barbie. I tylko nie ma taty, ale jest telefon od niego, że trochę się spóźni, bo grają koncert.

Tata grywał na gitarze oraz perkusji. A także na saksofonie, choć dość kiepsko. To nie był jego zawód, bo tak naprawdę pracował jako grafik komputerowy. W życiorysie miał wpisane: dobra znajomość FreeHanda, Photoshopa, średnia znajomość Corela i Adobe’a Flasha. Tworzenie stron www, pełen zakres DTP, grafika na pojazdach i oklejanie, obsługa ploterów drukujących i tnących, a także kompleksowe usługi reklamowe. Firma, w której pracował Perkoz, zatrudniała około dwudziestu osób, z których każda go uwielbiała. Byli to głównie ludzie młodzi, niepomarszczeni jeszcze przez ubytek wody w skórze ani doświadczenia życiowe; większość nie miała własnych rodzin, nic dziwnego więc, że wyjazdy, koncerty, spontaniczne spotkania, a nawet niekontrolowane przedłużenia weekendów praktykowali często i chętnie. Wigilie też nie miały dla nich wyjątku sentymentalnego.

I właśnie w jeden taki wigilijny wieczór Perkoz został poproszony o koncert u kogoś, kogo imienia ani Momo, ani Pati nie kojarzyły. Wigilia została więc przesunięta na godzinę dwudziestą drugą i trwała siedem minut, bo potem Momo po prostu zasnęła.

I wcale, ale to wcale nie cieszyły jej te święta, chociaż mama za diabła nie chciała odkleić sztucznego uśmiechu z twarzy, a Barbie nagle wydała jej się straszliwą idiotką w tej swojej srebrnej sukience i ze sterczącym biustem.

– Żadna kobieta nie ma takich cycków – dobiła ją dodatkowo ciotka Rebeka. – No chyba, że sobie je napompuje gazem.

Z czasem Momo zaczęła podchodzić do Wigilii bardziej normalnie. Uznała, że lubi śnieg, choinki również są całkiem przyjemne, dwanaście potraw zredukowałaby do trzech, a jeśli chodzi o prezenty, to owszem, dodają uroku. Ale doprawdy, darujmy sobie teksty o czarach i magii wigilijnej nocy. I naprawdę żaden pies, koza ani choćby zwykła mysz nie przemówią ludzkim głosem, no chyba że ktoś się tak mocno nawali, że ujrzy gadającego smoka. Ale to również nie będzie magia, tylko zwykłe procenty.

– Będę spała w salonie, okej? Lubię patrzeć przez okno, zwłaszcza kiedy jest zgaszone światło i mogę bezkarnie podglądać sąsiadów. – Rebeka sięgnęła po kołdrę i poduszkę.

Momo pokiwała głową.

Jej samotność miała mieć od teraz gościa. I chociaż nie była to sytuacja idealna, Momo doszła do wniosku, że da radę. Skoro sny coś do niej mówią, skoro to one pukają do drzwi i każą jej przemieszczać się z punktu A do B, to najwyraźniej w jakimś konkretnym celu.



Dziewczynka w oknie naprzeciwko stała z założonymi rękami, a potem nagle zatkała sobie uszy. Jej rodzice nie zwrócili na to większej uwagi, tylko nadal śmiesznie podskakiwały im ramiona, głowy, co zwykle towarzyszy krzykom i złości. Wymachiwali rękami, a mama raz nawet chwyciła za krzesło, ale chyba zrezygnowała z zamiaru rzucenia nim w męża, bo było zbyt ciężkie. Kopnęła go tylko w łydkę, na widok czego Rebeka uniosła ze zdumieniem brwi.

Niezła akcja.

Dziewczynka trzasnęła drzwiami i poszła do swojego pokoju. Zanurkowała pod koc i tak już pod nim została, wysuwając tylko na moment rękę, żeby wyłączyć lampkę przy łóżku. Rebeka popatrzyła jeszcze przez chwilę w ciemne okna, a potem też po prostu zamknęła oczy.

I śniła o Janie Kazimierzu, królewskim skurwysynie, który na co dzień chadzał z cudzoziemską ubrany, a przed potopem uciekł, gdzie pieprz rośnie.

## Rozdział 13

### SEN NUMER SZEŚĆ

*Siedzę na łące pełnej maleńkich krabów, więc boję się poruszyć, żeby mnie nie uszczypnęły. Stworzonka powoli, ale systematycznie przemieszczają się w stronę morza, mam zatem cichą nadzieję, że za jakiś czas w końcu się od nich uwolnię. Trochę już nawet ścierpłam, ale kiedy chcę zmienić pozycję, widzę, że morze i plaża nagle znikają, a ja znajduję się w ogromnej jadalni wypełnionej wodą, gdzie do poszczególnych stołów podpływa się gondolą.*

*– Czy życzy pani sobie puszyste omlety z jagodami i syropem klonowym? – pyta mnie jakaś dama przebrana za wielką jagodę, z zielonymi włosami i listkami wyrastającymi z nosa.*

*– Zapraszam na pulpeciki z jagnięciny w sosie z zielonej pietruszki – woła mężczyzna ze śmieszną bródką i kopytkami zamiast butów.*

*Czy we śnie można odczuwać zapachy?*

*Smaki?*

*Czuję, że jestem okropnie głodna.*

*Nagle na niebie widzę latającą kosiarkę równo przycinającą chmury, zza których wylania się uśmiechnięte słońce z twarzą dziecka.*

*– Pora na Teletubisie? – pytam samą siebie i głaszczę zieloną, mięciutką trawę. Chętnie sturlałabym się w dół.*

*– A teraz proszę wszystko schować i skupić się na egzaminie – dobiega mnie głos nauczycielki języka polskiego.*

*Czuję, jak narasta we mnie przerażenie. Siedzę w pojedynczej ławce w swojej dawnej szkole. Kompletnie nic nie umiem, a od tego testu zależy, czy przejdę do następnej klasy. Oblewa mnie zimny pot, a ręce zaczynają się trząść. Przede mną siedzi jakiś chłopak w zielonym swetrze, który najwyraźniej jest dobrze przygotowany, bo cały czas coś pisze. Delikatnie kopię jego krzesło.*

*Zaraz, zaraz... Zielony sweter?*

*Czuję, jak wypełnia mnie poczucie dziwnego szczęścia. Jakbym odbiła się od siebie zduszonej, ściśniętej paskiem wiecznej niepewności, czy dobrze żyję, i poszybowała w stronę zupełnej bez troski. Gdzieś między podmuchem wiatru a promykiem słońca, na przyszyżonej przez kosiarkę chmurze, robię dwa koziołki i zaczynam śpiewać. Bez wstydu, bez zażenowania, że ktoś mnie usłyszy i wyśmiej. Człowiek zawsze się czegoś boi. Że źle się ubrał, że ma brzydkie buty, wybrał na partnera nieodpowiednią osobę, a po zjedzeniu lodów z niesprawdzonego źródła dostanie salmonelli. Że ugryzie go pies, będzie lało, kiedy wyjedzie na wakacje, a pod choinką nie znajdzie wymarzonego prezentu. A ja jestem po prostu szczęśliwa i zupełnie nie interesuje mnie fakt, czy ktoś lubi moje piegi.*

*Ale przecież muszę napisać egzamin! A ten chłopak w zielonym swetrze miał się właśnie odwrócić i coś mi podpowiedzieć.*

– Masz czas do Wigilii – dobiega mnie głos nauczycielki. – Potem będzie za późno i nie dostaniesz się do następnej klasy.

Jak to? Przecież testy pisze się na koniec roku, a nie w grudniu!

Nurkuję w dół...

Szybciej, bo nie zdążę.

Szybciej!

Obudziła się z nieznanym jej do tej pory uczuciem głodu. Usiadła na łóżku i przetarła oczy. Mila powiedziała jej ostatnio, że sen jest prawdziwym majstersztykiem podświadomości. Jeśli tylko ktoś pokusi się, by zacząć interpretować to, co wyświetla się w jego głowie, kiedy śpi, może zobaczyć nie tylko swoje odbicie w lustrze, ale też wszystko to, co znajduje się po drugiej stronie szklanej tafli. Zupełnie jak Alicja.

Tyle że człowiek zazwyczaj wstydy się swoich snów, nie przywiązuje do nich wagi lub sądzi, że to nic nieznaczący teledysk, poskładany z poszczególnych obrazów, które zobaczył w ciągu dnia. A tymczasem noc nakarmiona jest wszystkim tym, co boli. Co doskwiera, kłuje, czego się człowiek chciałby nauczyć, ale nie ma odwagi. Przez co płacze, choć czasem bardzo powściągliwie. W łóżku nie tylko się śpi. W łóżku człowiek przechodzi psychoanalizę, choć często zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ciotka Rebeka pochrapywała jeszcze w najlepsze, więc Momo przeszła na palcach do łazienki i bardzo cicho starała się zrobić siusiu. Usiadła bokiem na desce i robiła wszystko, żeby strumień spływał po ściankach, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Zawsze tak robiła. Zupełnie jakby sikanie było czynnością wstydliwą, której nie wykonuje nikt oprócz niej.

Popatrzyła w lustro i zaczęła rozczesywać swoje długie, rude czy raczej miedziane włosy, a potem jak zwykle ściągnęła je w warkocz, żeby nie muskały jej w niekontrolowany sposób twarzy i nie dawały bawić się wiatrowi. Wyglądała na wyspaną, choć nie do końca wypoczętą. Sen trochę wygniół jej twarz i poszczypał w policzki. Oczy były duże, ale ze znakami zapytania. Bładość mogła wydawać się nawet interesująca.

No i ciągle była potwornie głodna.

– Powiem ci mała, że twoja kanapa jest wygodniejsza niż moje cholerne łóżko, na które dałam się naciągnąć jakiemś adonisowi w żółtych skarpetkach. Wmawiał mi, że mój kręgosłup na nim odpocznie, a tymczasem jest zupełnie odwrotnie. Myślałam, że facet, który nosi tak odważne kolory, będzie bardziej doświadczony niż mężczyzna przezroczysty, z zamięłowaniem do beżów i brązów.

– Dlaczego? – zdumiała się Momo.

– Bo te kolory są nijakie. A ja nie ufam ludziom, którzy wtapiają się w otoczenie. Próbujeś nawiązać z nimi kontakt, a oni ciągle cię jakoś zwodzą. I przez to czujesz się jak list wsadzony do butelki i unoszący się na wodzie. Za cholerę nie wiesz, czy ktoś cię kiedykolwiek przeczyta.

– A faceci w żółtych skarpetkach są bardziej wiarygodni?

– Tak mi się dotąd wydawało. Że widzą świat lepiej i lepiej go rozumieją. Beżowi są jak mgła nad mokradłami, a ci kolorowi przynajmniej mają kontury. Ale te moje rozważania mogę sobie wsadzić w największą ciemność dupy. Jedni i drudzy wciskają kit, kiedy pracują w centrach handlowych. Na dodatek przyśnił mi się Jan Kazimierz, zupełnie nie wiem, po jaką cholerę. Znam wielu innych królów Polski, z którymi mogłabym wspólnie pośnić albo nawet... No dobra, co ze śniadaniem? – ciotka nagle zmieniła temat. – Nadal wybieramy się dokądkolwiek?

Momo skinęła głową. Założyła czarne spodnie, czarny sweter, a szyję owinęła czarnym szalem. Jedyne kontrasty stanowiła jej blada twarz.

– Jak wrona – powiedziała Rebeka. – Z dziobem pofarbowanym na biało. Ale przynajmniej będziesz odcinać się od krajobrazu. – Wskazała podbródkiem okno.

Śnieg.

Jego grudniowa walka z deszczem stawała się coraz bardziej zaciekle, zupełnie jakby żadne z nich nie chciało dać za wygraną. Jeszcze wczoraj lało, a dzisiaj krople wody zostały ścięte mrozem i założyły białe sukienki. Plus przed czwórką w skali Celsjusza zniknął, a w jego miejsce pojawił się minus. Minus cztery. Idealna temperatura dla płatków śniegu, które nie roztopiały się przy kontakcie z ziemią, tylko powoli zaczęły układać w dywan z puchu. Gdyby ktoś miał romantyczne podejście do życia, mógłby nawet uznać ten krajobraz za baśniowy i wyobrażać sobie, że znalazł się w cudownej krainie zimy.

Ale to nie dotyczyło ani Momo, ani Rebeki.

Było jeszcze wcześniej. Ulica pachniała resztkami wczorajszych oddechów i pastą do zębów tych, którzy już przemknęli do pracy. Można było policzyć odgłosy kroków i dźwięki przejeżdżających samochodów. Świt dopiero witał się z dniem, więc królował kolor szaropopielaty, przetykany srebrzystymi płatkami śniegu. Budynki otwierały oczy, piekarnie żaluzje, kierowcy taksówek z nocnej zmiany – usta, ziewając bez skrępowania.

– Na co masz ochotę? – spytała Rebeka, łypiąc na swoją siostrzenicę, która schowała twarz w szalik, a na czoło naciągnęła czarną czapkę z pomponem.

– Na omlet – odpowiedziała natychmiast.

– Obawiam się, że o tej porze niewiele lokali jest otwartych.

– Poszukajmy.

– Dobra, mam jeszcze sporo czasu przed lekcjami. Zresztą dzisiaj idę dopiero na drugą godzinę. Będę im opowiadać o Ludwiku XIV i jego zamiłowaniu do obżarstwa. O, widzisz, to on powinien mi się przyśnić, a nie ten dupek Kazimierz.

Momo przełknęła ślinę. Była coraz bardziej głodna i miała ogromną ochotę na puszysty omlet, choć zdawała sobie sprawę, że z jagodami może być kłopot.

– Co lubił najbardziej?

Rebeka wzruszyła ramionami.

– Ludwik? Wszystko. Oceniał ludzi po tym, ile i co potrafili zjeść. Uważał, że człowiek nieprzywiązujący wagi do jedzenia jest niewarty jego uwagi i mdły sam w sobie. Coś w tym jest. On sam kochał pasztety z dziczyzny oraz gęste zupy z rzodkwią. Uwielbiał jeść na czyjś koszt, wtedy wszystko smakowało mu jeszcze bardziej. Ciekawostką jest to, że najchętniej obżerał się przed nocnym bzykaniem, wychodząc z założenia, że jedzenie to najlepszy afrodyzjak. Nie wiem, co prawda, jak udawało mu się wymachiwać swoją królewską bronią po zjedzeniu bażanta, kuropatwy, kilku zup i połowy tortu, ale najwyraźniej jakoś sobie radził.

Momo roześmiała się i wskazała ręką knajpkę po przeciwnej stronie ulicy.

– Zobacz, świeci się!

Rebeka zmrużyła oczy.

– Dobra, to atakujmy.

Siedem minut później jej głos pokrył się szronem.

– Słońce. Masz jajka, mąkę i masło, więc przestań mi tłumaczyć, że śniadanie serwujecie za godzinę, tylko usmaż nam dwa omlety. Puszyste i bez wymówek.

Słońce mogło mieć najwyżej dwadzieścia lat i było dość spłoszone atakiem Rebeki. Było płci

męskiej i teoretycznie mogło się postawić starszej kobiecie, ale rudość młodszej mocno je mieszała. Wymykała się jego stanowczości, żeby odmówić i kazać przyjść za godzinę. Poza tym, to tylko dwa omlety.

– Ma pan może dżem jagodowy?

Miał. I strasznie się ucieszył, bo nie miał malinowego, ale na szczęście o niego nie zapytała.

Momo była zdumiona faktem, jak bardzo może smakować coś, co za chwilę zniknie w jej żołądku, a potem przejdzie całą tę drogę przez układ trawienny, by na końcu...

Nie, nie trzeba o tym myśleć.

Omlet był puszysty, a jednocześnie wyjątkowo dobrze dopieczony. Z chrupiącą skórką po jednej stronie. W połączeniu z jagodowym dżemem stanowił dokończenie jej snu i jego perfekcyjne podsumowanie. Smakował tak, jak jej się przyśnił. Nawet Rebeka zamilkła na chwilę i słychać było tylko, jak żuje i jak bardzo to żucie przypadło jej do gustu.

– Kurwa, tego mi było trzeba – powiedziała zamiast „dziękuję”, zupełnie nie zwracając uwagi na odrobinę zszokowanego jej słowami twórcę puszystych omletów.

Momo wytarła usta chusteczką i zamyśliła się. Jedzenie chyba nigdy nie sprawiło jej tyle przyjemności. Owszem, istniały potrawy, które lubiła bardziej czy mniej, ale tak naprawdę było jej wszystko jedno, czym zaspokaja głód. Ojciec zawsze powtarzał jej, że w życiu trzeba być smakoszem wszystkiego. Nawet słonych paluszków.

Kiedy zapraszał gości, potrafił wyczarować w kuchni prawdziwe kulinarne dzieła sztuki i Momo zawsze z zachwytem patrzyła, jak spod jego ręki wychodzą myszki z twarożku, łódeczki z jajek na twardo i żółtego sera, ślimaki z ogórka, a nawet fortepian z chleba tostowego i marchewki. Ojciec potrafił nie tylko jeść, ale i godzinami opowiadać o jedzeniu. Kiedy odszedł, zabrał ze sobą smak i Momo było naprawdę obojętne, czy dostanie na obiad zupę pomidorową, czy skrzydełka z kurczaka, skoro wszystko odtąd smakowało identycznie. Jedzenie już nie było sztuką. I drażnili ją ci wszyscy ludzie, którzy z takim namaszczeniem opowiadali o smakach i uznawali się za znawców.

Och, sushi to mój numer jeden. Surowa ryba zaklęta w ryżowej kołderce.

Och, perliczka z nadzieniem gruszkowym.

Ach, dla odmiany z „och”, sorbet melonowy z nutą mięty.

Mlaskanie, oblizywanie się, delektowanie, udawanie, że ma się pojęcie.

Ale omlet był dobry. Doskonały. Bo zjedzony bez świadków i bez konieczności opowiedzenia o nim światu.

– Facet nie może oderwać od ciebie wzroku – szturchnęła ją Rebeka. – Nawet mu się nie dziwię, choć chyba nie sądzi, że przygotowanie dwóch omletów zwiększa jego szanse.

Momo parsknęła.

Do tej pory nie zwracała większej uwagi na mężczyzn, wychodziła więc z założenia, że również ona nie jest dla nich zbyt ciekawa. Prześlizgiwała się wzrokiem po ich twarzach, nie zahaczając o nie nawet na sekundę. Patrzyła przez nich, jakby byli przezroczyści, i sama czuła się podobnie. W swoich czarnych ubraniach nie wyróżniała się z tłumu i o to właśnie jej chodziło. Przemykać, przekradać się, unosić bez konieczności bycia zauważoną.

Ale ten sąsiad...

Seweryn, mieszkający na pierwszym piętrze, pod dwójką chyba. Odwiedził ją w galerii, bo przecież go zaprosiła, z czego skorzystał szybciej, niż się spodziewała. I mówił aksamitnie. I patrzył na nią zupełnie inaczej. Spokojnie, ale intensywnie. Nie był to wzrok nachalny, a jednak zaczepiał. Przyszedł do niej wczoraj i bardzo mu się wszystko podobało. I pytał, czy



to jej pomysły i jak na to wpadła, że zwykła łyżka może mieć tyle zastosowań.

– Przypadkiem. Kiedy byłam mała, mama dostała nowy komplet sztućców. Ale jakoś ciężko jej było rozstać się ze starymi, więc oddała mi je na przechowanie. I poprosiła, żebym się nimi zaopiekowała. Trzymałam je w takiej czarnej walizeczce pod łóżkiem i od czasu do czasu się nimi bawiłam. Ubierałam jak lalki, budowałam z nich różne konstrukcje. To głupie chyba – zmieszała się na moment, ale Seweryn najwyraźniej został połknięty w całości, bo wpatrywał się w nią z takim zachwytem, że aż poczuła dziwne ciepło.

I spojrzała mu prosto w oczy, żeby się przekonać, czy to rzeczywiście tak straszne, jak myślała. Trwało to znacznie dłużej niż ułamek sekundy i w żaden sposób nie było krępujące.

A potem on kupił broszkę w kształcie konika morskiego, zrobioną z wygiętego widelca, choinkę z filcowych kulek i wieszak na kieliszki, wykonany ze starych grabi. Momo zastanawiała się nawet, czy naprawdę jest mu to wszystko potrzebne, ale Seweryn od razu zaznaczył, że wreszcie ma oryginalne prezenty dla swoich bliskich.

– A ta choinka nadal nie jest na sprzedaż? – Wskazał palcem na witrynę.

Momo pokręciła przecząco głową.

– Ona na kogoś czeka – powiedziała tylko, a Seweryn jakby na moment przygasł.

Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że to nikt konkretny, że to ktoś ze snów, więc tylko się uśmiechnęła. A on doczepił ten uśmiech do swojej marynarki i obiecał, że jeszcze do niej zajrzy.

– Zbieramy się. Czeka na mnie szkoła, a na ciebie galeria. A temu tu z wzrokiem lepkiem niczym miód spadziowy powiedzmy „do widzenia”. No chyba, że chcesz jeszcze zostać? – Rebeka puściła oko do swojej siostrzenicy. – O matko, spóźnię się i choć osobiście mam to gdzieś, to moja dyrektorka pewnie nie!

Momo założyła na głowę czapkę i udając, że nie widzi wielkiego rozczarowania na twarzy chłopaka od omletów, wyszła razem z ciotką. I nie musiała się odwracać, żeby poczuć, jak ten wzrok podążył za nią i dotknął pleców jej czarnego płaszcza.

Swoją drogą jak niewiele trzeba, żeby człowiek tak lekko stąpał po ziemi i nie zwracał uwagi na minus cztery stopnie Celsjusza.

## Rozdział 14

### ZNAM CIĘ

Mila co chwila zerknęła przez okno i obserwowała dziewczynę ubraną w fioletową puchową kurtkę, która próbowała kopać spadające płatki śniegu. Nie było to łatwe zadanie, nic dziwnego więc, że z jej ust co chwila wylatywały jakieś małe przekleństwa, których treści Mila mogła się tylko domyślać.

W końcu otworzyła drzwi piekarni i zaprosiła dziewczynę przyjaznym gestem do środka.

– Nie mam forsy – burknęła dziewczyna.

– Nie szkodzi. Herbatę i rogalik masz u mnie gratis.

– Niby czemu? Bo jest grudzień? Ma pani przedświąteczne zmiękczenie empatyczne?

Mila roześmiała się.

– Nie, po prostu taką mam ochotę. A właściwie wpadłam na jeszcze lepszy pomysł, ale zdradzę go dopiero, jak do mnie wejdiesz.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, ale najwyraźniej doszła do wniosku, że kopanie płatków na dłuższą metę jest mało rozwijające, a na dodatek nie przynosi żadnego efektu.

– No?

– Złość ma to do siebie, że trzeba ją gdzieś wyładować, inaczej skumuluje się w środku i zanim człowiek się obejrzy, narobi głupstw. Opuść śnieżynkom i zagnieć mi ciasto na bułki – zaproponowała Mila.

– Ja? – zdumiała się dziewczyna.

– Ty. Ale najpierw powiedz, jak masz na imię, będzie nam łatwiej się porozumiewać.

– Lena. Ale nie sądzę, żeby dzięki temu było łatwiej. I nie bardzo rozumiem, dlaczego mam pracować.

– Masz pomóc. To różnica. No i nie będziesz mieć wyrzutów sumienia, że dostałaś herbatę i rogalika za darmo. To jak? – Mila spojrzała na nią pytająco.

Dziewczyna skrzywiła się nieco, ale w końcu kiwnęła głową.

– Dobra.

A potem zaczęła wyrabiać ciasto z taką zaciętością, że żadna, nawet najlepsza maszyna nie miałaby z nią najmniejszych szans. Mruczała coś pod nosem, ale może to był śpiew, trudno rozpoznać.

– Gotowe – oznajmiła po piętnastu minutach.

Mila pokiwała z uznaniem głową.

– To siadaj do stołu, zasłużyłaś na coś ciepłego. Chociaż czekaj... – zawiesiła na moment głos i zerknęła na Lenę.

– No?

– Nie powinnaś być czasem w szkole?

– Powinnam.

– A nie jesteś, bo...?

– Bo mi się nie chciało. Więc jestem tutaj, na klasycznych wagarach.

Mila zamilkła na moment.

– To chyba słaby pomysł? – spytała po chwili.

– Niby czemu? Nie przepadam za szkołą, więc z niej czasami rezygnuję. Na dodatek mam dobre oceny, choć zupełnie nie rozumiem dlaczego. Uczę się mało i z doskoku, czasem jest to obrona przed nudą. Najwyraźniej wystarcza. Zresztą nie muszę się pani tłumaczyć, tym bardziej, że ja w ogóle niechętnie się komukolwiek tłumaczę. Dopóki nie wyrządzam nikomu krzywdy, będę robić to, co chcę. Choć czasem to, co muszę. Dobra, znikam. Dziękuję za ten czas, w sumie nie było najgorzej, idę się teraz przejść po mieście.

– Nie będziesz już kopać śnieżynek?

– Nie. Przeszło mi – oznajmiła Lena, chwyciła za kurtkę i zanim Mila zdążyła cokolwiek powiedzieć, dziewczyna zniknęła wśród przechodniów.

Ale to był właśnie ten moment i Mila tylko uśmiechnęła się pod nosem. Zawsze miała idealne wyczucie czasu.

Chwilę później Lena wpadła na biegnącą Rebekę, która najpierw siarczyście zaklęła, a potem przyłożyła swój długi palec wskazujący do nosa Leny i powiedziała:

– Znam cię.



Pati znowu cofnęła się myślami do chwili, kiedy Perkoz zniknął z walizką i saksofonem.

– Może zwiął do Warszawy, tam podobno odbywała się jakaś parada równości? To byłoby coś w sam raz dla niego. Co prawda, nie wyglądał mi na geja, ale znając Perkoza, pewnie wmówił wszystkim, że jest nie tylko gejem, ale i lesbijką. I zabalował homoseksualnie – mruknęła ironicznie Rebeka, patrząc na swoją siostrę, która miotła się emocjonalnie.

– Obdzwonić szpitale?

Rebeka wzruszyła ramionami.

– Nie zaszkodzi. Może uratował jakąś królową i przy okazji dostał w łeb od smoka.

Ale w szpitalach nie było Perkoza ani nikogo, kto mógłby ewentualnie nim być. Cztery lata później, chociaż traciła już wszelką nadzieję, Pati zdecydowała się skorzystać z pomocy. Może ktoś gdzieś jednak coś słyszał?

Fundacja Itaka, od niedawna z całodobową linią wsparcia. Zadzwoiła krótko po północy, kiedy Momo już spała.

– Czy on mógł uciec? – spytała cicho.

– Czasem ludzie uciekają, kiedy codzienność ich przerasta. Trudna sytuacja, w jakiej się znaleźli, wydaje się nie mieć wyjścia, a wokół nie ma nikogo, kto budzi zaufanie i kogo można by poprosić o pomoc – wyjaśnił jej jakiś niski głos.

To nie mogło w żadnym stopniu dotyczyć Perkoza.

– Naprawdę można zniknąć bez śladu?

– Naprawdę.

Pati rozłączyła się i wyciągnęła z szuflady zdjęcie blondynki ze złotymi lokami. Nikt z pracy

Perkoza jej nie znał, nikt nie miał pojęcia, kim jest. Oczywiście współczuli Pati bardzo, a nawet bardzo bardzo, ale jakoś tak przez około dwa tygodnie. Bo przecież w miejsce jednego Perkoza zawsze pojawia się jakiś inny.

– Kiedy tata wróci? – pytała początkowo Momo. Z czasem nie chciała nawet o nim słyszeć, choć Pati próbowała jej wyjaśnić, że zniknięcie wcale nie musi być jego winą.

Szkoda tylko, że sama w to nie wierzyła.

Tymczasem jakaś część Momo skamieniała jak tolkienowskie trolle w kontakcie ze słońcem i nic nie było w stanie tego zmienić.

Mama próbowała od czasu do czasu wepchnąć do jej życia obraz ojca, przypomnieć wspólne chwile, a nawet wytłumaczyć to i owo, ale Momo nie była zainteresowana. Pati początkowo całkiem dobrze ją rozumiała, ale z czasem dotarło do niej, że jej córka sporo traci na wymazaniu ojca z pamięci. Kiedy Momo wzięła ślub, zdawało się, że wszystko wróciło do normy, był mąż, przyjemny wstęp do rodziny i ciągu dalszego, ale potem minęły trzy lata i Momo znowu została sama. Na dodatek zupełnie się tym nie przejęła. Pati wystraszyła się, że jej córka nie potrafi wykrzesać z siebie żadnych emocji, że nie wyje po rozwodzie, nie wrywa sobie włosów z głowy lub przynajmniej nie łyka środków na uspokojenie.

– Coś ci przeczytam – powiedziała wtedy i rozłożyła na stole kolorowe czasopismo. – *Niemal w każdej dorosłej kobiecie ciągle tkwi ukochana „córeczka tatusia”. Z badań wynika, że w ponad trzystu ankietowanych rodzinach aż osiemdziesiąt procent kobiet przyznało, że ojciec jest lub był dla nich autorytetem. Małżeństwo rodziców jest dla dziecka zawsze pewnym modelem, z którym chce się w przyszłości utożsamiać lub wręcz przeciwnie – odciąć od niego. Paradoksalnie, wpływ ojca, jego charakter i osobowość są tak silne, że podświadomie kierujemy się tym właśnie wizerunkiem w wyborze naszego przyszłego partnera...*

– No i? – spytała niewiele rozumiejąca z tego oficjalnego tekstu Momo. – Jakim wizerunkiem ojca ja rzekomo się kierowałam? Uciekiniera? I co oznacza zwrot „córeczka tatusia” w przypadku kogoś, kto został przez tatusia zostawiony bez słowa wyjaśnienia?

No i jak na to odpowiedzieć?

Więc Pati spytała inaczej:

– To mi powiedz, co nie zagrało między tobą a Kamilem??

Momo wzruszyła ramionami.

– Po prostu nam nie wyszło. Tak jak tysiącom, a pewnie i milionom par na całym świecie. W myśl powiedzenia: „Nieszczęścia chodzą parami”. Najpierw ojciec, potem mąż.

No i Pati znowu nie miała żadnego argumentu. Ale przecież człowiek nie rodzi się po to, by cały czas odwracać się do innych plecami. W końcu będzie musiał kogoś chwycić za rękę na nieco dłużej niż tylko moment przejścia przez ulicę.

W tym tygodniu miała jeszcze jedno zlecenie. Młoda dziewczyna, która przegrała właśnie walkę z samą sobą, zanim ktokolwiek się zorientował, połknęła zbyt dużo środków nasennych. Rodzice poprosili tylko, żeby ją ubrać w coś kolorowego, pstrokatego nawet, bo ciągle nosiła tylko szarości i czerń.

„Zupełnie jak Momo” – przebiegła jej przez głowę paskudna myśl, którą szybko spróbowała zagłuszyć piosenką w radiu.

– I proszę ją jakoś pięknie uczesać. I umalować. Jakby szła na randkę, a nie schodziła do piwnicy – powiedziała matka.

To były najtrudniejsze momenty w jej pracy. Pożegnanie z ludźmi starszymi i chorymi było czymś zrozumiałym, czymś, co po latach Pati spokojnie zaakceptowała. Śmierć kogoś młodego

zawsze budziła w niej sprzeciw. I strach, że jej córka też żyje jakoś tak na pół gwizdka.

– A jak powinnam żyć, mamó? Z trójką dzieci na ręku, psem przyklejonym do kolana i ciastem w piekarniku?

Nie.

Tak.

Nie wiedziała.

Ale przecież życie nie składa się tylko z tygodni, które mijają. Z poniedziałków, wtorków i kolejnych niedziel. To również zakochane środy, czwartki pachnące śniadaniem w cudzym mieszkaniu, roztańczone soboty. To czas, który nie zawsze da się odmierzyć, dni, których nie można zaplanować. To spontaniczność, której Momo nie lubiła równie mocno, jak niektórzy ludzie lukrecji zamkniętej w cukierkowym żelku.

– Jesteś uśpiona. Przemykasz od jednej godziny do drugiej, a kiedy kończy się dzień, oddychasz z ulgą i znikasz na parę godzin w alternatywnej rzeczywistości. Wiem, że każdy człowiek ma swoje szare dni, tyle że twoje dni, tygodnie i lata wypełniają wyłącznie ponure kolory. Obudź się.

Coś w tym było. Czas spędzony ze snami wydawał się o wiele ciekawszy niż zwykle, grudniowe dni. Z jednej strony fascynował, z drugiej – nie powinien zastępować normalnego życia.

Tymczasem ciotka Rebeka, która nigdy nie zastanawiała się nad niczym zbyt długo, chwyciła fioletowy kaptur fioletowej kurtki wierzgającego dziewczęcia i przyciągnęła ją do siebie.

– E, no halo, to chyba jest napaść – oburzyła się Lena.

– Bez przesady, poza tym się znamy.

– Nie przypominam sobie.

Rebeka wzruszyła ramionami.

– Jasne. Nie udawaj, królowno, spotkałyśmy się kilka dni temu, a ty sprowadziłaś świat do roli dupy. Nie wyjaśniłaś wprawdzie dlaczego, ale ja chyba się domyślam.

Lena spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Niby jak?

Rebeka puściła kaptur i otrzepała rękawiczki ze śniegu.

– Widziałam cię przez okno.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w kobietę z niemym osłupieniem. Na ogół niewiele rzeczy potrafiło ją zdumieć, była na to zbyt nastoletnia w swoim odbiorze świata, a jednak ta dziwna kobieta nieźle ją zaskoczyła.

– Jak to przez okno?

– Normalnie. Mieszkam chwilowo u swojej siostrzenicy, która nie ma telewizora. Kanapa stoi na wprost kamienicy, w której z kolei mieszkasz ty. Kamienice nie są od siebie za bardzo oddalone, rzekłabym nawet, że projektował je jakiś nawalony architekt, bo między domami ledwo mieści się samochód, a chodnik jest węższy niż kobieca talia w latach pięćdziesiątych. Możesz tego nie pamiętać – dodała sarkastycznie, ale Lena nie zwróciła na jej ton większej uwagi. Intrygowało ją co innego.

– Pani mnie podgląda?

Rebeka zastanowiła się przez chwilę.

– Tak – odparła w końcu.

– I co? Uważa pani, że to w porządku?

– Chyba mnie to nie obchodzi. Leżę na kanapie i spoglądam przez okno. A ponieważ wasza kamienica, jak już wspominałam, stoi dość blisko, sporo widać. Więc patrzę, bo to chyba nie jest zabronione. Nie używam lunety ani noktowizora, nie zaglądam też przez dziurkę od klucza. Obrazy same się pojawiają, a ja nie czuję potrzeby, żeby zamykać oczy. Widzę pokoje, kuchnie, łazienki rzadziej, bo są zazwyczaj wewnątrz mieszkań, widzę kolory ścian, boazerię nawet, paskudną i niemodną, oraz ludzką wredność.

Lena tupnęła nogą.

– Nie wolno pani.

– Wolno. Chyba że moja siostrzenica ma zapisane w regulaminie kamienicy, że spoglądanie przez okno jest surowo zabronione. W przeciwnym razie mogę patrzeć tam, gdzie chcę.

Dziewczyna aż się zatrzęsła.

– No dobra. To co pani widziała?

– Twoi rodzice wiecznie się kłócą. A ty kompletnie sobie z tym nie radzisz, co dla mnie, jako osoby postronnej, jest dość oczywiste i zrozumiałe. To nie jest wprawdzie moja sprawa, ale ponieważ stałam się mimowolnym świadkiem, poruszam ten temat. Muszę to zrobić.

Lena spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Ale nie z potrzeby serca?

Rebeka przygryzła dolną wargę.

– Jakby się nad tym poważnie zastanowić, to rzeczywiście nie. To raczej pewien moralny obowiązek. Nie znam cię zbyt dobrze, więc teoretycznie mam gdzieś twoje problemy, ale z drugiej strony jesteś dzieckiem cierpiącym. Nie wolno przechodzić obojętnie obok niesprawiedliwości, a jeśli do tego dorzucimy osobę nieletnią, to już podwójnie nie wolno. Poza tym empatię mam zapisaną w genach, bo moja matka współcierpiała nawet z zabitym komarem.

Lena zachichotała, a Rebeka spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Bardzo śmieszne.

– Nie, po prostu jest pani dziwna.

– Jestem szczerą. To rzeczywiście może uchodzić za dziwactwo, zwłaszcza kiedy publicznie przyznajesz, że nie wzruszają cię małe kotki, noworodki pachnące kupą oraz kolędy o Dzieciątku. A ja nie wstydzę się o tym mówić głośno. Poza tym naprawdę nie płaczę przy smętnych pastorałkach, za to wzrusza mnie Toliboski zbierający nenufary. A raczej tragiczny wydzźwięk tego brodzenia w stawie. Oczywiście nie masz pojęcia, o czym mówię.

– Nie lubi pani świąt? I nie, rzeczywiście nie znam Toliboskiego.

– Lubię. Po swojemu. Bez wciskania mi do nosa zapachu pomarańczy.

Lena podskoczyła na śniegu.

– A Toliboski?

– Facet z filmu, który powinnaś obejrzeć. Zrywał dla ukochanej nenufary, brodząc w białym garniturku w stawie. Na końcu ją rzucił.

– I to dlatego pani płacze?

– Nie, płaczę, bo żal mi każdej kobiety, która po jednym bukietcie planuje całe swoje życie z facetem chwilowo uwalonym błotem, chociaż powinna mieć swój rozum, by wiedzieć, że kwiaty zawsze więdną. A spodnie można wyprać.

Lena patrzyła na nią, niewiele rozumiejąc.

– Chyba muszę iść do szkoły – powiedziała w końcu.

– O kurwa, ja też! – zreflektowała się Rebeka i dodała: – Obserwuję cię, pamiętaj o tym.

W razie czego przyjdę z odsieczą, choć wcale się do tego nie palę. I bez nenufarów.

## Rozdział 15

### DRUCIANA CHOINKA

Seweryn polubił dzisiejszą środę, ponieważ to właśnie dzisiaj dowiedział się, że nie będzie już tylko nosem, ale i sensorykiem. A dokładniej piwnym sensorykiem, ponieważ pewien browar pilnie potrzebował kogoś, kto oceniłby poziom alkoholu i goryczki, a także aromat i ogólny smak produkowanego w nim napoju. I pomyśleć, że ta zwykła środa stała się nowym otwarciem, choć każdy uważa, że coś nowego rozpocząć można tylko w poniedziałek. A najlepiej w pierwszy poniedziałek miesiąca.

Sensoryk piwny.

To go stawiało w nieco lepszym świetle i gdyby jakimś cudem Momo zapytała go, czym się zajmuje, nie musiałby już odpowiadać wstydliwie, że jest nosem. Że wacha i wacha, i chodzi w tym wszystkim o to, żeby wywachać to, co najlepsze. Dzisiaj znowu wyłapał jej zapach, trzy minuty po tym, jak zeszła do galerii. Pachniała kawą, cytrusowym kremem do rąk, ziołowym szamponem oraz nutą pudrowo-waniliową, którą trudno było zinterpretować jednoznacznie, ale która na pewno owinęła się wokół Momo i dodawała jej jeszcze większego uroku.

Czy można do niej zajrzeć już teraz? Przywitać się tak zwyczajnie i zapytać, co nowego?

Dość beznadziejne pytanie, zwłaszcza że od ich ostatniego spotkania nie minęło wcale tak dużo czasu. Jeśli w ogóle jakiś minął. A zatem najpierw zadania sensoryczne, a potem ewentualnie spontaniczna wizyta w galerii. Może znowu coś kupi? A może jeszcze bardziej spontanicznie zaprosi ją gdziekolwiek, a ona się zgodzi, bo przecież jest po rozwodzie, a wtedy wolno. I opowie jej o Wenecji i o tym, jak zafascynowało go muzeum perfum ze swoimi aromatami kadzideł, melisy, bergamotki, cynamonu, szafranu, pieprzu, wanilii i gałki muszkatołowej, czyli wszystkimi najważniejszymi składnikami dawnych zapachów. Jak przechodził z sali do sali i łąpał wonie, zapamiętując je na zawsze. Wtedy ten jego zawód nosa będzie miał przynajmniej romantyczne tło z Mostem Westchnień w tle.

– Jest pan wypoczęty? – to pytanie bynajmniej go nie zdziwiło, więc tylko skinął głową, nawet jeśli odrobinę minął się z prawdą.

Sny go ostatnio męczyły i przyduszały swoją ciężkością. Budził się trochę wystraszony i niepewny kolejnego dnia. Zupełnie jakby miał do wykonania jakieś zadanie, które znacznie przekraczało jego możliwości. Ale dzisiaj nie mógł tego po sobie pokazać. Więc przytaknął z dużą pewnością siebie i podał rękę pytającym.

Pomieszczenie, do którego go zaprowadzono, zapraszało ciepłym światłem i zupełnym brakiem zapachów. Również Seweryn był wypłukany z jakichkolwiek aromatów. Nie użył rano mydła, szamponu ani kremu do twarzy. Miał być wyjałowiony, bezzapachowy, neutralny i całkowicie nijaki. Tylko wtedy mógł należycie odebrać smak i zapach piwa. Niczego też nie jadł, wypił jedynie szklankę wody, a zęby umył sodą oczyszczoną, żeby nie czuć smaku pasty.



Zmusił się też do tego, by z głowy wywietrzał mu zapach Momo. Na szczęście został mu jeszcze jej obraz.

Podano mu siedem próbek piwa w małych naczyniach, około stumililitrowych. Obok nich stały mniejsze, do oceniania samej piany. Na stole leżały też maca i chleb, którymi należało przegryzać kolejne próbki lub choćby je wachać, aby oczyścić nos.

Seweryn zamknął oczy.

Miał wybrać smak jego zdaniem idealny, taki, który będzie wyróżniał to piwo między pozostałymi na rynku. Taki, który okaże się bestsellerem i który spragnieni ludzie będą kupować hektolitrami.

– Liczymy na pana – oznajmili ciut zdenerwowani producenci piwa, którzy zainwestowali wszystko, by podbić rynek, a teraz chcieli odzyskać to, co wyłożyli, by potem zarobić milion razy więcej.

Seweryn miał wybrać najlepszy aromat, najlepszy balans, najlepszy rodzaj słodu i wreszcie najlepszy smak.

Po sześciu godzinach był absolutnie pewien.

Tylko jedno piwo smakowało dokładnie tak, jak powinno. Miało w sobie coś cytrusowego i ziołowego. Miało ledwo wyczuwalną nutę kawy, a pierwsze wrażenie goryczki po chwili ustępowało miejsca dziwnej słodczy, od której szumiało nie tylko w głowie. Wanilia? Tak, to musiało się udać.

– Na pewno to?

Seweryn przytaknął.

– Jest idealne.



Tymczasem Momo próbowała pogodzić dwie klientki, które dokładnie w tym samym momencie upatrzyły sobie choinkę z zielonego drutu. W zasadzie choinka była dość zwykła, ale nabrała wartości w chwili, kiedy jedna z kobiet jej dotknęła, a druga również miała taki zamiar.

– Byłam pierwsza.

Ten zwrot słyszą wszystkie sklepy i z zaciekawieniem oglądają próbę sił, perswazji, złościwości, a w końcu kapitulację jednej ze stron. Momo chciała tego uniknąć. Nie lubiła niezręcznych sytuacji, których stawała się mimowolnym świadkiem. Przecież może zrobić jeszcze jedną choinkę z takiego samego drutu, a nawet dorzucić kilka filcowych, miniaturowych bombek, które właśnie wycinała.

– Niestety nie mogę czekać – oznajmiła klientka numer jeden. – Potrzebuję tej choinki na dzisiaj, więc po prostu ją kupię.

– Jaka szkoda, że jest to absolutnie niemożliwe i jeszcze bardziej wykluczone – miękko weszła jej w słowo klientka numer dwa. – Tak się składa, że to ja pierwsza jej dotknęłam i zaplanowałam zakup. I również potrzebuję jej na dzisiaj.

– Zaplanowała go pani w myślach, tymczasem to ja pierwsza głośno wyartykułowałam potrzebę jej posiadania. Powiedziałam: „Biorę ją”, co jakimś dziwnym trafem dało pani bodziec do walki. Do ataku, szarży wręcz.

Kobieta roześmiała się perliście z domieszką wściekłej ironii.

– Zna pani jeszcze więcej synonimów? Ja nie muszę z nikim walczyć. Szarżować ani szturmować też nie. I nie muszę nikomu niczego udowadniać. Kupuję choinkę, bo jest grudzień, a ja byłam pierwsza.

– Niestety ja również jestem zainteresowana. I w mojej ocenie to ja byłam pierwsza.

Momo przełknęła ślinę.

To miłe, że obie panie zachwyciły się choinką z drutu, to niemiłe, że prawie się nią dławią.

– Są jeszcze inne – wtrąciła nieśmiało, ale nikt nie zwrócił na nią większej uwagi.

Zamilkła więc z dziwnym posmakiem niezręczności.

– Nie sądzę, aby pasowała do pani choinka z drutu.

To była klientka numer jeden.

– A to niby dlaczego? – Prychnęła klientka numer dwa.

I rozpoczęła się przepychanka na złośliwości, drobne ukłucia, przytyki oraz aluzje, a Momo tylko patrzyła raz na jedną, raz na drugą kobietę i zastanawiała się, jak bardzo grudzień się z nich śmieje. Oraz ten ktoś, kto właśnie wszedł do sklepu i wdepnął w sam środek podniesionych głosów, zapiekłych słów i dziwnej gestykulacji.

– Ja wiem – powiedział nagle, a Momo uśmiechnęła się odruchowo, bo to był Seweryn. Nawet ją samą ten uśmiech nieco zaskoczył, ale ponieważ choinka z drutu była teraz priorytetem, postanowiła nie zastanawiać się nad swoimi odruchami.

A Seweryn po prostu wziął choinkę i zaczął ją rozplątywać, aż uzyskał trzymetrowej długości drut, który absolutnie w niczym nie przypominał już świątecznego drzewka. I który zamknął buzie obu kobietom, a potem wypchnął je ze sklepu prosto w ramiona pierwszej w tym roku śnieżycy.

Różne są rodzaje wzruszeń. Niektórzy potrzebują silnych bodźców, muzyki organowej, potężnej i dudniącej, inni ogromnych morskich fal, a są jeszcze tacy, którzy wzruszają się wyłącznie na widok małych foczek. Momo roztkliwiła się, niezrozumiale dla siebie samej, na widok rozciągniętego drutu, zielonego wprawdzie, ale niemającego nic wspólnego z dawną choinką.

– O matko, przepraszam – wystraszył się nagle Seweryn. – Zniszczyłem pani dzieło, ale to jakoś tak samo się zrobiło. – Język nieco mu się zaplątał, podobnie jak myśli.

Ale Momo wcale nie była zła. Była uratowana, jakkolwiek to brzmi.

– Dobrze pan to rozegrał.

– Ale straciła pani klientki.

Roześmiała się miękko, aż Seweryn poczuł tę miękkość w kolanach. Usiadł więc na czymś, co przypominało fotel, by po chwili zerwać się z niego i spytać:

– Czy to nie jest czasem eksponat?

Momo przytaknęła, coraz bardziej rozbawiona i z lekkim różem na policzkach. Seweryn poczuł zapach piwonii, ale to pewnie były tylko hormony, które właśnie płątały mu figła.

– Wolno na nim siedzieć. To w końcu mebel użytkowy.

Seweryn zerknął na fotel. Drewniane nogi, część do siedzenia wykonana z pozszywanych kolorowych piłek z materiału, a oparcie?

– To są płyty? – zdumiał się szczerze.

– Tak. Stare kompakty, sklezione i naciągnięte na stalowe linki.

– Pani jest niesamowita.

Momo chwyciła w palce zielony drut, a potem zaczęła go zwijać i zwijać, przeplatać i znowu zwijać, aż po jakimś czasie, którego Seweryn nie był w stanie ocenić, w jej rękach znowu

pojawiła się choinka, zupełnie jakby ją ktoś wyczarował i przywrócił do żywych.

– Choinka – zauważył mało inteligentnie.

– Dla pana. – Wyciągnęła rękę.

– Ja bym chciał tamtą z wystawy.

Momo zaczerwieniła się.

– Ona nie jest na sprzedaż. Przepraszam.

Seweryn poczuł, że traci grunt pod nogami. Zawsze tak jest, kiedy nagle przyspieszamy, bo wydaje nam się, że widzimy już metę, a to tylko złudzenie optyczne. Nasze pragnienie, głód i fantazja, ale nie rzeczywistość.

– A, no tak. Wspominała pani. W takim razie bardzo chętnie wezmę tę drucianą, choć chciałbym za nią oficjalnie zapłacić. W końcu gdyby nie moja interwencja, jedna z tych dam z pewnością by ją kupiła.

Dam?

Momo przygryzła wargi.

– Nie. To prezent – powiedziała jakoś tak stanowczo, że Seweryn postanowił więcej się nie upierać. Trzeba wiedzieć, kiedy przerwać, kiedy wyjść i załapać się tym samym na kolejną szansę na spotkanie. Kiedy człowiek zbyt szybko ubija śmietaną, nagle ma w misce masło. A przecież nie tego chciał.

Wieczorem Momo usiadła z ciotką Rebeką do stołu i wyciągnęła kartkę papieru z zapisanymi na niej nazwami pięćdziesięciu potraw, których należało spróbować przynajmniej raz w życiu.

– Serio? – Ciotka spojrzała na nią ze zdumieniem. – Z tego co wiem, twoje kubki smakowe zostały odcięte od świata albo po prostu są na urlopie. Poza tym lodówka nadal jest pusta.

Momo skinęła głową.

– Wiem. Ale jutro pójde na zakupy. Tylko mi powiedz, co byś najpierw chciała z tej listy.

Ciotka rzuciła okiem na kartkę.

Świeża ryba.

Homar.

Sernik.

Jagnięcina.

Ostrygi.

Pralinki.

Kangur.

– Kangur? – zdumiała się. – Możesz mieć problemy, żeby go dostać w naszych sklepach. Poza tym zaraz zacnie cię ścigać armia Obrońców Kangurzej Miłości albo inna organizacja miłośników torbaczy. Dzisiaj strach kupić parówkę i to nie dlatego, że siedzi w niej zmielony trampek, tylko w obawie przed atakiem rozsierdzonych wegan.

– Rebeka?

– No?

– A gdybyśmy to wszystko przygotowały na Wigilię?

– O kurwa, pięćdziesiąt potraw? To ja chyba wolę zjeść wegański korzonek i zapić to winem.

– No dobrze, to chociaż połowę. A resztę za rok. Sama mówiłaś, że te wszystkie wigilijne potrawy nie mają wiele wspólnego z tradycją, przynajmniej chrześcijańską, więc chyba nic złego się nie stanie, jeśli spróbujemy czegoś zupełnie innego?

Rebeka zastanowiła się. Zawsze to jakaś alternatywa dla obrzydliwej grzybowej i karpia, który smakował mułem.

– Tu jest wymieniona *guinea pig*, czyli *świnka morska*. Z nią też mogą być kłopoty.

– Ale są też zwykłe mango i kawior.

Ciotka przełknęła ślinę.

– Dopisz jeszcze hot doga ze stacji benzynowej. No i zasadnicze pytanie – co jemy dzisiaj?

– Może pizzę? Sama spróbuję zrobić.

– Masz drożdże, mąkę, sos pomidorowy, oliwę i mozzarellę?

– Nie.

– Dobra. To robimy pizzę.

## Rozdział 16

### SEN NUMER SIEDEM

*Pływam w basenie wypełnionym mlekiem kokosowym. Czuję zapach trawy cytrynowej i widzę tańczące na powierzchni drewniane pałeczki. Próbuję je złapać, ale mleko robi się bardzo gęste i ciężko jest mi dopłynąć. Nagle coś mnie ciągnie za nogę i z przerażeniem odkrywam, że nie mam sił płynąć dalej. Zamykam oczy tylko po to, by zasnąć we własnym śnie. Czy to znaczy, że zesłam głębiej do swojej podświadomości, czy po prostu ten basen wydarzył się naprawdę?*

*W tym samym czasie co ja śpi teraz jedna trzecia ludzi na świecie. O czym śnią? O czym marzą? Kto z nich, tak jak ja, kąpie się w mleku, a kto otwiera kolejne drzwi? Czy to, o czym śnię, jest tylko wybrykiem mojego umysłu, figlem podświadomości, czy rzeczywiście sny do czegoś mnie prowadzą?*

*Do kogoś?*

*Przypadkowe migawki, zlepki obrazów, niedokończone sceny.*

*Stoję na plaży i widzę, jak zbliża się do mnie ogromna fala.*

*Czy powinnam uciekać? Mam jeszcze czas, żeby odbiec, żeby wspiąć się po kamiennych schodach i uniknąć uderzenia. A jednak stoję jak wmurowana i patrzę na piętrzącą się wodę.*

*Za późno.*

*Fala mnie dopada, a ja nurkuję w jej głębinach. Kiedy się otrząsam, jestem zdezorientowana. Nie wiem, czy się utopiłam, czy jednak udało mi się przeżyć. Ale łapię oddech. Moje nogi znowu dotykają piasku, a fali już nie ma. Czy w takim razie miałam nad tym kontrolę, czy po prostu jakimś cudem pokonałam żywioł?*

*Unoszę ręce. Jestem dziecięcym bączkiem. Kręcę się w kółko i nie mogę przestać. Widzę, jak ktoś z góry próbuje mnie nacisnąć, żebym kręciła się jeszcze bardziej.*

*Hej! Jestem Momo! Nie jestem bączkiem!*

*Nie wiem, czy ta ręka należy do właściciela zielonego swetra, czy też nie, bo kręcę się zbyt szybko, żeby cokolwiek dostrzec. Nagle staję w miejscu, a ktoś mocno mnie przytula. Jeszcze kręci mi się w głowie, jeszcze tańczę, wiruję, ale już jest mi lepiej. Wtulam się w te ramiona, w miękką wełnę. Znam ten zapach. Mogłabym tak stać godzinami, żeby starczyło na później.*

*Ale znowu jestem sama i słyszę jakiś głos.*

*Jaki kolor lubisz najbardziej?*

*Ktoś mnie naprawdę o to zapytał?*

*Czarny. Czarny. Czarny.*

*Jaki kolor lubisz najbardziej?*

*Czarny...*

*Jaki kolor...*

*Może czerwony?*

Momo obudził potężny huk. Usiadła na łóżku i z przerażenia nie ruszała się przez pierwszych kilka sekund. Co to mogło być?

Huk wypełnił jej pokój po raz kolejny, aż w końcu doszła do wniosku, że musi wstać i odważnie wyjść z sypialni.

– Rebeka?

Ciotka stała na kanapie z wielką książką w ręku, którą nagle rzuciła z impetem o ścianę.

– Skurwiel!

– Kto taki?

– Komar!

Momo przetarła oczy ze zdumienia.

– Komar zimą?

Ciotka tylko niezauważalnie pokręciła głową.

– Przysnął gdzieś pewnie i teraz się przebudził. Właśnie teraz, w grudniu, kiedy nikt się go już nie spodziewał. Ale nie znam człowieka, który nie byłby wyczulony na to cholerne „zzzzzzz”, które wwierca ci się w mózg i wibruje coraz głośniej i głośniej. I wiesz, że za chwilę on siądzie na twojej twarzy i wyciągnie swój organ do żłopania krwi. Ale niedoczekanie! Zabiję go! Chodź! Zgasimy światło i się przyczaimy.

Momo nie była pewna tego, co robi, ale posłusznie usiadła obok ciotki i nakryła się kołdrą. Chciało jej się spać, ale wiedziała, że najpierw trzeba zabić komara. Ciotka nie odpuści.

– Ciii. Słyszysz? Podlatuje – szepnęła Rebeka, a potem głośno uderzyła się w twarz.

– Skurwiel! Zwiął, a ja sama walnęłam się w głowę. To niewiarygodne, że człowiek przegrywa z czymś tak małym i złośliwym! Weźmiemy go przy świetle. – Znowu zerwała się z kanapy i nacisnęła włącznik. Ciepłe światło zalało pomieszczenie i Momo musiała zamknąć oczy.

Zbyt jasno. Zbyt brutalnie. Niech ją nawet już utnie, byleby mogła spać dalej.

Nagle Rebeka raz jeszcze zamachnęła się książką i tym razem grzmotnęła nią o podłogę.

– Usiadł na ziemi. Niewiarygodne! Pewnie chciał mnie zmylić. Nie cierpię komarów. Mam na nie alergię i wstrząsa mną wewnętrznie, podobnie jak wstrząsało Napoleonem na widok kotów.

– Nie lubił ich? – zdziwiła się Momo, ziewając i próbując za wszelką cenę przypomnieć sobie, o czym śniła.

– Gorzej. Bał się ich. Cierpiał na tak zwaną ailurofobię, podobnie zresztą jak Hitler i Cezar. Najwyraźniej wyczuwali, że koty mają ich głęboko w dupie, bez względu na to, za jak wielkich przywódców się uważali. A tak w ogóle, to cię obudziłam? – Ciotka spojrzała na siostrzenicę i uniosła pytająco brwi.

Momo westchnęła.

– To był dość głośny huk.

– Bo te komarze suki są szybsze niż latające książki. Czy mi się zdaje, czy ktoś puka?

Momo też wydawało się, że słyszy słabe pukanie do drzwi, więc poszła na palcach w stronę korytarza i spytała cicho: „Kto tam?”, zupełnie jakby obawiała się, że za drzwiami będzie czekać na nią wielka fala. Lub komar.

Fala! O właśnie, o tym śniła!

Chwilę później patrzyła na koszulkę w maleńkie wieloryby, jeśli w tym określeniu jedno nie wyklucza drugiego.

Seweryn chciał tylko wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, bo coś huknęło raz, drugi, a potem trzeci, a ponieważ podłoga Momo jest jednocześnie sufitem jego mieszkania, słyszał te

huki wyjątkowo dobrze. Nie chciałby się oczywiście narzucać, ale jeśli tylko potrzeba pomocy, to on chętnie, zawsze i naprawdę nie ma żadnego znaczenia późna, nocna godzina.

– Naprawdę wkładasz do spania koszulkę w wieloryby? – zdumiała się Rebeka, która zahaczyła wzrokiem o korytarz, Seweryna oraz to, co miał na sobie.

Zaczerwienił się odrobinę.

– Spodobała mi się. Lubię koszulki z czymś.

Momo przygryzła wargi, a Rebeka drażyła dalej.

– Ale spodnie masz bez żadnego wzoru.

Seweryn zerknął odruchowo w dół i poczuł, jak jego policzki stają się coraz cieplejsze. To chyba nazywa się kompromitacja. Stał przed bursztynową Momo, ubraną w czarny *T-shirt* i czarne legginsy, przed kobietą z wielką książką w ręku i odsłaniał przed nimi swoje nocne tajemnice odzieżowe. Wieloryby na koszulce oraz niebieskie spodnie bez wzoru. Sytuacja może byłaby zabawna dla osoby postronnej, która oglądałaby tę scenę w telewizji albo właśnie o niej czytała, ale on sam czuł się idiotycznie. Na dodatek nie wiedział, co powinien jeszcze powiedzieć, oprócz zwykłego „dobranoc”. A gdyby uciec w absurd? Zaskoczyć je obydwie, odwracając w ten sposób uwagę od samego siebie?

– Ślady dwutlenku węgla w naszym oddechu oraz kwas mlekowy w pocie są niczym autostrada dla komara.

Rebeka zwyczajnie zamarła, a Momo uroczo zastygła. Seweryn poczuł się nieco pewniej.

– To, gdzie się wkluwają, zależy od temperatury ludzkiego ciała oraz od zapachu, jaki ono wydziela.

– A jakie zapachy lubią najbardziej? – Rebeka dała się wciągnąć w temat.

– Etanol...

– To by się zgadzało, piłam wczoraj piwo.

Seweryn delikatnie się uśmiechnął, czując, jak wieloryby odpływają z pierwszego planu.

– I pachnie tu pizzą – powiedział jeszcze, pociągając nosem.

Bo w końcu ją zrobiły. Rebeka wyskoczyła do pobliskiego sklepu i kupiła wszystko, co potrzebne, a Momo w tym czasie studiowała najprostsze przepisy na pizzę. Sama zagniotła ciasto, nie mogąc się nadziwić, że tak szybko rośnie ustawione koło kaloryfera. A potem jadły, siedząc na kanapie, i ciotka pokazywała Momo okna tego mieszkania naprzeciwko, w którym Lena wciskała głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć kłótni swoich rodziców. Wczoraj było ciut lepiej, ale dziewczyna i tak nie wyglądała na zbyt szczęśliwą. Nic dziwnego. Około dwudziestej drugiej matka i ojciec stanęli naprzeciw siebie jak dwa koguty na ringu, a potem z podobną zaciekłością ruszyli do ataku. Ona podskakiwała znacznie częściej, on za to wymachiwał rękami. Ona znowu go kopnęła, a wtedy on zaczął stukać krzesłem o podłogę. Powtórzyli tę scenę jakieś trzy razy, nuda dla przypadkowego widza, ale nie dla Leny.

– Coś z tym zrobisz? – spytała zdumiona Momo. Ona sama nigdy nie była świadkiem kłótni swoich rodziców, więc tym bardziej zaskoczyła ją ta jawna agresja. I nastolatka wepchnięta w sam jej środek.

– Nie bardzo wiem co. Nie mogę przecież zgłosić na policję nieprawidłowego użycia krzesła i nie mogę donieść, że kobieta kopnęła męża. Czuję, że mogliby mnie wyśmiać. Policja interweniuje najchętniej, gdy już jest gotowy trup albo chociaż przedsmak śmierci.

– Użyj zwrotu „przemoc domowa”.

Rebeka przełknęła ostatni kawałek pizzy i podrapała się po głowie.

– Może ja ich nagram? Wtedy będę mieć dowód, chociaż znowu nie wiadomo, czy to jest

legalne. Ale coś muszę zrobić. Nie lubię wprawdzie dzieci, a już najbardziej nie lubię dzieci, których nie znam, ale trochę mi żal tej małej, że musi być świadkiem takich scen. My, dorośli, jesteśmy czasem głupszy od siebie samych, na dodatek w ogóle tego nie zauważamy, myśląc, że głupi jest nasz sąsiad lub kolega. No trudno, będę musiała zainterweniować, choć mam na to mniejszą ochotę niż na polizanie żądła szerszenia. Ale czasem trzeba wyjść z siebie, choć nie w tym kontekście, o którym myślisz.

Momo niewiele wtedy już jednak myślała, bo bardzo chciało jej się spać. Podobnie jak teraz, a te wieloryby przypomniły jej raz jeszcze morze i falę, i to, jak na nią spadła, rozpryskując się na wszystkie strony, a jednak jej nie zatopiła.

Popatrzyła sennie na sąsiada.

– A bazylia? – szepnęła jeszcze.

Seweryn pokiwał głową.

– Bazylia nie lubię. Ani wanilii. Ani zapachu liści pomidorów. Proszę iść spać i raz jeszcze posmarować dłonie kremem waniliowym. Obiecuję, że nie przylecą.

Rebeka zawiesiła na nim wzrok, a potem westchnęła, choć bardziej do siebie. Seweryn również był waniliowy. Roztopiony niczym budyń z pianką, ugotowany w środku nocy, choć na klatce wiało chłodem. Nawet te wieloryby miały jakieś rozanielone pyski, więc w sumie wszystko było jasne.

– Dobranoc – powiedziała tylko i zamknęła drzwi, zanim Seweryn zdążył się grzecznie pożegnać, a Momo popchnęła w stronę sypialni.

– Idź, zanim dzień przełamie ciemność i trzeba będzie ruszyć dupę. Poza tym chyba go zabiłam.

Wieloryba?

*Czy ja czuję jakiś niedosyt? Głód? Czy zaspokoję go w tym świecie dwuznaczności i rozproszonych momentów?*

*Zanurzam się w wodzie. Nogi, brzuch, ramiona, głowa. Zanurzam się coraz głębiej i głębiej, i nagle odkrywam, że mogę oddychać pod wodą. Uśmiecham się do swoich rąk, do swoich palców, które oglądam jak na zwolnionym filmie. Jednocześnie przenika mnie radość i strach. Nie mogę dotknąć stopami dna, co trochę mnie wytrąca z równowagi, bo nie wiem, jak głęboko znajduję się pod wodą. Obok mnie pojawia się jakaś humanoidalna postać, skrzyżowana z wodorostami i wielką rybą. Patrzy na mnie złowrogo.*

*I nagle przenikam do innego świata, a to coś, co płynęło obok mnie, ma teraz głowę wieloryba. Wygląda zabawnie, więc głośno się śmieję, a ono wtedy rozpływa się jak we mgle, jak w parze wodnej, jak w dymie z ogniska.*

*Ognisko.*

*Wyciągam ręce i próbuję się ogrzać. Jestem mokra, kapie mi z włosów, mam przemoczone ubrania, a w moich butach chlupie. Czuję zapach kokosowego mleka i waniliowych ciasteczek. Ktoś podaje mi czerwony ręcznik. Ktoś podaje mi czerwoną suszarkę. Ktoś chce wysuszyć mi włosy i chyba podoba mi się ten pomysł. Samotność, którą kocham w rzeczywistości, przegrywa z obecnością tej niezidentyfikowanej osoby ze snu.*

*Jaki jest twój ulubiony kolor?*

*Nie wiem. Dotąd myślałam, że czarny, ale może jednak zielony?*

*Czerwony?*



*Ktoś mnie przytula i głaszcze po włosach. I nie przeszkadza mu, że są mokre, słone i przeplatane wodorostami. A ja zasypiam, choć to przecież niemożliwe, bo przecież już śpię. Czy można zasnąć we śnie?*

*Niedługo Wigilia, a ja ciągle nie wiem, jaki kolor lubię.*

*Co ma do tego Wigilia?*

*Zielony.*

*Czerwony.*

*Odpływam.*

## Rozdział 17

### CZERWIEN MA SIĘ W SOBIE

Czy naprawdę musimy ustawiać sobie poprzeczkę coraz wyżej i wyżej? A może niektórzy wolą pod nią przechodzić niż przez nią przeskakiwać i doliczać do niej kolejne centymetry. Świat zbudowany jest na zasadzie piramidy, na samej górze tylko dlatego jest bezpiecznie, bo piramida ma stabilny dół. Momo też tam była. Na samym dole. Bezpieczna, schowana między innymi, zatopiona w swoich czerniach, myślach, ukryta przed światem. Ale kto powiedział, że im wyżej, tym lepiej? Przecież ktoś musi tworzyć podstawę, żeby cyrkowiec mógł balansować na linii.

Pati miała dni, w których bardzo chciała zmienić swoją córkę, ale te dni przeplatały się z takimi, kiedy rezygnowała ze swoich planów. Nie można za kogoś zjeść obiadu, nie można za niego przeczytać książki i ubrać się w czerwoną sukienkę. W ogóle nie można za kogoś zrobić więcej, niż ktoś sam chce, a najmniej są z tym pogodzeni właśnie rodzice. Zwłaszcza matki, które muszą być czasem również ojcami i kompletnie nie wiedzą jak.

– Czy pani córka też jest tak bardzo na „nie” wobec świata? Czy też odwraca się plecami do wszystkiego, co wyciąga do niej rękę? – szepnęła do zabalsamowanej staruszki, której długie włosy zaplotła właśnie w srebrzystą koronę i upięła nad czołem. Jej sukienka była fioletowa i miała falbany. I po siedem guziczków przy każdym mankencie. Trudno było je zapiąć, ale Pati jakoś sobie z tym poradziła. Do tego granatowe, grube rajstopy, sznurowane trzewiki i perełki. Na szyję, na przegub dłoni, w kolczykowe dziurki w uszach. I nagle zniknęła staruszka, a w jej miejsce pojawiła się dystygowana kobieta, schowana wprawdzie pod zmarszczkami, ale już znacznie pewniejsza siebie, bardziej stanowcza i odważna. Wystarczy jeszcze tylko pociągnąć usta rubinową szminką i już przejście w grudniowy świat zmarłych nie było tak bardzo smutne.

– Jak pani to zrobiła? – zapytała godzinę później córka fioletowej sukienki i dotknęła czoła zmarłej.

Pati niezauważalnie się uśmiechnęła.

– Pani mama musiała być piękną kobietą i proszę mi wierzyć, że zrobi furorę, gdziekolwiek pójdzie.

– Jeśli gdziekolwiek jest coś, dokąd pójść można. Bo ja nie wierzę w niebo – powiedziała kobieta.

– Niebo jest umowne. To metafora zamkniętych drzwi, do których pani mama dostała klucz. I przejdzie przez nie spokojna, że przynajmniej ma wyprasowaną sukienkę.

– Wygląda, jakby spała.

– Bo śpi. Podobnie jak moja córka – wyrwało się Pati.

Kobieta spojrzała na nią ze współczuciem.

– Pani córka nie żyje?

Pati wzdrygnęła się.

– Żyje. Ale w letargu. Podgląda świat przez dziurkę od klucza, zamiast wstać i otworzyć drzwi na oścież.

Kobieta nie zapytała o nic więcej, jakby nie chcąc zahaczać o miejsca, które nie były dla niej przeznaczone. Raz jeszcze dotknęła czoła zmarłej i delikatnie się uśmiechnęła.

– Szkoda, że mama nie doczekała Wigilii. Spodobałaby się sobie samej – westchnęła tylko.

Pati nie odpowiedziała.

Najgorsze były chyba święta w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Perkoz wpadł wtedy na dziwaczny pomysł, by udawać, że świąt nie ma. Nie przyszły, odwołano je, przesunięto na luty. A wszystko dlatego, że z początkiem grudnia wysłano w kosmos sondę marsjańską, której lot uzmysłowił naukowcom, że pomylili się co do czasu. I że rok ma więcej miesięcy, a miesiąc więcej dni. I Wigilia wcale nie przypada wtedy, kiedy ją obchodzimy.

– Co ty pieprzysz? – spytała wtedy Rebeka, sprowadzając na chwilę Perkoza do parteru. – Nie jestem może wielką fanką Bożego Narodzenia, ale sam się wystrzel w kosmos z takimi rewelacjami. I policz sobie dni w roku na nowo. Są święta, jest Momo, a ponieważ ma dopiero dziesięć lat, może mieć głęboko w dupie sondę marsjańską. Gwarantuję ci, że woli choinkę, kolację, prezenty i ogólny nastrój patetyczno-pompatyczny.

Perkoz tylko wzruszył ramionami. A potem siedział przy stole tak, jakby go nie było. Nieobecny, milczący, ze wzrokiem wbitym w kremowy talerz ze złotym szlaczkiem. Nie rozpakował nawet prezentu od Momo, chociaż tak się starała, szyjąc dla niego krawat ze starych, kolorowych sznurowadeł. Pati chciała nim wtedy potrząsnąć, oblać go barszczem, zrobić cokolwiek, żeby się ocknął. W każde inne dni, w każdym innych momentach tryskał życiem i rozdawał światu kolorowe balony. W Wigilię był jak spetryfikowany. Mumia bez czucia, bez krwi, bez uśmiechu.

A najgorsze było to, że zaraził wszystkie kolejne Wigilie. I ani Pati, ani Momo nie zaliczały się więcej do grona osób, które kochają błyszczącą, cynamonowo-piernikową końcówkę grudnia.



– Naprawdę stałaś przed wielką falą? – upewniała się Mila.

Momo zanurzyła *croissant*a w kawie i kiwnęła cztery razy głową.

Maślane rogaliki były jednak lepsze. *Croissanty* wprawdzie dobrze brzmiały, zwłaszcza jak ktoś miał gardłowe „r”, ale nie pasował jej ich smak. Rogalik był bardziej delikatny. Wrażliwy nawet, choć może to nie było dobre określenie.

– Bałam się jej, ale z drugiej strony wiedziałam, że nic mi nie zrobi. A potem znowu ktoś zapytał mnie o kolory i poczułam zapach kokosu. I byłam bączkiem. Kręciłam się w kółko, nie mogąc przestać, i wszystkie drogi zlewały mi się w jedną. Gdyby on mnie nie zatrzymał, pewnie wirowałabym tak bez końca. Ale był tam znowu i chociaż nie pamiętam, czy miał na sobie zielony sweter, to jednak czułam jego zapach. Nie wiem, czy we śnie to w ogóle możliwe. I nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Powiem ci tylko, że czuję się odrobinę skołowana. Nie można prościej? Bardziej logicznie? I wcale nie wiem, czy te twoje zioła mi jakoś pomogły. Nie nazwałabym swoich snów spokojnymi.

Mila zastanowiła się przez chwilę.

- Ja myślę, że chodzi tu o pozorne bezpieczeństwo.
- Słucham? – Momo spojrzała na nią zdumiona. Odłożyła nawet końcówkę *croissanta*, który im głębiej w smak, tym bardziej stawał się banalny.
- Tobie tylko wydaje się, że twoje życie bardzo ci pasuje, ale tak naprawdę ciągnie cię do czegoś więcej – mówiła dalej Mila. – Nie twierdzą, że chcesz od razu zostać primadonną, ale powoli zaczynają ci przeszkadzać tylne rzędy chóru.
- Nic podobnego – Momo zaprzeczyła oburzona. – Ja naprawdę czuję się dobrze tu, gdzie jestem, z kim jestem i co robię.
- A z kim jesteś?
- No... Ze sobą. I z mamą. Z Rebeką. Ty też zaplątałaś się w mój życiorys.
- A ten mężczyzna w zielonym swetrze?
- Momo westchnęła.
- Ułuda. Wizja czegoś, czego sama nie umiem nazwać. Logika podpowiada mi, że on nie istnieje. Z drugiej strony skąd w takim razie wziął się w moim śnie? I dlaczego czuję się tak dobrze, kiedy się pojawia? Nie wierzę w tak absurdałne zakochanie. Miłość na jawie mi nie wychodzi, a co dopiero we śnie.
- Mila zaśmiała się.
- A co ci mówi intuicja?
- Że go kiedyś spotkam. I że mi umyje włosy. Że będziemy razem siedzieć przy stole i jeść szczęście, jakkolwiek egzaltowanie to brzmi. Absurd. Umieję być sama, nie mam z tym żadnych problemów, więc po co śnię o kimś, kto rzekomo ma mnie uszczęśliwić? I zupełnie nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego czerwona sukienka.
- Tym razem mnie naprawdę zaskoczyłaś. – Starsza pani spojrzała na dziewczynę pytająco. – Czerwona sukienka?
- Jej białe, leciutki jak piórko szalik był posypany mąką, czego nie widział nikt, dopóki nie kichnęła.
- Momo zerwała się z krzesła, dopiła kawę i oznajmiła, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie:
- Dobrze. Spróbuję. Pora przerwać tę serię sennych zdarzeń opartych głównie na kolorach. Czerwony? Zielony? Nie wiem, ale zaraz się przekonam. I być może znajdę wreszcie odpowiedź na pytanie, czy naprawdę sen ingeruje w naszą codzienność, czy tylko sobie to wmawiam.
- Mila kichnęła. Pyłki mąki pszennej i orkiszowej oderwały się od szala i zatańczyły w powietrzu, by po chwili osiąść na jej siwych włosach, gdzie również stały się niewidzialne.
- Kupisz czy tylko przymierzysz?
- Momo roześmiała się.
- Zobaczmy, jak bardzo mnie przeniknie.

Zieleń lub wszelkie odcienie żółtego. Oraz niebieski. Biel też, ale skoro Momo mówi, że absolutnie nie, to oczywiście ona nie chce niczego narzucać.

Sprzedawczyni nie została poproszona o pomoc, a jednak czuła się w obowiązku poinformować Momo, że jej rudość, piękna i kłująca w oczy, będzie się idealnie komponować z kilkoma barwami. Tyle że Momo nie chciała się komponować absolutnie z niczym. Nie chciała wzbudzać ciepła ani poczucia harmonii, nie marzyła o idealnym połączeniu rudości, miedzi ze szmaragdem bądź perłową bielą. Nie interesował jej fakt, że rudy i żółty są szokująco

wstrząsające, bo nie o wstrząs jej chodziło. I wzięła z wieszaka czerwoną sukienkę, prostą, z krótkimi rękawami, o lekko tulipanowym kroju, z niewykończonymi brzegami i okrągłym dekoltem, który nie odsłaniał niczego, co już mogłoby peszyć. Sukienkę, która przeniosła ją na pierwszy plan. Wywołała adrenalinową reakcję, podburzyła myśli, zmusiła do tego, żeby śnić coraz świadomiej. Nie była wulgarna, prowokująca ani nawet seksowna. Była po prostu uszyta specjalnie dla niej.

Czerwony? Zielony? Tego dylematu już nie było.

– Ale czerwony w zasadzie nie pasuje do rudego – pogubiła się sprzedawczyni.

Bo tym razem pasował i to tak bardzo, że aż sama Momo przeprosiła swój czarny sweter, chowając go na dnie torby.

A jeśli pani zmarznie?

Znowu pada śnieg, a ta sukienka ma krótki rękaw.

A może jednak przymierzy pani coś w błękicie?

O tak, błękit i rudy. Miedź i kolor nieba.

No bo skoro nie żółty...

Czerwona sukienka była jednak zdeterminowana, a Momo po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła, że chce przejść się ulicami bez czapki, wystawiając twarz na spadające płatki śniegu. I nie chodziło tu o magię, siłę i poczucie władzy. Tylko o samą czerwoną sukienkę, która owinęła się wokół Momo, jakby była jej drugą skórą, i która rozgrzewała, choć nie miała w sobie nawet jednego procenta wełny. I jeszcze chodziło o okrzyk Rebeki.

– Kurwa, Momo, jesteś ogniem! Masz na sobie coś czerwonego, co jest jeszcze bardziej zaskakujące niż fakt, że Stanisław Koniecpolski zmarł po zażyciu konfortatywy, odpowiednika dzisiejszej viagry! Albo że wiedźmini istnieli naprawdę. Gdyby teraz zobaczył cię ten facet od wielorybów na *koszulce*, zjadłby z wrażenia wszystkie komary, które ewentualnie pojawią się jeszcze w twoim mieszkaniu. A przy okazji zjadłby mnie, żebym mu nie przeszkadzała.

I Momo nagle poczuła, że jest jej ciepło, że ma ochotę podskoczyć w miejscu, a jednak tego nie zrobiła, bo co innego chceć, a co innego naprawdę robić z siebie pajaca. Sukienka dodała jej jednak pewności siebie. Momo sprzedała dzisiaj osiemnaście choinek, dwa zestawy biżuterii ze spinaczy i łyżeczek do kawy, jedną paterę z kafelków łazienkowych oraz torebkę ze sfilcowanych kulek. Początkowo nie wierzyła, że w ogóle ktoś ją kupi – setki mniejszych i większych kulek naklejonych na gruby filc – to dzieło naprawdę odbiegało od standardów przyjętych w przemyśle torebkowym.

– Pierwszy raz spodobało mi się coś, czego nie mają inni – zdumiała się sama sobą klientka, ubrana w płaszcz i kozaczki, tak podobne do reszty płaszczków i kozaczków sunących po grudniowych ulicach miasta, że kulkowa torebka rzeczywiście była dla nich oryginalnym kontrapunktem, zaskakującym fioletowo-niebieskim wyróżnikiem, z uchwytem ze starego sznurka od żelazka.

– Nie wiem, czy kupiłabym ją w styczniu – przyznała uczciwie – ale ten przedświąteczny zapach trochę miesza mi w głowie. Człowiek wtedy robi coś wbrew sobie, chociaż może właśnie niezupełnie. Może właśnie wtedy wychodzi z niego wszystko, co najlepsze. No i pani jest jakaś taka inspirująca.

Momo wyciągnęła rękę.

– Zapakować starą torebkę?

– A wie pani, że to świetny pomysł? Tak, od razu założę nową. Założę? Czy można założyć torebkę? – zaśmiała się dźwięcznie, a potem wysypała zawartość starej torby na ladę.

Raj.

Prawdziwy raj dla archeologów, miłośników antyków oraz poszukiwaczy skarbów. I dla samej Momo.

Torebka była niczym magiczna saszetka Hermiony, ta bez dna, w której mieściło się wszystko, łącznie z namiotem. A tutaj była królicza łapka. Kilka puderek, lusterek oraz pojemniczków na wszystko i nic. Pomadki, błyszczki, ulepszacze cery. Armia kosmetyków walcząca od zawsze z matką naturą.

– To matuje, to wygładza, a to usuwa przebarwienia – wyjaśniała właścicielka torby, a Momo tylko kiwała głową.

– A królicza łapka?

– Talizman.

– Na szczęście?

– Tak mówią. Pod warunkiem, że jest lewa i ucięta podczas pełni Księżyca. Podobno wzięła się z kultury Celtów, kiedy młodzi chłopcy musieli przejść inicjację i zostać myśliwymi. Wystarczyło upolować królika, żeby stać się prawdziwym facetem. To nawet pasuje. Do dzisiaj przecież gonią króliczki – zachichotała.

Momo wzięła do ręki maleńkie pudreczko z zatopioną w wieczku plastikową różą. Kiczowate i dość paskudne, ale ona dostrzegła w nim nowe możliwości.

– Coś jest w środku?

– Chyba mój pierwszy ząb. Albo ząb mojego syna.

Momo natychmiast odłożyła pojemniczek i reszty przedmiotów dotykała już tylko wzrokiem.

Zegarek bez paska.

Batonik bezcukrowy o smaku niesłodkim. Wegański i bezglutenowy.

Niebieski koralik. Karolcia? Nie, to absurdalne, ale mimo to Momo wzięła do ręki maleńki paciorek, zacisnęła dłoń i pomyślała życzenie, zupełnie jak książkowa Karolcia.

Tuxedo Condom.

Tuxedo Condom?

– Biały, z narysowanym na nim czarnym frakiem i muszką. Lubię eleganckich mężczyzn – wyjaśniła pani od magicznej torby.

O! Miniaturowe łyżeczki do herbaty.

– Przywiozłam z Turcji i kompletnie o nich zapomniałam. Muszę się paru rzeczy pozbyć, nie wszystko zmieści się w nowej torebce. A szkoda. Każdy z tych przedmiotów ma swoją historię. Chociaż o tych łyżeczkach niewiele akurat mogę powiedzieć. Ot, kupione na bazarze, razem z herbatą, która tutaj smakuje zupełnie inaczej.

– Mogę je dostać? – ucieszyła się Momo.

– Pewnie. Jeszcze dorzucę zwapniałe miętówki oraz klucze. Nie mam pojęcia, do kogo należą, ale z pewnością nie są moje. Pewnie jakiegoś byłego faceta. Swoją drogą dziwne, że się o nie nikt nie upomniał. Faceci zazwyczaj pierwsi proszą o klucze, jakby bali się, że będziemy do nich wchodzić bez pukania i pytać, czy możemy zostać chociaż jeszcze jeden dzień albo nawet ciut dłużej. O, paragony sprzed siedmiu lat, to chyba wyrzucę. – Zerknęła na datę. – I te skamieniałe tampony również. Jezu, miałam tu niezły burdel. Z drugiej strony mówi się, że torebka kobiety to jej drugi dom, więc trudno się dziwić, że jest tak bogata we wszystko i jednocześnie nic nie można w niej znaleźć. Uwielbiam te niekończące się poszukiwania jednej rzeczy, podczas których można trafić na całe mnóstwo innych.

Kobieta przepakowała w końcu wszystko, część rzeczy zostawiła Momo i raz jeszcze

z uśmiechem spojrzała na swój nowy nabytek.

Niebiesko-fioletowa filcowa miłość od pierwszego wejrzenia. Z taką torebką można nawet stracić pracę.

– A uchwyt?

– Sznurek od żelazka – wyjaśniła Momo.

– Niewiarygodne. Louis Vuitton nigdy by na to nie wpadł. Ale pani musiała. To ta czerwień.

– Ale ja dopiero co kupiłam tę sukienkę.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czerwień ma się w sobie.

## Rozdział 18

### NIEMĘSKI SERNIK

Seweryn w swoim życiu był zakochany dokładnie trzy razy. Pierwszą miłością była Jagoda z przedszkola numer osiem i była to miłość z wzajemnością. Spodobała mu się, bo już pierwszego dnia nauczyła go wierszyka o babci, który wprawdzie nie spodobał się nikomu w rodzinie, a już babci najmniej, ale dla Seweryna był fascynująco mroczny.

*Po wodzie pływa babcia nieżywa  
I robaczki też pływają  
Babci pięty podgryzają.*

Jagoda kochała go straszliwie, co wyznawała mu niemal każdego dnia, aż w końcu nieco się wystraszył. Miał wtedy dopiero sześć lat, ale wiedział już, że życie jest długie, i słowo „na zawsze” odrobinę go przerażało. Chciał jakoś zareagować, przemienić „na zawsze” w „do poniedziałku”, ale Jagoda zalewała go potokiem słów, w którym pływał nieświadomie przez kilka tygodni. A kiedy znowu złapał równy oddech, poczuł, że ta miłość pachnie jakoś inaczej. Jagoda przeniosła swój brązowy wzrok na nowego kolegę, który miał ojca strażaka, a Sewerynowi nie rzuciła nawet koła ratunkowego. Na szczęście jakoś dopłynął do brzegu porzuconych i z ulgą stwierdził, że czuje się lżej. I że woda sama wypłynęła z płuc, więc żył nadal, w przeciwieństwie do nieżywej babci z pogryzionymi piętami.

Potem przyszła miłość licealna, przerwana brutalnie wyjazdem ukochanej do Szwecji, podtrzymywana jeszcze sztucznie listami i coraz rzadszymi telefonami, aż w końcu ktoś odłączył aparaturę. Śmierć miłosnego pnia mózgu. Naprawdę nie było sensu ciągnąć tego dłużej. Miała na imię Emilia, miała na imię Emilia, miała... I naprawdę nie wiedział, co jeszcze mógłby o niej powiedzieć. Może tylko tyle, że prawie zaliczyli swój pierwszy raz, ale w końcu oboje się wystraszyli, że są nieletni. I że ten seks odcisnie im się piętmem na czole i każdy będzie już wiedział.

Więc pierwszy raz zaliczył znacznie później, a potem jeszcze kolejne, choć wcale nie tak dużo, jak zwykle opowiadają mężczyźni. Studia na chemii skończył w terminie bez przerwy na urlop dziekański i bez miłosnych uniesień. Skupiał się bardziej na elementach genetyki, chemii i recepturze kosmetyków oraz zarządzaniu chemikaliami. Pisał raporty dotyczące właściwości i funkcji składników danego kosmetyku i nie mógł uwierzyć, że tak szybko został inżynierem, a potem wykwalifikowanym nosem w jednej ze znanych firm kosmetycznych. Naprawdę nie miał czasu na miłość.

I wreszcie pojawiła się Momo. Najpierw zamężna, niedostępna i za szkłem. Teraz



rozwiedziona, niedostępna i za szkłem. No dobrze, może szkła już nie było, może roztopiło się na moment jakby ogrzane palnikiem na propan, ale ciągle pozostawała niedostępność, której Seweryn nie potrafił oswoić. Spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, od momentu, kiedy zobaczył ją na schodach, po których bardziej spływała niż schodziła. Wzrok miała wbity w ziemię, zupełnie jakby nie interesowało jej to, co dookoła, ale jemu to wystarczyło, żeby poczuć charakterystyczne tąpnięcie. Zapatrzył się i zatopił. Zapach jej ciała był dokładnie skorelowany z jego zapachem, wiedział więc, że pasują do siebie idealnie. Tylko zupełnie nie pasował mu jej mąż, który pachniał obco, bardziej jak przyjezdny niż domownik. Nic dziwnego, że w końcu wyjechał. Seweryn zamknął oczy.

A jeśli zakochanie jako takie jest tylko tworem wyobraźni? A jeśli to człowiek decyduje, że kocha tę, a nie inną osobę, i żadne chemiczne reakcje organizmu nie mają z tym nic wspólnego?

Eksperyment.

Seweryn poszedł do kawiarni, zamówił zieloną herbatę, którą wymienił na białą, do tego kawałek sernika i zasłonił twarz gazetą. Samotny mężczyzna pochylający się nad sernikiem wygląda głupio, podejrzanie lub przynajmniej jak erotoman. Trzeba sprawiać wrażenie, że się na kogoś czeka, trzeba zerkać na telefon, udając, że to ważne, lub skrobać coś w zeszyt niczym człowiek zapracowany. Nieaktywne siedzenie w kawiarni, zwłaszcza męskie, jest niemęskie. Gazeta to nieco kamufluje. I wolno zerkać.

Kobieta siedząca po prawej mogła być w jego wieku. I mogła mu się spodobać, bo nie było w niej nic, co by go odstraszało. Ciemne włosy do ramion, ciemne oczy, ciemne spojrzenie, jakie mu rzuciła, kiedy podchwyciła jego wzrok. Zaszleścił gazetą, pochylił się nad sernikiem.

A jednak nie. Zupełnie jakby dzielił ich jakiś mur, na który żadne z nich nie chciało się wdrapać, żeby przejść do drugiej osoby i się nią zachwycić. A kobieta po lewej?

Uroda to pojęcie subiektywne. Czy zatem kobieta po lewej była dla Seweryna ładna? Brzydscy ludzie są brzydki na wiele sposobów, ładni są zazwyczaj do siebie podobni. Włosy niedbale spięte w kucyk, policzki zaróżowione od mrozu, który filuternie podszczypywał przechodniów. A ona dopiero co weszła, więc była świeżo uszczypnięta. I usiadła naprzeciwko koleżanki, którą mózg Seweryna odrzucił niemal od razu. Dlaczego? Skrajne natężenie jakiejś cechy lub jej zupełna nieobecność obniża atrakcyjność. A ta kobieta miała tak ogromne usta, że bez problemu pochłonęłaby kubek z grzanym winem, który przed nią stał i drżał z obawy. Wrócił więc do tej pierwszej, z zaróżowionymi policzkami. Była bardziej eteryczna, a usta zachowywały proporcje w stosunku do pozostałej części twarzy. Czy mógłby się w niej zakochać? Podobno za najbardziej atrakcyjne uważa się twarze uniwersalne, które nie mają w sobie nic, co by przyciągało wzrok. A Momo miała piegi. Rozsiane, rozrzucone, rozsypane, wtopione w cerę i zmuszające do ciągłego zerkania.

Stop. Miał nie myśleć o Momo.

Gdyby wybrać trzydzieści dwa zdjęcia pięknych kobiet i nałożyć je na siebie, uzyskałoby się obraz twarzy idealnej, o wiele atrakcyjniejszej niż twarze z poszczególnych zdjęć. Kwintesencję urody. W tej kawiarni nie było trzydziestu dwóch kobiet, ale i tak mózg Seweryna rozpoczął twarzową układankę. Wybrał dwa najładniejsze nosy, ciemny kasztan włosów kobiety po lewej zmieszany z jaśniejszym brązem kelnerki. Mniej wydatną szczękę, mniejszą odległość od ust do podbródka, mocniejszy zarys kości policzkowych. Duże oczy, bursztynowe, z zatopionym światłem. Czy któraś z pań ma piegi?

Zanurzył twarz we własnych dłoniach, rezygnując z gazetowej mistyfikacji. Wszystkie twarze

wokół układały się w jedną.

Momo.

Rudą, miedzianą, piegowatą, owiniętą czernią, bo w czerwieni jeszcze jej przecież nie widział. Zagadka nieświadomej atrakcyjności. Podszept podświadomości: „Z nią chcę być szczęśliwy”. I w przypadku Seweryna, bardziej niż u kogokolwiek innego, cudowne feromony, które roztaczała i których skład chemiczny idealnie pasował do jego nosa. Psychologiczny test „spoczonego podkoszulka” – to zapach determinuje wybór partnera. A Momo pachniała dokładnie tak, jak tego chciał Seweryn. Jej indywidualny zapach tworzony przez system immunologiczny, choć tak delikatny, był rozpoznawalny dzięki idealnie rozwiniętemu zmysłowi węchu. I przyciągał bardziej niż magnes.

– Minęły dwie godziny. Siedzisz nad sernikiem, herbata też niedopita. Na dodatek ludzie skarżą się, że świdrujesz ich wzrokiem. – Przed Sewerynem wyrósł nagle barczysty facet, który do tej pory stał za barem i nalewał piwo.

– Muszę zjeść sernik?

Faceta zatkało.

– Nie, jeśli ci nie smakuje. Gorzej ze świdrowaniem.

Seweryn kiwnął głową na znak, że rozumie, choć nie popiera.

– Wolno mi patrzeć.

– No właśnie nie wiem, czy ci wolno. Ludzie czują się skrępowani. Kontakt wzrokowy podczas rozmowy jest jak najbardziej zrozumiały, ale kiedy facet gapi się na ciebie znad sernika, czujesz, że coś jest nie w porządku. – Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Byłoby lepiej, gdybym zamówił szarlotkę?

– Kurwa.

– Okej, zrozumiałem. Poza tym sernik rzeczywiście dość słaby. Suchy i ma stare rodzyнки.

– Niby jak to wyczułeś?

– Nosem. Rodzyнки powinny być mokre i aromatyczne, a te smakują folią z torebki. Zwietrzałe i suche.

Seweryn podziękował za pięcioprocentową zniżkę za niezjedzony sernik, przeprosił wszystkich spojrzeniem: „Patrzyłem zupełnie bezinteresownie”, zostawił gazetę na stole i wyszedł na ośnieżoną ulicę.

Jednak Momo. Eksperyment się powiódł, choć prawie zakończył oberwaniem sernikiem w twarz. Nie można zakochać się w kimkolwiek. Nie można wmówić sobie, że z tą kobietą będę szczęśliwy, nie można pocałować każdej żaby. Zakochanie to nie decyzja. Brak w nim logicznego wyjaśnienia, brak racjonalizmu. To podszept podświadomości, intuicja, przekonanie, że ta miłość będzie mieć kolor rudy. Aktywacja neuroprzekaźników wobec tej, a nie innej osoby. Nie można tego skatalogować, nie można stworzyć jednego algorytmu zakochania. To się po prostu wydarza.

I Seweryn poszedł w stronę swojego domu, a kiedy zobaczył przez szybę czerwoną Momo, która mrużyła bursztynowe oczy, patrząc na zestaw miniaturowych łyżeczek, zrozumiał, że musi wejść i oznajmić głośno, że ją kocha. I wszedł.

– Łyżeczki?

Momo pokiwała głową.

– Zrobię z nich pierścionki.

– Będą unikatowe.

Prawie się udało.



Rebeka postanowiła zastosować się do znanego powiedzenia i wziąć sprawy w swoje ręce. Nie lubiła wprawdzie wtykać nosa w nie swoje zapachy, cudze buty i obce domy, ale niestety czasem człowiek nie ma innego wyjścia. Zupełnie jakby go ktoś pchał i mówił: „Zrób to, bo inaczej zeżrą cię wyrzuty sumienia”. Rebeka nie lubiła, kiedy ktoś jej narzucał swoją wolę, podpowiadał kolejne kroki, a nawet sugerował rozwiązania. Uważała, że żyje wystarczająco długo, by sama ocenić sytuację. A jednak teraz coś ją pchało w stronę tej kamienicy, która stała za blisko domu Momo. Lenę dopadła zaraz po tym, jak dziewczyna wyszła z klatki.

– Znowu to samo!

Dwie wrony odleciały w popłochu, a śnieg na moment zawiesił opady.

– Jezu, ale mnie pani wystraszyła! Co to samo? – Lena aż stanęła, przerażona nagłym pojawieniem się Rebeki, i musiała wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. Śnieg wpadł jej za kołnierz, co nie było ani przyjemne, ani nastrojowe. Na dodatek będzie musiała się tłumaczyć, choć nie ma pojęcia z czego.

– Kłócili się.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zaczęła tylko wiercić butem dziurę w śniegu, aż w końcu dokopała się do czarnej ziemi i dalej już nie mogła, bo ziemia była zmarznięta. Poprawiła też kaptur, żeby te cholerne śnieżynki nie moczyły jej więcej karku. Zimno. I na dodatek trzeba coś powiedzieć.

– No coś z tym na pewno trzeba zrobić, przyznasz sama.

Lena wzruszyła ramionami.

Niby co?

– Chciałam ci tylko oznajmić, że w razie czego jestem i coś wymyślę. Tylko nie wiem co, bo zasadniczo nie lubię wtrącać się w sprawy, które mnie nie dotyczą. Poza tym nie przepadam za nastolatkami.

– A pani czasami nie uczy w szkole? – spytała złośliwie Lena.

Rebeka prychnęła.

– Właśnie dlatego. W masie jesteście jeszcze gorsi. Próby bycia dorosłym pomnożone przez dziesiątki spoconych ciał są gorsze od oddechu hieny. Na dodatek masz wrażenie, że rozmawiasz z jamochłonem. Nie, nie rozmawiasz. Ty mówisz do jamochłona, którego jedynym zadaniem jest rozdziawianie gęby oraz ziewanie. Ziewanie ma dwie przyczyny – jamochłon jak zwykle jest zmęczony życiem lub chce ci okazać lekceważenie. Na szczęście jestem odporna. Nie daję się szybko wyprowadzić z równowagi, bo to jednak upokarzające wściekać się na jamochłony. Obserwuję i odsiewam złe emocje, żeby nie wybuchnąć.

Rebeka nabrała powietrza, żeby mówić dalej, więc Lena wykorzystwała chwilową przerwę i weszła jej w monolog.

– Czego pani uczy?

– Historii.

– Nie lubię.

– Jasne. Dla was historia to niepotrzebne gadanie o czymś, co już było. A skoro było, to po co wałkować temat. Po co wracać do przeszłości, grzebać w niej, doszukiwać się rzeczy,

na które i tak nikt nie ma już żadnego wpływu. Odgrzewane kotlety pradziejów.

Lena przytaknęła.

– A tymczasem historia, moja panno, uczy nas jednego – jak nie powtarzać starych błędów. Poza tym jest dla wybrańców. Byle kretyn i tak wpadnie w tę samą pułapkę, choćby miał na tacy podane rozwiązania i sugestie, czego unikać. – Rebeka poprawiła czapkę na głowie i klepnęła Lenę w ramię.

– Idę. Jamochłony czekają. Powiem im dzisiaj, że Chrobry wcale się tak nie nazywał.

– Jak to? – zdumiała się Lena.

Rebeka uśmiechnęła się pod nosem.

– A widzisz? Zainteresowałam cię. I musisz teraz iść do szkoły z nieprzyjemnym uczuciem, że Bolesław, który od zawsze był dla ciebie Chrobrym, nazywał się zupełnie inaczej.

Lena pokręciła tylko z niedowierzaniem głową, a potem wskoczyła do tramwaju numer osiem, który dowiózł ją na miejsce na cztery minuty przed rozpoczęciem lekcji matematyki. Kiedy ma historię? Chyba dopiero w czwartek. I jak to w ogóle możliwe, żeby Chrobry nie był Chrobrym? To kim, u diabła?

## Rozdział 19

### SEN NUMER OSIEM

*Patrzę na drzwi i zastanawiam się, jak to się stało, że wcześniej ich nie zauważyłam. Przecież znam swoje mieszkanie. Nie jest duże, nie można się w nim zgubić. Architektonicznie niemożliwe, żeby cokolwiek mogło się za nimi znajdować, bo przecież jest tam tylko pusta przestrzeń. Czy jeśli otworzę drzwi, wypadnę na ulicę?*

*Coś skrobie w podłogę, więc nachylam się i nagle znikam pod deską. Jestem kornikiem. Ktoś chodzi po podłodze, głośno stukają podeszwy. Zerkam przez szczelinę w drewnie. Mężczyzna z dzieckiem na ręku. Chodzi w kółko i patrzy przed siebie. Jego twarz jest bez wyrazu, zamglona, nie ma żadnych rysów, zmarszczek, bruzd. Dziecko wypada mu z rąk, a ja ze strachu zamykam oczy.*

*Wpadam do jakiegoś kartonu. Znowu jest na nim moje imię, znowu widzę fragmenty dzieciństwa. Pokój wspomnień. Kocyk w pieski, robiona na drutach czapeczka z uszami kota. Grzechotka. Biała z czerwoną kulką pośrodku. Książki, książki, czasopisma, znowu książki, zeszyty z pierwszymi wypracowaniami. Wrotki. Kule duńskie. Jakieś kolorowe koraliki, chyba zakładałam je na szprychy od roweru!*

*Tęczowa sprężyna. Potrafiła sama schodzić po schodach. Biorę ją do ręki i wychodzę na klatkę schodową. I wtedy spotykam jakąś starszą panią, która grozi mi palcem i mówi:*

- Ubierz się dziecko ciepłej, za chwilę spadnie śnieg.*
- Jest lato.*
- Jest zima.*

*Patrzę na nią zdumiona, a ona bierze do ręki kredkę, zaczyna zamazywać słońce i rysuje wielkie chmury, z których za chwilę spada śnieg. Znikają zielone drzewa, znika fontanna. Wszystko jest białe, wszystko jest śniegiem, a staruszka puszcza do mnie oko. Na jej rzęsach osiadają drobne śnieżynki. Na nosie widzę kryształki lodu. Nagle jej twarz zaczyna pękać, są w niej czarne dziury, szczeliny, widać świat po drugiej stronie.*

- Jest zima – powtarza.*

*Odwracam się i biegnę przed siebie, jakbym chciała przegonić zimę i znowu dopaść lato, aż wpadam na jakiegoś mężczyznę, który wciska mi do ręki karteczkę z zapisanym na niej adresem.*

- Musisz tam pójść. Masz czas do Wigilii.*
- Ale dokąd? – zerkam na adres. Nie znam go. Nigdy tam nie byłam. Nie wiem nawet, gdzie go szukać.*
- On czeka.*
- Kto? – pytam, choć wiem. I nie wiem. Bo sen zaczyna się ulatniać, bo słyszę inne odgłosy, bo wiem, że pod powieki wciska się normalny dzień i chociaż nie chcę wstawać, to...*

... Kurwa, byłam tam! Ale jazda!

Ciotka Rebeka wydarła sen z Momo, a raczej wydarła samą Momo dalszemu snowi. Ale naprawdę musiała komuś o tym powiedzieć.

– Ten adres – wyszeptła Momo, zaciskając mocno powieki. Jaka to była ulica? Coś na P? A może B? Alfabet zlewa się w kolorowe literki, które tańczą pod jej jeszcze nierozbudzonymi powiekami, by po chwili zniknąć na zawsze.

– Otwórz oczy, bo ja muszę to z siebie wyrzucić. Chciałam obudzić cię w nocy, ale nie mogłam otworzyć drzwi.

Momo spojrzała na nią zdumiona.

– Przecież nie są zamknięte na klucz.

Ciotka wzruszyła ramionami.

– No wiem właśnie. Zupełnie jakby je ktoś przytrzymał od środka.

Sen?

Staruszka z kryształkami lodu na nosie?

Nie ma już w głowie adresu. Karteczka rozpląnęła się wśród hałasu codzienności, wśród dźwięków ekspresu do kawy i ciotkowej gadaniny.

– Może się po prostu zacięły.

Momo narzuciła na siebie czarny sweter, założyła czarne skarpetki i poszła do kuchni. Kawa pachniała kusząco, równie kusząco szeptał ekspres. Coś by zjadła, ale najpierw ciotka... Usiadła przy stole i strzepnęła z siebie resztki senności.

– Co się stało?

Rebeka nabrała powietrza w płuca.

To było jakoś około dwudziestej trzeciej. Chciała już wreszcie zasnąć, bo w tym wieku każda godzina snu mniej odciska się piętnem na kobiecej twarzy. Wygniata ją, posypuje popiołem i dokłada zmarszczek. Rebeka zazwyczaj się tym nie przejmowała, ale lubiła, kiedy rano patrzyła na nią z lustra kobieta, którą znała, a nie wymęczona stara baba z zaczerwienionymi spojówkami. Ale wtedy właśnie zapaliło się światło w kamienicy naprzeciwko i rozpoczął kolejny spektakl z udziałem nienawidzących się rodziców i nastoletniego dziecka, które nie umiało sobie z tym poradzić.

I znowu matka kopnęła ojca, a on chwycił za krzesło.

Rebeka postanowiła ruszyć do ataku, niczym Kara Mustafa w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim w stronę twierdzy Jawaryn, co ostatecznie jednak na niewiele się zdało. Podobnie zresztą jak w przypadku Rebeki.

– Nie ma domofonu – ucieszyła się, stając przed wejściem do kamienicy, co w dzisiejszych czasach rzeczywiście było rzadkością, ale tym razem przynajmniej na coś się przydało.

Pchnęła wielkie drzwi i zastanowiła się, które to może być mieszkanie.

Na pewno drugie piętro, prawa strona.

Wybór był mały, bo na drugim piętrze po prawej stronie znajdowały się tylko jedne drzwi z numerem cztery. Przynajmniej uniknęła kompromitacji w starciu z zaspanymi sąsiadami. Klatka schodowa pachniała wilgocią i nie obiecywała przyjemnych doznań.

Rebeka załomotła niczym barobalistyczna machina miotająca i omal nie wpadła do środka, kiedy drzwi otworzyły się już po pierwszym uderzeniu.

– Jasna cholera, no – zamruczała pod nosem, a potem weszła, korzystając ze zdumionej miny ojca Leny i jego chwilowego zastygnięcia w pozie pytającej.

– Kim pani jest? – zapytał w końcu, chwytając na wszelki wypadek stojący w przedpokoju

parasol.

– I co, zatłuczysz mnie parasolem? Bo żonę zdaje się chciałeś krzesłem!

Do akcji wkroczyły dwie nowe postaci, drobna kobieta, będąca zapewne mamą Leny, oraz sama Lena, zaskoczona nie mniej niż jej rodzice.

– To pani?

– Ty ją znasz? Co to za kobieta? – zdumiał się ojciec.

Rebeka postanowiła uderzyć od razu, zanim ktokolwiek spróbuje usunąć ją z mieszkania. I wygarnęła im, co myśli o takim zachowaniu, co sądzi o tych wiecznych kłótniach, których świadkiem jest ich własne dziecko, o tych wrzaskach, które prawie słycać po drugiej stronie ulicy (to akurat nie była prawda), o tej agresji, od której aż trzeszczą mury, i jeszcze zatupała ze złości nogami, zostawiając w przedpokoju maleńką kałużę.

To resztki śniegu z butów roztopiły się, tworząc na podłodze prawie idealne wodne koło. Wszyscy się w nie na moment zapatrzyli, ale po chwili powróciła świadomość. Podłogą zajmą się później.

Konsternacja, osłupienie, wstrząs i wreszcie jeden wielki zamęt w głowie. Wszystko to dopadło rodziców Leny, którzy na moment przestali się odzywać, choć jeszcze jakiś czas temu wrzeszczeli na siebie przesywająco. Nawet Rebeka poczuła się niekomfortowo w tej dziwnej, zastygłej ciszy.

I wtedy odezwała się Lena.

– Proszę mi wyjaśnić to o Chrobrym.

Rebecę zaplątał się język.

– Teraz?

Dziewczyna skinęła głową.

– Bo mnie to męczy, a potem pani zapomni.

Rebeka śmiesznie wydeła policzki. No, dobrze. Być może rzeczywiście chwilowe zboczenie z głównego tematu dobrze im wszystkim zrobi.

– W kronikach Galla Anonima najczęściej pada określenie Magnus, czyli Wielki. Raz jeden nazwał go Gloriosusem, co z kolei oznacza Wspaniały. Przydomek Chrobry pojawia się tylko raz, w tytule jednego z rozdziałów. Ale historycy udowodnili, że to nie sam Gall tak go nazwał, tylko kopiści, którzy potem przepisywali kroniki. Określenie Chrobry widnieje również w epitafium, ale to z kolei wprowadzono przy renowacji nagrobka i z pewnością nie wymyślił tego Gall. Miana Chrobry nie znał również Wincenty Kadłubek, więc wszystko wskazuje na to, że Bolesław wcale nie był Chrobrym<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Źródło: [ciekawostkihistoryczne.pl](http://ciekawostkihistoryczne.pl) [dostęp: 30.08.2017].

– O czym wy, do diabła, mówicie? – odezwał się w końcu ojciec Leny, a matka usiadła na podłodze. Odruchowo usiadła albo może poczuła dziwną giętkość w nogach, jak to zwykle bywa w sytuacjach, których nie rozumiemy i które są abstrakcyjnie popaprane.

– O Chrobrym. Ale to była dygresja. Wtrącenie. Chwilowe odskoczenie od głównego tematu, którym jest wasze karygodne zachowanie.

– Pani...

– Rebeko – wpadła mu w słowo ciotka. – I nie próbuj mnie zmiękczać, używając mojego imienia, jakbyśmy się znali od dzieciństwa. Jesteś dupkiem. Pana żona również, choć słowo

dupek nie ma swojego odpowiednika w rodzaju żeńskim.

– Jest dupa – odpowiedziała Lena.

– To jednak nie to samo – słusznie zauważyła Rebeka.

– Pani Rebeko – ojciec dziewczyny postanowił mówić dalej. – Nie jestem dupkiem. Tylko aktorem. Moja żona również.

Linearność tej sytuacji była oczywista. Ale nie dla podglądającego, który miał wyłączoną fonię. Rebeka nie mogła wiedzieć, że od kilku dni rodzice Leny powtarzają co wieczór ten sam tekst, ucząc się nowej roli. Nie mogła wiedzieć, że Lena ma rzeczywiście tego serdecznie dosyć, ale nie w kontekście patologicznym, tylko czysto nastoletkowym – znudziło jej się słuchanie tych samych zdań, odtwarzanie tych samych scen, przeżywanie tych samych emocji. Chciała obejrzeć film albo w coś zagrać, a tymczasem rodzice do znudzenia powtarzali rolę. Bo premiera już za chwilę. Oczywiście fajnie jest mieć rodziców aktorów, niefajnie, kiedy muszą ćwiczyć w domu.

– Ale powiedziałaś... – zaczęła Rebeka i nagle urwała.

Bo Lena nigdy nie powiedziała. Nigdy nie potwierdziła, że rodzice się kłócą, a ona cierpi. Słuchała tylko wywodów Rebeki i chyba nawet ani razu nie kiwnęła głową. Patrzyła tylko na nią i chyba nawet nieznacznie się uśmiechała. Ale to nie był uśmiech skrzywdzonego dziecka.

– Czyżbym była idiotką? – spytała samą siebie.

A potem przyjęła od rodziców dziewczyny zaproszenie na spektakl, na jutro, na osiemnąstą. Pójdzie, chociaż nie ma ochoty.

– Kim był Wincenty Kadłubek? – spytała ją szeptem Lena, odprowadzając do drzwi.

– No kurwa! – nie wytrzymała Rebeka. – Dobrze chociaż, że kojarzysz Chrobrego!



Momo zerknęła na zegarek. Galerię otwierała o jedenastej, miała więc sporo czasu, żeby pójść pod adres, który jej się przyśnił. Gdyby go tylko знаła.

Czerwona sukienka leżała przewieszona przez drzwi szafy i odpoczywała po wczorajszym dniu. Momo nie chciała jej budzić, więc znowu wskoczyła w bezpieczną czern i zaplotła długie włosy w warkocz.

I rozplotła.

I nawet jej się spodobały te włosy, niesforne trochę, ni to kręcone, ni proste, pogniecione, a jednak piękne. I nie przeszkadzało jej wcale, kiedy dotknęły twarzy i załaskotały w nos, zaplątały się w szalik i uciekały spod czapki.

Zajrzała do Mili.

– Nie znam tego adresu, ale wiem, że na pewno mi się przyśnił. I wiem, że muszę pójść do tego mieszkania, domu, miejsca, gdziekolwiek, bo wtedy znowu zrobię krok do przodu. I może go spotkam.

– Mężczyznę w zielonym swetrze?

Momo przytaknęła. To niemożliwe, żeby za nim tęskniła, a jednak zaprzętał jej myśli, a jednak chciała go zobaczyć, chociaż polubiła też Seweryna.

Zaraz.

To się wyklucza. Bo jeśli lubi Seweryna, to nie może myśleć o mężczyźnie w zielonym



swetrze, bo to byłoby tak, jakby chciała jednocześnie zjeść naleśnika z dżemem i szpinakiem. Trzeba wybrać.

– Nie lubię tych snów – powiedziała, choć to była nieprawda. Ale pomyślała, że może uda jej się zakłócić rzeczywistość, znieubić sny i przestać śnić. Uwolnić się od nich.

– Bo zakłócają codzienność? – spytała Mila.

Momo wzruszyła ramionami.

– Bo naruszają twoją tożsamość i pewną stałość świata, który cię otacza? – starsza pani nie odpuszczała.

– Jaką stałość? Nic nie jest na zawsze, choć obiecywał to zarówno mój mąż, jak i ojciec mamie, choć tego akurat nie jestem do końca pewna. On chyba nigdy niczego nie obiecywał.

Mila nalała im kawy do kubków.

– Ale coś się zmieniło, prawda?

Momo zastanowiła się.

– Ja się zmieniam. Ale jakoś tak niezależnie ode mnie. Jakby jaszczurka zrzucała skórę, bo stara już się złuszczyła. I nic nie można na to poradzić, bo to proces naturalny. Tylko nie wiem, czy tego chcę.

Mila włożyła bułki do pieca i podkręciła temperaturę.

– Do zmian gotowi są ludzie, którym w dzieciństwie zaaplikowano emocjonalną szczepionkę. Przez to stają się odporni na lęk przed czymś nowym.

Momo zaśmiała się.

– To wszystko jasne. Ja nie dostałam takiej szczepionki. Nie lubię kalejdoskopów. Są dla mnie zbyt szybkie. Nie zdążę przyzwyczaić się do jednego obrazka, a już pojawia się kolejny. Chcesz dalej oglądać czerwone kwiatki z kawałków szkła, ale nie możesz, bo wystarczy mały ruch ręką, żeby pojawiły się niebieskie liście. A potem znowu coś nowego. Ja tak nie chcę. I nie umiem.

– Masz dwadzieścia osiem lat – zauważyła Mila.

– To ma jakieś znaczenie?

– Podobno każdy człowiek ma kilka punktów zwrotnych w swoim życiu. To one zapoczątkowują nowy cykl, nowe ja. Nie można ciągle tkwić w jednym miejscu, nie można siedzieć na tym samym krześle. Ilość dni, które wypełniają nasze życie, stale się zmniejsza, a przecież nie o to chodzi, żeby tylko zrywać kartki z kalendarza. – Mila uśmiechnęła się do naburmuszonej Momo. – Coś ci powiem. Była taka kobieta. Tekla. I był taki mężczyzna. Gaspar. Czekali na siebie prawie czterdzieści lat i zamiast żyć naprawdę, pisali listy. To w nich zaklęli swoje życie, to na kartkach papieru kochali, tęsknili i śnili o sobie.

– To historia z tego Biura, w którym pracowałaś? Spotkali się w końcu? – spytała Momo.

Mila kiwnęła głową.

– Spotkali. Ale tych czterdziestu lat nie dało się już przeżyć na nowo. Nie mogli zatańczyć wstecz, smakować jabłek z sadu, cieszyć się zapachem morza, ogniska, wiatru, nie mogli nawet przypomnieć sobie, jak smakowała oranżada w woreczku. A z tego właśnie składa się życie. Z drobiazgów. Z małych zdarzeń, których doświadczyliśmy, które nas wypełniają i z których każde pozostawia jakieś wspomnienie. Z Wigilii, które nie powinny zlewać się w jedną, z urodzin, które trzeba celebrować, z wakacji, które za każdym razem smakują inaczej.

– Nie jeżdżę na wakacje.

– Dlaczego?

– Boję się wyjazdów. Że się zgubię. Że zapomnę drogę. Że będę musiała zmienić pociąg i się pomylę. Mam dwadzieścia osiem lat. Naprawdę czas na zmiany?

Mila zmarszczyła śmiesznie czoło.

– Podobno poszczególne cykle życia następują po sobie co siedem lat. Ma to jakiś związek z Saturnem i jego pełnym obrotem wokół Słońca, choć oczywiście nie każdy w to wierzy. Osobiście uważam, że każdy moment jest dobry, żeby pójść dalej, bez względu na to, gdzie akurat znajduje się Saturn. A już w szczególności należy ruszać do przodu zimą.

– Zimą? Raczej wiosną?

– Nie polecam. Za dużo stworzeń budzi się wtedy do życia, można się pogubić. Zima jest idealna. Zwłaszcza zima grudniowa. Przedświąteczna. Zamknięta w wazie z barszczem i chaosie choinkowym. Inni szukają prezentów, ty szukasz siebie. Przemykasz między wiatrem, padającym śniegiem i przyprawą do pierników, której zapach powoli nawet mnie zaczyna drażnić. I otwierasz kolejne drzwi. Często jest tak, że w snach pojawiają się konkretne archetypy, pokazujące nam w symboliczny sposób wewnętrzne blokady. Własna uśpiona kobiecość, strach przed drugim człowiekiem, potwory, demony, zagubienie, zawirowania z przeszłości. Czytaj w nich jak w książce.

– Nie wiem, ciągle nie wiem, jak mam to wszystko rozumieć. I co było napisane na tej kartce, ale czuję, że muszę iść do domu mamy. – Momo zerwała się tak gwałtownie, że kubek z kawą upadł na ziemię, na szczęście taktownie nawet się nie wyszczerbił.

Mila spojrzała na nią pytająco.

– Przypomniałaś sobie?

– Nie, ale muszę coś sprawdzić.

## Rozdział 20

### W PAWLACZU

Pati wpatrywała się w ekran komputera i robiła notatki.

*Włosów nie można było, ot tak, włożyć do broszy czy naszyjnika. Ważne było ich odpowiednie przygotowanie. Należało je gotować w wodzie z sodą przez piętnaście minut, następnie posortować według długości i podzielić na pasma liczące dwadzieścia–trzydzieści włosów. Większość elementów biżuterii wymagała długich pasm, na przykład do bransolety potrzebowano przynajmniej pięćdziesięciocentymetrowych pukli. Pasma umieszczano na specjalnej formie, zwykle wykonywanej u miejscowego tokarza. Po zakończeniu opracowywania kształtu, włosy razem z formą gotowano jeszcze przez piętnaście minut, następnie suszono i zdejmowano z formy, dzięki czemu zachowywały nadany kształt. Dopiero wówczas mogły trafić do jubilera i zostać osadzone w klejnocie<sup>2</sup>.*

---

<sup>2</sup> Źródło: [www.funeralia.pl/blog/pamiec-ciala-sztuka-zaloby-sztuka-pamieci-funeralia-epoki-wiktorskiej/](http://www.funeralia.pl/blog/pamiec-ciala-sztuka-zaloby-sztuka-pamieci-funeralia-epoki-wiktorskiej/) [dostęp: 14.09.2017].

– Mamo, chcesz sprzedawać włosy zmarłych? – zdumiała się Momo, zaglądając Pati przez ramię.

Była dziesiąta osiemnaście.

– Nie wiem właśnie, czytam. Tak sobie myślę, że za mało pamiątek mamy po zmarłych. Te wszystkie zdjęcia, biżuteria, to jednak nie to samo. Ostatnio przyszła do mnie jakaś kobieta i powiedziała mi, że chciałaby raz jeszcze usiąść z siostrą do wigilijnego stołu. I tak sobie pomyślałam, że gdyby miała pukiel jej włosów zamknięty w biżuterii, to może byłoby to jakieś wyjście? Ty byś zaprojektowała wisior albo bransoletę, a ja dołożę włosy.

Momo wzdrygnęła się.

– Nie wiem, to brzmi jakoś makabrycznie. Już bardziej podoba mi się pomysł z przerabianiem prochów na diamenty.

Pati uśmiechnęła się.

– Cudne, nie? Pytałam nawet Wincentego, czy nie moglibyśmy tego robić, ale to zdaje się nie jest takie proste. Wprawdzie są to diamenty laboratoryjne, a nie syntetyczne, ale zdaje się, że brak laboratorium właśnie jest największym problemem. Szkoda. Podobno z jednego grama włosów można uzyskać pół grama węgla, co daje w przybliżeniu dwuipółkaratowy diament. Rzeczywiście, noszenie diamentowego serduszka byłoby ciekawsze niż sam pukiel włosów, chociaż sądzę, że również na moje pomysły znalazłabym wielu chętnych. Ludzie chcą się

oswajać ze śmiercią, tak jakby sami się na nią przygotowywali. Oczywiście większość nadal wypiera myśl o niej, ale to się powoli zmienia. A tak przy okazji – czemu tu jesteś? A galeria?

– Mam jeszcze pół godziny. Muszę czegoś poszukać.

Pati uniosła brwi.

– W pawlaczu. – Momo zerknęła w górę na hit dawnych lat, czyli schowek pod sufitem, w którym mieściło się wszystko to, co niepotrzebne, dodatkowe i na „na później”.

– Tam nic nie ma – wzruszyła ramionami mama. – Chociaż sama nie wiem, od wieków nie zaglądałam do tej szafki.

Kocyk w pieski, robiona na drutach czapeczka z uszami kota. Grzechotka. Biała z czerwoną kulką pośrodku. Książki, książki, czasopisma, znowu książki, zeszyty z pierwszymi wypracowaniami. Wrotki. Kule duńskie. Jakies kolorowe koraliki, na szprychy od roweru!

Tęczowa sprężyna.

Sen stał się faktem. Momo z uśmiechem patrzyła na dawne skarby, laleczkę z jarmarku i pomarańczową gumę do skakania. Na jo-jo, pęknięte odrobinę, simpsony do butów (gumowe nakładki z postaciami z filmu), dzięki którym nie trzeba było ich mozolnie wiązać na kokardkę. I na Dunkin Shockys.

– A co to jest? – zdumiała się Pati.

– Takie figurki. Wyglądają wprawdzie jak bezkształtna masa z plastiku, ale wierz mi, wzbudzały wielkie emocje. Były dodatkiem do gumy do żucia, pamiętasz? Wszyscy je zbieraliśmy, a potem się wymienialiśmy.

Mama zamachała rękami w powietrzu.

– Jasne, kojarzę, ale chodziło mi bardziej o to całe pudło. Skąd to się tutaj wzięło?

Momo spojrzała na nią pytająco.

– To nie twoje zbiory?

Mama pokręciła przecząco głową.

– Nie przypominam sobie.

– Tata?

Tata.

Perkoz.

Ale na tej kartce był zapisany inny adres.

Godzina jedenasta dwanaście. I chociaż Momo już dawno powinna być w galerii, wstąpiła jeszcze do tajskiej restauracji, pociągnięta za nos zapachem kokosowym z dodatkiem trawy cytrynowej. Nie chciało jej się jeść, ale kiedy szła ulicami miasta, oprószonego dzisiaj śniegowym cukrem pudrem, z delikatnym minus dwa na termometrze, poczuła aromat wydobywający się z uchylonego okna restauracyjnej kuchni. Ostatnio coraz częściej atakowały ją różne zapachy i coraz nachalniej zalecały, żeby je poznać. A ona odpowiadała im delikatnym skinieniem głowy.

Teraz też przystanąła.

Co jeszcze było na tej liście pięćdziesięciu potraw, które trzeba zjeść przynajmniej raz w życiu?

Tapas.  
Żeberka w miodzie.  
Ośmiornica.  
Krab.  
Paella.  
Chińszczyzna.  
I *thai food* właśnie.

Kuchnia tysiąca aromatów, bez ścisłych przepisów, będąca raczej wynikiem wyobraźni kucharza i jego zamiłowania do konkretnych przypraw. Taniec wszystkich smaków – słodkiego, gorzkiego, kwaśnego, umami i słonego.

Momo zanurzyła się w opiekanym tofu podanym na sałatce z pomelo i chili, w tatarze z mlekiem kokosowym, w sajgonkach z mango i świeżymi liśćmi mięty. Kelner był dość zdumiony faktem, że ktoś potrafi tyle zjeść i to w godzinach śniadaniowych, ale Momo zupełnie się tym nie przejmowała. I zrozumiała, dlaczego zdaniem Mili zima była najlepszą porą na zmiany. Bo mimo mrozu topiła gniew, złość i żal. Jak w Andersenowskiej baśni o Kaju i Gerdzie, kiedy znikał lód i znikła zawziętość. Znowu jakiś kawałek jej samej stopniał i dawał nadzieję. Jak wtedy, gdy wypila pierwszą kawę u Mili, gdy założyła czerwoną sukienkę, odważyła się na produkcję recyklingowych choinek, wpuściła Rebeke do swojego pudełkowego mieszkania, zaczęła patrzeć ludziom w oczy, a teraz jadła coś, co wypełniało ją szczęściem, smakowymi kontrastami, egzotycznym zapachem i feerią barw. Coś w niej pękało po to, by coś innego mogło się wydostać na zewnątrz. I dobrze się stało, że otworzyła pudełko z dzieciństwem schowanym w pawlaczu. Wspomnieniami nie wolno żyć, ale można je od czasu do czasu pogłaskać.

Mimo braku emocjonalnej szczepionki Momo czuła, że staje się coraz bardziej odważna. Że chce od życia czegoś więcej niż tylko prostych pudełek, w których upchnęła samą siebie. Że życie toczy się po właściwych torach, nawet jeśli wagonik czasem wypada z szyn.

I tylko jego brakowało. Nawet jeśli nie widziała jego twarzy, nie wiedziała, jakie ma oczy i czy pachnie tak, jakby tego chciała, coś pchało ją w jego ramiona i kazało wierzyć, że jeśli tylko się spotkają, wszystkie elementy układanki wreszcie się do siebie dopasują.



Rebeka ciągle jeszcze wahała się, czy pójść na przedstawienie, czy raczej zostać w domu i udawać, że nigdy nie znalazła się w tej całej sytuacji.

Skompromitowała się, to fakt. Z drugiej jednak strony była jakoś usprawiedliwiona. Chciała dobrze. Chciała ratować dziecko przed gniewem, złością i krzykami, a ponieważ zbliżały się święta, ten uczynek musiałby się liczyć podwójnie jako dobry i właściwy. I bardzo w stylu samarytańskim.

Niestety dostała prztyczka w nos. Tak jakby ktoś wywinął jej niezły dowcip.

Pójść?

Nie pójść.

A może jednak pójść?

Nie, to wstyd.

Dlaczego w sumie nie pójść? Usiądzie, popatrzy, obejrzy te kopniaki raz jeszcze, to krzesło, za które szarpie mąż, i te złe spojrzenia. Zobaczy to, co już widziała wcześniej, tyle że teraz będzie rozumiała, co widzi. I знаła kontekst. A potem ulotni się dyskretnie, jeszcze przed oklaskami i schowa w ciemność wieczoru. Nie wszyscy nadają się na zbawców świata i bardzo dobrze. Ale nikt nie może jej zarzucić, że nie spróbowała.

Pójść?

Poszła. Wzięła bez pytania czarny sweter Momo, bo czerwona sukienka była za ciasna, założyła do tego popielatą spódnicę. Czerwone kozaki plus włosy upięte byle jak. Spódnica była długa, plisowana, i bardzo długo nienoszona. Rebeka spakowała ją zupełnie bez sensu, zanim przeprowadziła się do Momo, a teraz okazuje się, że sens jednak był.

– Może Pati mnie pomaluje?

Nie, musiałyby powiedzieć, dokąd idzie, skąd ma zaproszenie, dlaczego zrobiła z siebie idiotkę i co ją skłoniło, żeby wtrącać się w cudze życie. Poza tym oferta jej siostry niekoniecznie musiała dotyczyć żywych.

– Wiesz, że dawniej malowało się zmarłych, nadając im wygląd „cichej rezygnacji” bądź „chrześcijańskiej nadziei i zadowolenia”? – objaśniała jej kiedyś mama Momo.

Nie o taki makijaż chodziło Rebecce, poza tym musiałyby zamówić wyraz zrezygnowanej idiotki, więc umalowała się sama. Szary cień na powieki, a raczej srebrzysty, żeby oka nie przytłaczać, odrobina tuszu i pomadka wiśniowa.

Fuj.

Czerwona.

Skurwienie starcze.

Wiśniowa jednak.

Włosy należy upiąć nieco wyżej, bo drapią w szyję i będzie myślała, że to komar.

Kolczyki?

No dobrze, można się skusić. Srebrzyste listki, nawet dość ciekawe, choć do zachwycających było im daleko. Nie założy czapki, bo pogniecie sobie włosy i będzie miała na głowie gniazdo drozda.

Rząd trzeci, miejsce dwunaste. Idealnie pośrodku, bardzo dobrze widać scenę i aktorów też, będą jak na wyciągnięcie ręki, chociaż przecież już ich zna, z okna kamienicy. On średniego wzrostu, ona też raczej drobna. Ale wrzeszczeli na siebie niczym wściekłe olbrzymy.

– Rebeka?

Zdumiona podniosła głowę i zobaczyła starszego mężczyznę – nie mógł być dużo starszy od niej, ale i tak uznała go za dziada – który usiadł na miejscu obok niej.

Bardzo krępujące uczucie, kiedy spotykasz kogoś, kto zna twoje imię, a ty nie masz zielonego pojęcia, kim on jest, czy powinnaś go kojarzyć z czasów dzieciństwa, czy nieco późniejszych i czy, nie daj Boże, widział cię również nago. Podstawówka? Szkoła średnia? Nie, to dziad jest, nie mogli chodzić do jednej klasy. Więc może się po prostu bzyknęli.

Kiwnęła głową, próbując zyskać na czasie.

Kim on, u diabła, jest?

– Nie znasz mnie, ale rodzice Lenki powiedzieli mi, że będziesz tu siedziała.

Uff. Jednak ze sobą nie spali. To dobrze, bo to dziad.

Stary dziad.

Wyciągnął rękę i podał Rebecce. Ręka była ciepła, co policzyła mu na plus, bo nie ma nic gorszego niż lodowate albo spocone dłonie, lub choćby takie, których temperaturę trudno

wyczuć. Ręka powinna być jakaś. I najlepiej, jeśli jest ciepła, przyjemna w dotyku i nie trzeba z niej gwałtownie wyrywać swojej.

– Ksawery.

Dobrze, że nie Brajan przez jot. Choć za jego młodości chyba jeszcze nikt nie znał tego imienia. Imię Ksawery też było jakieś dziwne. Zupełnie jakby między „k” i „s” brakowało samogłoski. Kasawery, Kusawery. Tak, to zdecydowanie brzmi lepiej.

Kusawery.

Zachichotała pod nosem, a potem trochę się spięła wewnątrz, kiedy na scenie pojawili się rodzice Leny i odegrali dokładnie to, co kilka razy już widziała. Sztuka o niedopowiedzeniach. O gniewnym dialogu i chmurnych uczuciach. Bardzo oczywiście głęboka i z przesłaniem, szkoda tylko, że Rebeka nie umiała do końca się skupić. Nadal było jej wstyd za własne przedstawienie, które odegrała wczorajszej nocy, poza tym odnosiła dziwne wrażenie, że Kusawery co chwila jej się przygląda.

A przecież nie miała na sobie czerwieni kurwiszona, tylko stonowane odcienie szarości plus czerń, a na ustach spokojną wiśnię.

Stary dziad z głupim imieniem. Może splunąć w jego stronę?

Tymczasem Momo dopuściła do siebie arogancką i zuchwałą myśl, że mogłaby kiedyś spotkać się z ojcem. Oczywiście pod warunkiem, że w końcu by do nich wrócił. Odyseusz cholerny, na wyprawie nie wiadomo dokąd. Ciekawe, czy też się natknął na jakiegoś cyklopa? Myśl o spotkaniu była myślą krótkotrwałą, która pojawiła się w umyśle Momo dosłownie na moment i natychmiast wyparowała, przepędzona oburzeniem samej autorki.

Cóż za absurdalny pomysł?

To nie było tak, że go nienawidziła, że życzyła mu śmierci w bólach lub choćby zwykłej, ot, zawał, możliwy przecież w tym wieku. Po prostu nie chciała go więcej widzieć po tym, jak wyszedł z domu i zapomniał wrócić. Mógł chociaż wysłać kartki z tych różnych miejsc na świecie, w których z pewnością bywał (Hades, wyspa syren, Itaka), ślać pozdrowienia i uściski zamknięte w kilku słowach, które wprawdzie nie mogły zastąpić normalnej obecności, rozmów o niczym i weekendowej jazdy na łyżwach, ale chociaż dawałyby ułudę, że o nich pamięta. Momo oczywiście rozumiała, że czasem trzeba pobiec przed siebie, bez oglądania się wstecz, bez przepraszania tych, którzy zostają, bez tłumaczenia się, skąd ten pęd, ale mimo wszystko nie potrafiła wybaczyć.

Trzynaście lat. Była w wieku chmurnej Leny, którą denerwowali rodzice aktorki i która nudziła się światem i wszystkim dookoła. Była dokładnie w jej wieku, kiedy zostały z mamą same, mocno zaskoczone takim obrotem spraw i chyba z ustami niedomkniętymi ze zdziwienia, że coś takiego im się przytrafiło.

Perkoz roześmiany, z myszkami z białego sera, kolorowy niczym *Coracias caudatus*, wiecznie roztańczony i otoczony wianuszkiem zachwyconych osób. Perkoz z walizką, a może i bez niej, Pati nie chciało się sprawdzać, a Momo było wszystko jedno. Wyszedł, poszedł, odszedł. I nigdy nie przysłał kolorowych kartek, by chociaż w ten sposób odkupić swoją kapitulację przed rodziną, swoją bifurkację emocjonalną, która kazała mu pójść dokładnie tam, gdzie nie było ani Pati, ani Momo.

Fajnie, że zbierał pamiątki po niej, niefajnie, że własna córka też stała się pamiątką zamiast przedmiotem codziennego użytku, którego nie trzeba stawiać na półce z bibelotami.

– Czy tata umarł? – spytała kiedyś mamę.

– Ja już sama nie wiem – powiedziała bezradnie Pati. – Ale chyba nie. Chyba nie można umrzeć niezauważonym przez kogokolwiek. Jest ciało, są ślady, ktoś musiałby coś zobaczyć.

– Czyli po prostu poszedł?

Na to pytanie Pati też nie umiała do końca odpowiedzieć. Odwiedziła kolegów w pracy Perkoza co najmniej cztery razy, aż w końcu zauważyła, że chyba nie chcą jej więcej widzieć. Bo co mogliby jeszcze powiedzieć?

Owszem, przyjaźnili się z nim, owszem, był duszą towarzystwa, ale najwyraźniej znalazł sobie innych kompanów.

– Gdzie on wtedy pojechał?

– Poznał jakichś ludzi z Wybrzeża i obiecał, że zagra z nimi parę koncertów – odpowiadali po raz czwarty.

Wszystko dokładnie przekazała policji, ale Wybrzeże, nawet polskie, było zbyt duże, by wiedziała, gdzie dokładnie go szukać. I Pati w końcu się poddała. Uwierzyła, że Perkoz po prostu odszedł, a ponieważ zawsze był dość roztrzepany, zapomniał powiedzieć, że nie wróci. I jeszcze ta kobieta ze zdjęcia.

– Skurwiel – podsumowała go Rebeka. – Pamiętasz, jak zniknął na miesiąc, kiedy Momo miała sześć lat? Wywalili go wtedy z roboty, ale szybko znalazł inną. I jak się dziwił, że czas tak szybko zleciał. Albo jak się obraził, kiedy go poprosiłaś, żeby kupił pomidory. „Nie miałem w planach zahaczenia o dział warzywny, psujesz mój koncept” – przedrzeźniała niedosłego szwagra. – To nigdy nie był normalny człowiek, tylko jakoś nam wszystkim zamydlił oczy.

Pati przyłapała się na myśli, że wolałaby, aby jej umowny mąż umarł. Byłoby to zdecydowanie mniej bolesne niż porzucenie bez słowa wyjaśnienia. I tragicznie eleganckie. A tak było tylko żałosne.

Kiedy Momo dorosła, zaczęła myśleć podobnie. A potem już jej się nawet nie chciało wspominać ojca, bo wspomnienia powinny być dobre, żeby dodawały energii na kolejne lata życia, a nie odbierały chęć na cokolwiek.



– Może kieliszek wina? – spytał Kusawery, kiedy Rebeka zaplątała się w czasie antraktu w fałdy popielatej spódnicy i prawie upadła, kompromitując się przed innymi. Na szczęście albo może po prostu przez przypadek Kusawery złapał ją w pasie i uratował przed wybiciem jedynek. Rycerskość mimowolna, choć skuteczna.

Oczywiście, że napiła się wina, a nawet połknęła duszkiem dwa razy po dwieście mililitrów i odetchnęła głęboko.

– Skąd się znacie? – spytała po prostu, mając na myśli rodziców Leny.

Na szczęście Kusawery nie był starym dziadem mającym problemy z łapaniem w lot, więc od razu odpowiedział:

– Z teatru właśnie. Pracuję tu jako garderobiany. Fajne słowo, prawda? Praca też. Staroświecka raczej.

Grzyb.

– Brzmi jak przedwojenny lokaj – odpowiedziała Rebeka.



Roześmiał się.

– To prawda. A tymczasem pomagam po prostu w przebierankach, żeby nikt nie wyszedł na scenę bez guzika, z podartym płaszczem albo w za dużych butach. Żeby wziął wszystkie rekwizyty, poprawił rozmazane oko i zapiął rozporek. Żeby się nie potknął o za długą sukienkę i żeby nie strzeliła mu poluzowana gumka w spodniach.

– A dzisiaj?

– A dzisiaj mam wolne.

Rebeka zanurzyła się ponownie w siedzenie numer dwanaście w trzecim rzędzie, starając się nie spoglądać na garderobianego Kusawerego i nie czuć jego obecności, choć jeszcze bardziej starała się nie zasnąć. Dwa razy po dwieście mililitrów białego wina na pusty żołądek w tym wieku to prawie jak wyrok.

– Może mnie pan szczypać co trzy minuty? – poddała się w końcu.

Kusawery spojrzał na nią zdumiony, ale wykonał polecenie, bo trudno odmówić kobiecie, która najwyraźniej wcale nie żartowała.

I Rebeka tylko dzięki temu nie zasnęła, choć sen próbował ją zmusić do zamknięcia powiek. Do odchylenia głowy i zachrapania, mało romantycznego i raczej niestosownego podczas spektaklu.

– Au – mówiła co jakiś czas i kiwała głową, że wszystko jest w porządku. I żeby szczypać dalej.

Więc Kusawery szczypał.

Momo nie czekała na ciotkę. Zjadła kromkę chleba z masłem, posypaną grubą solą i drugą z kryształkami cukru. Smaki dzieciństwa. I jeszcze jedną z samą musztardą. Proste rzeczy są czasem o niebo lepsze niż pularda tańcząca w malinowym sosie.

## Rozdział 21

### SEN NUMER DZIEWIĘĆ

Na początku był tylko Zurwan. Nie istniało rozróżnienie na dobro i zło. Jednak Zurwan postanowił, że będzie miał potomka. Chciał obdarzyć go jak najlepszymi cechami – mądrością, szczęściem, blaskiem. Z tych jasnych, wzniosłych myśli począł w swym wnętrzu Ormuzda.

Lecz w trakcie rozmyślań nad tym, jaki powinien być dziedzic, do myśli Zurwana zakradło się zwątpienie. Pomyślał bowiem o ciemności, gniewie i wszystkich cechach powiązanych ze złem. Te czarne myśli sprawiły, że począł się drugi, niechciany syn Zurwana – Aryman.

Zurwan nie wiedział o tym. Myślał, że jest brzemienny tylko jednym płodem i swemu pierwotnemu obiecał władzę nad całym światem. Pierwszy narodził się Aryman, niechciany i niezaplanowany, po nim dopiero Ormuzd<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> Barbara Augustyn: *Mitologia dawnego Iranu – Ormuzd i Aryman, Amszaspandowie i arcydewy*, [www.szufkada.net/mitologia-dawnego-iranu---ormuzd-i-aryman-amszaspandowie-i-arcydewy/](http://www.szufkada.net/mitologia-dawnego-iranu---ormuzd-i-aryman-amszaspandowie-i-arcydewy/) [dostęp: 14.09.2017].

Siedzę i słucham starej baśni, choć zupełnie nie wiem, jaki może mieć związek ze mną. Spoglądam ukradkiem na starszą kobietę, która stoi pośrodku placu, a wokół niej zbiera się coraz więcej osób. Chcę odejść, ale moje nogi ugrzęzły w błocie.

Znowu to samo.

Nie mogę się ruszyć, a wiem, że powinnam. Zerkam w dół. To nie jest błoto, tylko sos. Schylam się dyskretnie i zanurzam w nim palec. Próbuje. Czekoladowo-wiśniowy. Pyszny, tylko dlaczego mnie przytrzymuje?

Robię maleńki krok w tył, a potem jeszcze jeden i jeszcze.

Starsza pani ciągle na mnie patrzy, więc kiwam przepraszająco głową, że muszę już iść.

– Idź do przodu – mówi nagle.

Nie rozumiem. Jeśli pójde do przodu, będę musiała ją minąć, a ja chcę się wycofać.

– Idź do przodu. Do Wigilii zostało jeszcze trochę czasu.

Podnoszę nogę i robię krok w przód. I kolejny, i jeszcze jeden. Rzeczywiście jest znacznie prościej. Powoli zaczynam czuć grunt pod nogami i po chwili mogę biec. Kiedy mijam starszą panią, ona podaje mi karteczkę zapisaną niebieskim drukiem.

Ten adres... Ten sam adres z ulicą na literę „P”.

Północna. Muszę to zapamiętać, muszę to zapamiętać.

W oddali majaczy zielony sweter, ale mężczyzna, który go nosi, też gdzieś się spieszy. Nie patrzy w moją stronę, nie wie, że jestem kilkadziesiąt metrów za nim. Biegnę w jego stronę, potrącam przechodniów i nagle wyrasta przede mną szklana kula, która nie chce mnie przepuścić. Wskakuję do niej, bo tak będzie najszybciej. Kula już nie jest szklana, jest zorbą,

*ja jestem zorbą, kręcę się w obłądzie i toczę w jego stronę.*

*Poczekaj na mnie! Poczekaj na mnie!*

*Chce mi się płakać. Ale nie zrobię tego w miejscu publicznym, nie pokażę smutku i nie będę prosić o pomoc.*

*Nie możesz na mnie poczekać?*

Momo spogląda na niewielką strużkę kawy, która spływa do białej filiżanki. Ciotka Rebeka śpi w najlepsze na kanapie, a nawet pochrapuje zdrowo. Momo pochyliła się nad nią, zamachała jej przed nosem dłonią, a potem delikatnie klasnęła. Rebeka spała jednak dalej, więc Momo odważyła się włączyć ekspres.

Zamyśliła się.

Co jeszcze musi zrobić, żeby posunąć się dalej? Ten sen... To nie było jej miasto, inaczej by je rozpoznała. Te wąskie uliczki, te okiennice, ta czerwień cegieł. I mosty. Wszędzie były jakieś mosty. Po co jej te sny? Miła mówi, że śnimy, aby pamiętać, kim jesteśmy i kim byliśmy. I kim możemy się stać, jeśli tylko pozwolimy sobie na szczerłość. Śnimy, żeby zobaczyć różne warianty własnego życia. Żeby przekonać się, co może nas spotkać lub kogo możemy poznać. Ale to przecież niemożliwe, by wyśnić sobie drugiego człowieka. By stworzyć go z sennych marzeń, utkać z własnych pragnień i narysować fikcyjnymi kredkami. On musi istnieć. Musi gdzieś być, tylko trzeba tam dotrzeć. Sny to fragmenty naszego życia, rozrzucone, pomieszane, poplątane, zwichrzone.

Tylko po co?

– Pewnie żeby ułożyć je za każdym razem inaczej. – Rebeka ziewnęła.

– Mówiłam na głos? – zdziwiła się Momo.

– No, inaczej trudno byłoby mi wstrzelić się z odpowiedzią. – Ciotka puściła do niej oko.

– Jak to ułożyć inaczej?

Rebeka przeciągnęła się, odrzuciła kołdrę na bok i wyprostowała plecy.

– Podaj mi kawę – wyciągnęła rękę. – Pamiętasz swoje pierwsze klocki? Takie drewniane sześcioboki, które na każdej ścianie miały inny obrazek. Sześć możliwości ułożenia. Z życiem jest podobnie. W zależności od tego, co zrobisz, w którą stronę pójdziesz i z kim wylądujesz w łóżku, zobaczysz zupełnie inny widoczek. I zupełnie różne gołe męskie dupy. Choć ty chyba nie widziałaś ich zbyt wiele. – Ziewnęła ponownie.

Momo roześmiała się, mimo że to była prawda.

– Słyszałaś o Arymanie i Ormuzdzie? Śniło mi się, że ktoś mi o nich opowiadał, ale nie mam pojęcia dlaczego. I kim są.

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Pewnie. To wprawdzie nie moja bajka i historia dość odległa, jeśli w ogóle prawdziwa, ale słyszałam. Bohaterowie irańskiego mitu. Para symbolizująca dualistyczną wizję świata.

– Yin i yang?

– No, coś w tym stylu. Wszystko, co dobre, posiada swój negatywny odpowiednik. W każdym „złe” szukaj dobra i odwrotnie. Nic nie jest tylko czarne lub białe, nawet twoja garderoba odrobinę się zmieniała za sprawą czerwonej sukienki. Swoją drogą nie weszłam w nią wczoraj. Utknęłam w okolicach bioder, co mocno mną wstrząsnęło. Zatrzymać się na dupie, też coś.

– Właśnie – ożywiła się Momo – a gdzie ty właściwie byłaś?

– W teatrze. Rodzice Leny mnie zaprosili, żeby już ostatecznie mi udowodnić, że postradałam

zmysły i że naprawdę ćwiczyli role. Ale powiem ci, że nie było najgorzej, chociaż nie wiem, po jaką cholere nasłali na mnie Kusawerego.

Momo z wrażenia nie zadała żadnego pytania, ale jej wzrok i chwilowe zamarcie całkowicie Rebecę wystarczyły.

– Kusawery jest garderobianym, ale wczoraj miał wolne i siedział koło mnie – wyjaśniła spokojnie.

– Kuuusawery? – spytała Momo, przeciągając głoskę i unosząc ze zdumienia brwi.

– Tak naprawdę Ksawery, ale bardzo drażni mnie to imię. Niedokończone jakieś. Zlepka dwóch początkowych liter zdecydowanie mi nie pasuje. Więc dodałam „u”. A wracając do twojego snu, to ma on wyjątkowo proste przesłanie. Dobro i zło warunkują rozwój i ciągłość świata, tak było zawsze i będzie. Śmierć i narodziny. Zniszczenie i odrodzenie. Rozstanie i spotkanie. Pies i kot. Swoją drogą widziałam u ciebie sennik. Zapomnij. Sen jest powiązany ze swoim autorem, a nie autorem sennika.

„To samo mówiła Mila” – pomyślała Momo.

– Idę do szkoły. – Ciotka zerwała się nagle. – Co prawda trochę kręci mi się w głowie, bo za dużo wczoraj wypiałam, ale nie powinnam już raczej mieć we krwi żadnych promili. Zresztą w szkole nie każą mi dmuchać w alkomat.

– Piłaś w teatrze?

– Sączyłam białe wino. Ale może zbyt szybko i w zbyt dużych ilościach. Byłam zestresowana, na dodatek Kusawery odrobinę mnie denerwował. – Rebeka raz jeszcze się przeciągnęła, łyknęła zimnej kawy i ruszyła w stronę łazienki.

– Będę brała prysznic, ale jak chcesz siku, to się nie krępuj. Wszystkie kobiety sikają podobnie.

Ksawery tymczasem, któremu Rebeka dodała przeciągłe „u”, również się już obudził i z uśmiechem wspominał dziwną kobietę, którą musiał szczypać dokładnie co trzy minuty i która na pytanie, czy miałaby ochotę się gdzieś z nim jeszcze wybrać, odparła stanowczo:

– Owszem. Na prastarą terapię jajem oraz konchowanie uszu.



W galerii Momo przyłapała się na zdublowanym myśleniu. Po pierwsze, głowę zaprzętał jej mężczyzna w zielonym swetrze, którego w żaden sposób nie umiała połączyć z irańskim mitem o Arymanie i Ormuzdzie, a po drugie, chciała zobaczyć Seweryna i raz jeszcze podziękować mu za pomoc w okiełznaniu dwóch wściekłych klientek. Mogła to oczywiście zrobić tej nocy, kiedy przyszedł zwabiony hukiem mordowania komarów, ale chyba była na to zbyt śpiąca. Poza tym, to nie tak.

Trzeba wybrać jedną myśl, uczepić się jej, polecieć z nią i cieszyć się, że to był właśnie ten wybór. Jaki jest sens śnić i jednocześnie myśleć o kimś innym?

Momo spojrzała na zieloną choinkę zamkniętą w szklanym pojemniku. Czekającą na niego.

Na kogo właśnie?

– Dzień dobry – z myśli wyrwał ją nieco przepłoszony głos mężczyzny tak bardzo szczupłego, że płaszcz na nim wisiał, choć na pierwszy rzut oka widać było, że jest skrojony wyjątkowo

wąsko. Płaszcz oczywiście. – Siostra mnie do pani przysłała. Była u pani jakiś czas temu, spodobał jej się naszyjnik z guzików, ale nie miała odwagi go kupić. Ja odwagę mam. – Dumnie wypiął kogucią pierś.

Rzeczywiście był specyficzny. Wysoki, chudy jak tyczka. Włosy miał zaczesane w kucyk i wygolone po bokach. Bródkę kozią, choć nie siwą. Palce długie albo jeszcze dłuższe. Nienaturalne. Nieludzkie. Falowały, kiedy dotykał poszczególnych przedmiotów. I widać było, że rzeczywiście wszystko mu się tu podoba.

– Wie pani, jestem tak dziwny, że lubię tylko dziwne rzeczy. To naturalne z pewnością, choć dla większości dziwne.

Momo się uśmiechnęła. I wyprostowała w czerwonej sukience, na którą znowu miała dziś ochotę, podobnie jak na rozpuszczone włosy, łaskoczące odrobinę.

– Miedziane są, prawda? – zauważył od razu.

Skinęła głową.

– Czy to jest podkładka pod kubek?

Znowu przytaknęła.

– Niesamowite. Sklejone kapsle po piwie. Tak po prostu. Niezwykłe, naprawdę niezwykłe.

– Mam jeszcze paterę z kapsli. – Podała mu srebrzystą miskę.

– A to? – Wskazał ręką na rower stojący pod ścianą, do którego przymocowany był kamienny zlew.

– To część wyposażenia łazienki. Umywalka, tyle że zamiast na tradycyjnej szafce stoi na rowerze. Po prawej stronie, tam gdzie kierownica, jest nawet koszyk na ręczniki.

– Pani ma w głowie chaos.

Roześmiała się. Nie, raczej nie. Ktoś uporządkowany i pudełkowy ma w głowie same szufladki, opisane i ponumerowane. Nie może wpuścić chaosu, bo to burzyłoby jego stabilność. Czy Momo była stabilna? A te sny? Czy jej senny umysł również był stabilny? Przecież dopuszczał paradoks. Absurd. Metafory. Nie potrzebował faktów, kreował zupełnie inną rzeczywistość, którą ona musiała nauczyć się odczytywać.

To Perkoz miał w głowie chaos.

To Perkoz był chaosem.

A ona jest zupełnie inna.



Fascynacja śmiercią zaczęła się u Pati dość wcześnie. Zawinił chomik, który zmarł śmiercią gwałtowną i chyba zbyt wczesną. Miał żyć co najmniej dwa lata, żył zaledwie siedem miesięcy. Pati zupełnie nie rozumiała, dlaczego pewnego dnia tak po prostu się obudziła, wstała i umyła zęby, a chomik leżał sztywny obok swojego domku i zupełnie nic nie było w stanie go rozruszać.

– Umarł. – Mama Pati chciała ją przytulić i pocieszyć o poranku tej tragicznej środy, ale jej córka miała co innego w głowie. Chciała wiedzieć, co jest dalej. Futerko, pyszczek, łapki i wąsiki są tutaj. W klatce. A gdzie jest życie, które związało z chomiczego ciała?

I chociaż na to pytanie Pati ciągle jeszcze nie znalazła odpowiedzi, śmierć mocno ją zaintrygowała. A potem przeczytała książkę o egipskich metodach balsamowania ciała, o depilacji, pachnidłach, malowaniu ochrą i henną, i już wiedziała, jak będzie wyglądać jej

przyszłość. Kiedy przyszła do zakładu pogrzebowego, który wtedy prowadził jeszcze sam Wincenty, od razu zaproponowała mu usługi z zakresu tanatokosmetologii i zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dokładnie wyjaśniła mu, co chciałyby robić.

– Malować zmarłych? – Wzdrygnął się na wszelki wypadek. – Czym?

– Kosmetykami. Ale nie takimi z drogerii, tylko specjalnymi. Nietermogenicznymi, z formaliną. Wszystko mam w małym paluszku, wiem też, skąd je ściągnąć. Nie są tanie, ale proszę mi wierzyć, opłaci się, a my będziemy mieli bardzo dużo klientów.

– Zmarłych?

– No to też, chociaż oni nie zrobią przelewu. Ale ich rodziny będą zachwycone. Będę też robić fryzury, malować paznokcie. Ubierać. Przygotuję naszych klientów tak, że sama śmierć się zdziwi.

Wincenty zaryzykował, a potem każdego dnia dziękował samemu sobie, że nie uległ pokusie odmowy. Pati naprawdę wiedziała, co robi, i nie minęło kilka miesięcy, a ich zakład stał się jednym z najpopularniejszych w mieście. Trzy lata później została współniczką.

A teraz stała przed kobietą leżącą na stole i nie mogła ruszyć się z miejsca.

– Jej rodzina była dzisiaj rano. Prosili, żeby ją jakoś „naprawić”, zresztą sama widzisz. Paskudny wypadek samochodowy. – Wincenty szybko odwrócił wzrok. – Podobno lubiła niebieski kolor.

– Wiem – przerwała mu Pati.

Wincenty spojrział na nią zdumiony.

– Jak to wiesz? Znasz ją?

Pati nie odpowiedziała.

Kobieta na stole mogła mieć jakieś czterdzieści lat. Może trochę więcej. Była mocno poturbowana, ale na szczęście twarz nie została uszkodzona. Rozcięty łuk brwiowy, opuchnięte usta. Gęste, złociste loki i długie rzęsy, które tym razem nie były pomalowane na kolor niebieski.

*Dla K. Za wszystko.*

## Rozdział 22

### MATYLDA

Ksawery był wdowcem.

To dość istotna informacja, ponieważ Ksawery postanowił zaplatać się nieco dłużej w życie Rebeki, nie mając wprawdzie żadnego planu, za to ogromną ochotę na dalsze spotkania. Od śmierci jego żony minęło już osiem lat i chyba można uznać, że zaliczył żałobę. Zresztą ciągle trochę tęsknił za swoją Jadzią, bo chociaż była mała i złośliwa, to jednak umiała go rozbawić.

A kobieta, która ma poczucie humoru, jest o wiele więcej warta niż perła ukręcona w małży. Jadzia dysponowała wachlarzem emocji. Dąsy i grymasy, a potem figlarność wymieszana z absurdalnym dowcipem. Rebeka bardzo ją przypominała, choć tylko w swojej słownej frywolności. Poza tym była wysoka, postawna i malowała usta szminką w kolorze wiśniowym, co bardzo mu się spodobało.

No i ta prastara terapia jajem! Ktoś, kto wpada na taki pomysł, ma w sobie trzpiotowatość, bez względu na metrykę.

I dlatego Ksawery odwiesił żałobę na hak, decydując się na odważny krok w życie. Nie jest łatwo zaczynać wszystko od nowa, z drugiej jednak strony – jeszcze gorzej jest dreptać w miejscu. Zadanie miał nieco ułatwione, bo trzynastoletnia Lena od razu wszystko mu wyśpiewała.

– Ona mówi, że Chrobry nie był Chrobrym. I strasznie klnie.

Ksawery uśmiechnął się szeroko.

Kobieta z przekleństwem na ustach czasem smakuje bardzo wytrawnie. Postanowił zatem odwiedzić Rebeke, a nawet ją zaskoczyć, bo tylko wtedy miał szansę na to, że nie odmówi mu spotkania. Poza tym nie wyglądała na osobę, która umawia się na randki, spotyka w kawiarni i płoni na widok przyniesionego kwiatka. Którą można zmiękczyć pudełkiem czekoladek, nawet tych najbardziej wyrafinowanych.

– Jak chcesz, to sam zobacz, gdzie mieszka – powiedziała Lena i zaprowadziła Ksawerego do swojego pokoju. Był już wieczór, ulice mościły się w aksamitnym graficie, a w kamienicy naprzeciwko wszystko widać było jak na dłoni.

Rebeke również.

Najpierw uważnie obchodziła pokój, obserwując dokładnie ściany i od czasu do czasu machając rękami. Spoglądała też na sufit i znowu machała. Ksawery nie wiedział, czy to jakiś rytuał przed pójściem spać, czy nowoczesna gimnastyka rozciągająca, ale z zaciekawieniem obserwował dalej. Następnie Rebeka przemieściła się w stronę kuchni i otworzyła lodówkę. Zajrzała do środka, a potem pokręciła głową i wyjęła jakiś słoik. Wsadziła do niego palce, spróbowała, a potem wsadziła raz jeszcze i widać było, że wyjątkowo jej to coś smakuje.

Oblizła się z apetytem i znowu zanurkowała w lodówce, tym razem jednak na nieco dłużej. Może coś wyjadała? Po chwili zamknęła drzwiczki, podskoczyła kilka razy i nagle podniosła głowę, by spojrzeć prosto w oczy patrzącego na nią Ksawerego.

Po trzech sekundach, których jej mózg potrzebował, by przetworzyć zobaczony obraz, Rebeka wrzasnęła na całe gardło, a potem gestem wskazała, że czeka na dole. Ksawery stanął na baczność, spojrzawszy przerażony na Lenę, która tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Chciałeś, masz. Idź teraz i się tłumacz. Aha, i nie zwalaj wszystkiego na mnie. Jesteś dorosły, wiesz, co robisz.

Kilka minut później Rebeka i Ksawery stali naprzeciwko siebie pod drzwiami kamienicy, w której tymczasowo mieszkała, i dyskutowali zawzięcie, choć właściwie mówiła głównie Rebeka. Ulica przysłuchiwała im się z zainteresowaniem, niektórzy przechodnie również, choć natychmiast pochylali głowy pod agresywnym spojrzeniem kobiety w szlafroku i narzuconym na niego ciemnym płaszczu.

– Jest pan dupa, nie szpieg. A w zasadzie przejdę od razu na „ty”, będzie mi łatwiej. Jesteś dupa wołowa. Na dodatek stara. Gdybyś chociaż miał w sobie urok Sidneya Reilly’ego, o którym nigdy nie słyszałeś...

– Brytyjski szpieg, podobno miał kilka żon w różnych krajach i chętnie romansował z wdowami po znanych politykach – wszedł jej w słowo Ksawery.

– ... albo chociaż tajemniczość Richarda Sorge’a...

– Zdradził informacje o ataku na Pearl Harbor...

– Ej! – zreflektowała się Rebeka. – Przerywasz mi, na dodatek masz pojęcie, o czym mówisz. Niby skąd? Myślałam, że jesteś garderobianym.

Ksawery spojrzawszy na nią zdumiony.

– Co ma jedno wspólnego z drugim? Interesuję się historią, mam sporo czasu na czytanie, poza tym pracuję też przy sztukach historycznych. I żeby się lepiej przygotować, uzupełniam wiedzę.

– Niebawem – mruknęła Rebeka. – A czemu mnie podglądałeś? I nie zwalaj na dziecko, bo tak najprościej.

– Nie mam zamiaru. Po prostu chciałem cię raz jeszcze zobaczyć i ewentualnie zaprosić na sesję prastarej terapii jajem, o której wspominałaś, choć najbliższy termin znalazłem dopiero w styczniu.

Rebekę zatkało na moment.

Jaką terapię?

Jakim jajem?

Nie mogła się wtedy w teatrze aż tak upić, żeby proponować obcemu dziadowi, staremu dziadowi, jajeczną randkę.

Komórka zadzwoniła wyzwajająco. Przerwała rozmowę, odłożyła ją na czas późniejszy i pozwoliła nabrać dystansu.

– Co tam? – spytała Rebeka, widząc na wyświetlaczu imię siostry.

– Przyjeżdż.

Rebeka rozłączyła się, bo w głosie Pati było coś, co nie pozwalało brnąć w jakiegokolwiek dalsze pytania. Wsadziła telefon do kieszeni i owinęła się ciasniej płaszczem.

– Umiesz łąpać taksówki jak w Nowym Jorku? – spytała Ksawerego.

– Umiem. Ale mam własny samochód. Podwieźć cię?

Rebeka uznała, że odmowa byłaby niepotrzebną kokieterią, przereklamowanym podrywem



na niedostępność.

– Dobra, jedziemy.

– Masz chyba na sobie szlafrok. Pod spodem.

– No i? Nie jadę na pokaz sukni ślubnych ani na przyjęcie do pałacu prezydenckiego. Poza tym, jak słusznie zauważyłeś, szlafrok jest pod spodem. A na wierzchu płaszcz. Mieszczę się zatem w normach dobrego smaku oraz nie podpadam pod status pacjenta obłąkanego.

– Dokąd cię zatem zawieźć?

– Do zakładu pogrzebowego.

Ksawery zrozumiał, że są momenty, w których należy zamilknąć.



Pati siedziała w swoim biurze i czekała na siostrę. Miała kleiste myśli i kleiste było powietrze, którym oddychała. Było już późno, ale nie miała siły wstać i pojechać do domu. Musiała z kimś porozmawiać, a siostra przecież była wtajemniczona.

– Pokażę ci kogoś, dobrze? – spytała od razu, zanim Rebeka zdążyła o cokolwiek zapytać.

– Ale trupa?

– Trupa.

Rebeka przełknęła ślinę. Ksawery czekał w samochodzie i w tej chwili pożałowała, że go tu nie ma. Bo to on mógłby zamiast niej pójść obejrzeć ciało i ewentualnie potem jej opowiedzieć. Tyle że Pati potrzebowała właśnie jej. Kordialna miłość siostrzana, szkoda, że wśród umarłaków.

Rebeka odważnie spojrzała.

– O, kurwus! – zawołała tylko.

Kobieta z niebieskimi rzęsami, które wprawdzie teraz były czarne, od razu stanęła jej przed oczami jak żywa. Co prawda aktualnie nie żyła, ale piętnaście lat temu jak najbardziej i to nie tylko gdzieś tam obok, lecz blisko Perkoza. Kiedy Pati pokazała jej zdjęcie, które znalazła w rzeczach ojca Momo, Rebeka tylko wzruszyła ramionami.

Ale to było wzruszenie mylące. Sofistyczne i nawet trochę manipulatorskie, choć Pati oczywiście niczego nie zauważyła. Rebeka spotkała tę kobietę dużo wcześniej, przyklejoną do ramienia Perkoza, kilkanaście lat młodszą, w krótkiej spódniczce, z opalonymi nogami i uśmiechem, który teraz zastygł na zawsze. Nie wspomniała o tym młodszej siostrze, bo zupełnie nie wiedziała jak. Poszła tylko do Perkoza, kiedy był sam w domu, obrzuciła go garścią przekleństw, ale on tylko wzruszył ramionami i oznajmił:

– To nikt taki. Znajoma.

– Taka do ciebie przyklejona?

Uśmiechnął się.

– Jestem lepem, ale nieszkodliwym. Ludzie lubią się do mnie przytulać, ja przytulam się do innych. To rodzaj terapii, bez żadnych podtekstów.

Rebeka patrzyła na niego z coraz większą niechęcią. Mieszkanie Pati patrzyło wraz z nią. Zegar odmierzał czas, sztucce pobrzękiwały w szufladzie za każdym razem, kiedy za oknem przejeżdżał tramwaj. Było coś nierealnego w tej rozmowie pozbawionej emocji. Rebeka chciała krzyknąć, ale Perkoz dusił ten krzyk w zarodku. A powinni na siebie wrzeszczeć, żeby oczyścić

atmosferę i wszystko dokładnie wyjaśnić. Perkoz miał to gdzieś.

– Nie robię nikomu krzywdy. Jestem z Pati, jestem z Momo, ale czasem bywam gdzie indziej. To mój sposób na kontemplowanie rzeczywistości.

Rebeka nabrała powietrza.

– Tylko dlaczego kontemplujesz ją z kimś, kto ma niebieskie rzęsy?

– Nie tylko. Czasem są to rzęsy niebieskie, czasem zwykłe czarne, a czasem w ogóle nie zwracam uwagi na rzęsy. Człowiek potrzebuje do życia wszystkiego po trochu, a nie tylko rodziny pachnącej zupą pomidorową. Więc przytulam, piję, śpiewam, gram i tańczę. Odchodzę i wracam. Bywam, jestem, wpadam, znikam, a teraz znowu mam bilet na pociąg.

– Dokąd?

– Do Pragi.

– Pati wie?

– Nasz związek jest usankcjonowanym duetem ludzi niezależnych.

– Jest usankcjonowanym kłamstwem, przypieczętowanym wyłącznie jednostronnie.

– Pati wybiera zmarłych, ja baluję wśród żywych.

Kiedy zniknął na dobre, Rebeka od razu wiedziała, że uciekł. Ale szukała go wraz z siostrą po szpitalach, a nawet dała ogłoszenie do gazety. Jej nieoficjalny szwagier rozplynął się jednak w powietrzu, a wspomnienia po nim coraz bardziej traciły kolory. Były niczym stary film – czarno-biały, z klatkami zmieniającymi się tak szybko, jak jego życie. Tempo, gonitwa, kołowrotek.

– Co się jej stało? – spytała teraz, patrząc na białą twarz, przetykaną drobnymi zmarszczkami i zastygłymi wspomnieniami.

– Wypadek samochodowy.

– Rozmawiałaś już z rodziną?

– Nie, Wincenty rozmawiał. Ja będę się z nimi widziała jutro. Muszę ją przygotować. Umalować, uczesać, ubrać. Przynosić do innego życia. Część już zrobiłam, zanim przyjechałaś. Zdezynfekowałam. Wprowadziłam do ciała płyny odkażająco-konserwujące i masowałam bardzo dokładnie, żeby rozprowadzić wszystko po układzie krwionośnym – mówiła beznamyślnym tonem Pati. – Umyłam ją i ogoliłam nogi.

– O w mordę, a po co?

– Nie wiem, przeszkadzały mi jej owłosione łydki.

Rebeka przełknęła ślinę.

– Pomóc ci?

Pati wzruszyła ramionami, więc Rebeka po prostu usiadła i patrzyła. Na precyzyjnie nakładany makijaż, tuszowanie rzęs na niebiesko, grube wałki na włosach. Na paznokcie, błękitne, ze srebrnym kwiatkiem pośrodku. Na sukienkę i buty, na wisiołek z topazem.

– Znasz jej imię?

– Matylda. A jutro spróbuję się dowiedzieć, czy kogoś miała. – Pati spojrzała wymownie na Rebekę, a w jej oczach na chwilę pojawił się Perkoz.

Ksawery tymczasem zmarł porządnie w samochodzie, ale ponieważ zmarł na własne życzenie, nie było mu aż tak zimno, jak na to wyglądało.

## Rozdział 23

### SEN NUMER DZIESIĘĆ

*Miriady, tłumy ludzi mijają mnie z każdej strony i nie wiem, jak się od nich uwolnić. Nie lubię wielkich skupisk. Nie lubię, kiedy ktoś atakuje moją przestrzeń. Kiedy podchodzi tak blisko, aż moja sukienka znika, a skóra pachnie obco. Coś chwyta mnie za gardło, w oczy wciska oślizgłe macki.*

*Jestem naga.*

*Naga pośród tych wszystkich osób. Chociaż próbuję się jakoś zasłonić, to już wiem, że mi się nie uda. Że wszyscy widzieli. Zobaczyli i patrzą dalej. Tego się zawsze obawiałam. Publicznego zawstydzenia, zażenowania przed światem. Sukienka była moją tarczą, chroniła mnie przed ludźmi, tworzyła cudowną barierę niedostępności. Ale teraz jest już za późno.*

*Wszyscy mnie widzą.*

*Zapadam się pod ziemię na własne życzenie. Nie lubię ciemności, ale przynajmniej ukrywam własną nagość. Stąpam ostrożnie, przyzwyczajam wzrok do czerni. Ignoruję szepty, zimne oddechy, które czuję na swojej szyi. Dotykam czegoś, co wydaje mi się wprawdzie dość chropowate, ale to nie ma żadnego znaczenia. To coś mogę na siebie założyć, schować się w tym i znowu poczuć bezpiecznie.*

*Mam na sobie zielony sweter.*

*Widzę go bardzo dokładnie, bo jestem na ruchliwej ulicy, stoję w pełnym słońcu, ale nie jest mi gorąco. Sweter jest wełniany, tymczasem ludzie mają na sobie połowę ubrań. Bluzki z krótkim rękawkiem, spodnie z krótkimi nogawkami. Półbuty. Patrzą na mnie ze śmiechem, uśmiechem?*

*Na końcu ulicy stoi mężczyzna w samych spodniach. Ma nagi tors i bose stopy. Macha do mnie, a ja wiem, że powinnam podejść i oddać mu sweter.*

*Nie wiem, co robić.*

*Chcę podbiec, teraz, natychmiast i wreszcie go ujrzeć, ale przecież nie mogę znowu być naga.*

*Odwracam się i uciekam.*

*Biegnę przez lato, doganiam jesień. Mój sweter jest uzasadniony, wkoło spadają liście, jest znacznie chłodniej. Teraz to drzewa są na wpół nagie, z resztką jesiennych kolorów. Ludzie mają na sobie płaszcze, kurtki, wełniane marynarki. Mają buty wysokie, sznurowane, kozaki na obcasach. Znowu jest ich dużo, za dużo jak na miejski park. Ścisk, tłok, armia, magiel. Otaczają mnie. Zaciskają krąg.*

*Duszno mi.*

*Muszę biec dalej. Dogonię zimę, dopadnę Wigilię. Noc cudów, noc spełniania marzeń. Może wtedy, może właśnie wtedy...*

Momo usiadła przy stole w kuchni, jeszcze zanim ciotka wstała (wróciła wczoraj okropnie późno), i rozłożyła na nim sztywną folię po opakowaniach, sznurki i kolorowe kredki.

Była sobota. Grudniowe soboty zazwyczaj nie są leniwe, bo wszyscy stoją w blokach startowych, zwarci i gotowi, ale ta dzisiejsza, przynajmniej o godzinie ósmej rano, nie ruszyła jeszcze do biegu. Miasto było wprawdzie obudzone i galerię też trzeba było otworzyć, ale dopiero o jedenastej. Trzy długie godziny z zaplątaniem w nie pochrapywaniem ciotki i zapachem ze słoika z domowym kremem czekoladowym. Rebeka wyjadła wczoraj połowę, ale to znaczy, że jej smakowało. Tylko orzechy i masło, śmietanka kremówka i dużo gorzkiej czekolady z zatopioną skórką pomarańczową. Momo sama to wszystko utarła, zmiksowała, ukręciła i podgrzała. I przełożyła do słoika, żeby czasem spróbować czekoladowości, o dowolnie wybranych przez siebie porach. Tak jak teraz. O ósmej dwanaście, bez chleba czy nawet maślanego rogalika Mili.

Co ona powiedziała o tym śnie? O tej nagości wstydlivej i swetrze, który ją ukrył?

Momo zaczęła ciąć plastik na nieregularne czworokąty, aż uzyskała całkiem spory stosik. Zrobiła pośrodku każdego z nich dziurkę i przewlekła sznurek. Przezroczysty naszyjnik z trapezów, kwadratów i rombów. Niby niewidzialny, a jednak oryginalnie oddzielający głowę z kawałkiem szyi od reszty ciała.

A teraz kredki. Pocięte na maleńkie kawałki, każdy półcentymetrowy. Nawleczone na drucik. Zupełnie jakby ktoś wysadził w powietrze tęczę, a potem ją pozbierał i ponawlekał kolorowe paciorki. Rysiki wyglądały jak oczka, łypiące wielobarwnymi tęczówkami.

– Ja ci powiem, że ty jesteś coraz lepsza. – Momo aż się wzdrygnęła na dźwięk głosu ciotki, która ziewała jej nad uchem czekoladowym oddechem. Palec był już w słoiku, a potem w ustach, jak mogła nie usłyszeć tego mlaskania wcześniej? – Najpierw powoli, jak żółw, ociężale... – ciągnęła Rebeka. – Ale przyspieszasz. Rozpędzasz się coraz bardziej i to ci pasuje. I policzki masz wreszcie zaróżowione, jakoś tak naturalnie. I włosy rozpuszczone ci nie przeszkadzają. A na stole jest bałagan. Ale muszę ci coś powiedzieć – remont dobiega końca.

– Nie musisz... – wyrwało się Momo.

– Serio? – ucieszyła się ciotka. – Bo mi u ciebie ciepło, poza tym czuję się seksowna ze świadomością, że ktoś mnie podgląda. W moim wieku słowo „seksowność” jest rzadsze niż „mammografia” lub „sztuczne biodro”, dlatego nie dziw się, że tak się nim zachłystuję.

– Jak to podgląda? – zdumiała się Momo. – O ile wiem, to ty podglądałaś rodzinę aktorów.

– Role się odwróciły. Jak to w teatrze. Jestem kobietą podgladaną, co prawda przez starego dziada, ale nie ślepego.

– Kusawery?

Ciotka skinęła potwierdzająco.

– Ten sam. Zna rodzinę zwyrodniałych aktorów i czasem do nich zagląda. A teraz podgląda. Ale nie bój się, nie odzieję się w bieliznianą wulgarność tylko po to, żeby komuś podwyższyć poziom testosteronu. Jak chce, niech patrzy na moje cieliste gacie, odrobinę unoszące pośladki, szlafrok zwykły, seledynowy oraz potargane włosy. Miłość, moja droga, to podnoszenie zwykłości do potęgi nieskończonej. Piękno trzeba dojrzeć nawet w cielistych gaciach, a nie patrzeć na podaną na tacy dupę obleczoną w buduarowy ażur.

– Miłość? – Momo uniosła brwi i nawet się roześmiała, a dźwięk ten odbił się od naszyjnika z kredek, zafarbował się jego kolorami i rozśmieszył również ciotkę.

– Tak tylko powiedziałam. Choć nie wykluczam romansu z tym dziadem. Wygląda na korzennego w swojej urodzie i nie będę ci dokładnie wyjaśniać, co mam na myśli.

Ale Momo i tak wiedziała.

Ksawery, ciągle jeszcze nazywany w myślach przez Rebeke Kusawerym, okazał się w piątkowy wieczór mężczyzną idealnym. Zmarł, ale z godnością, a potem nie spytał o nic, tylko oznajmił, że owszem.

– Zawieziemy moją siostrę do domu – powiedziała Rebeka i tym samym jakoś ich sobie przedstawiła. Pati w ogóle się nie odzywała, bo słowa zaplątały jej się w gardle i zawisły na strunach głosowych.

Ksawery zawiózł pod wskazany adres obie kobiety, a potem wszedł z nimi na górę i usmażył na patelni trzy kromki chleba z wydrążoną w środku dziurą, do której wsypał poszatkowaną cebulę, pokrojone w kostkę szynkę i pomidory, a całość zalał jajkiem. I zapiekł, coś tam mrucząc pod nosem. Podał to wszystko bez słowa, bez słowa też zjedli, a potem położyli siostrę Rebeci do łóżka. Zasnęła bez strachu i łkania, i bez żadnych środków nasennych również. Rebeka uznała, że może ją zostawić do rana, bo Pati bardzo nie lubiła być pilnowana.

– To teraz podwieź mnie do domu – powiedziała, przykrywając siostrę dodatkowym kocem, i Ksawery znowu to zrobił.

Zawiózł i nie zapytał o nic.

I właśnie dlatego miał duże szanse na romans, nawet jeśli był tylko starym dziadem.



Momo doszła do wniosku, że sen przemówił do niej dość jednoznacznie, nie bawiąc się tym razem w żadne metafory. Przekaz był jasny i prosty. Od dziecka nie lubiła tłumów, ścisłości oraz głosu pewnej pani, która przez megafon oznajmiała:

– Wyjątkowo przemiły pan szuka zapewne równie przemiłego dziecka, swojej siedmioletniej córki Momo. Momo, jeśli nas słyszysz, podejź proszę do białej budki z zielonym dachem. Dostaniesz balonik.

Żaden balonik nie był w stanie zagłuszyć strachu, nieokreślonej rozpaczliwej straszliwego rozżalenia, że tata puścił jej rękę i zrobił zbyt wiele kroków do przodu, podczas gdy ona zapatrzyła się na stragan z kolorowymi pierścionkami. Kiedy zorientowała się, że jest sama, stanęła jak zamurowana. Bała się, że wybierze nie tę drogę i jak to zazwyczaj bywa, pójdzie w przeciwnym kierunku. I nigdy, przenigdy się nie spotkają.

Ale tata się odnalazł, przy białej budce z zielonym dachem, w ręku trzymał różowy balonik i z uśmiechem rozmawiał z pewną panią, która również była różowa, przynajmniej gdy patrzyła na ojca.

– O, znalazła się moja królewna! – Perkoz podał Momo balonik, ale zapomniał pogłaskać obolałą ze strachu duszę. Zupełnie jakby nic się nie stało. Zupełnie jakby to rozdzielanie było czymś naturalnym, bo przecież nie zawsze musimy kogoś trzymać za rękę.

– Ej, dąszasz się? Powiem ci wierszyk, chcesz?

Momo nie chciała. Ale Perkoz tego nie zauważył.

– Muszę znowu znaleźć się w jakimś tłumie – mówiła teraz Momo, patrząc z zachwytem

na Milę, owiniętą pomarańczowym, wełnianym szalikiem z doczepionymi do niego, zielonymi listeczkami z filcu. – Czy ty sama to wszystko robisz? Te twoje chusty, szale i narzuty są zjawiskowe. Nigdzie takich nie widziałam.

– Można powiedzieć, że je sobie wymyślam. – Starsza pani puściła do niej oko. – A co do twojego wtopienia się w tłum, spróbuj pójść na jakiś koncert.

– Nigdy – wzdrygnęła się Momo. – Nie znoszę, kiedy ktoś mnie dotyka, ociera się o mnie, choćby zupełnie przypadkowo. Powiem ci, że nawet gdy mam zbyt wielu klientów w galerii, czuję się tak, jakbym połknęła całe jabłko. Coś mnie dusi, gniecie i blokuje oddech.

Piec parsknął znacząco, więc Mila nacisnęła dwa guziczki i uchyliła kłapę. Bułki były okrągłe, z doczepionymi trójkątami, na końcu których znowu było coś okrągłego.

– To Mikołaje – wyjaśniła Mila. – Wigilia coraz bliżej, ludzie coraz bardziej otwierają się na wszelkie wzruszenia i nawet widok bułkowego Mikołaja nastraja ich świątecznie. Muszę tylko polukrować czapki na czerwono, a brody na biało. Ty również powinnaś się otworzyć, ale w zdecydowanie większej przestrzeni niż moja piekarnia.

Momo tylko cicho westchnęła. Łatwo powiedzieć. Zawsze miała większą potrzebę samotności niż otaczania się twarzami, których nie potrafiła zapamiętać. I ciągle miała w głowie ten jarmark, który trzeszczał, mówił, nawoływał, kleił się lodami i watą cukrową, i który schował gdzieś tatę, zupełnie jakby to była jakaś zabawa. Kiedy na wykładach było za dużo ludzi, wychodziła na pusty korytarz tylko po to, by popatrzeć przed siebie, łykając ciszę i brak innego oddechu. To ją uspokajało i pozwalało studiować dalej.

I ona ma pójść na koncert? Otoczyć się obcymi ciałami, pozwolić, by jej oddech wymieszał się z innymi, stracić orientację, bo przecież na takim koncercie ciągle ktoś kogoś popycha, przestawia i już nie wiesz później, gdzie jest wschód, a gdzie południe?

– Weź kogoś ze sobą – poradziła jej Mila.

– Jeszcze gorzej. Będę wtedy skażona wizją rozdzielenia się i nerwowych poszukiwań. Wolę zgubić się sama.

Bułkowe Mikołaje stygły z godnością na kratce do pieczenia, a Mila w tym czasie mieszała lukier.

– Zrób im oczy z orzechów – poradziła Momo.

Ktoś wszedł do piekarni, ktoś zajrzał przez okno i zrobił się mały tłum. Momo skuliła się w sobie.

– Na pewno w grudniu nie ma już żadnych koncertów. – Pomachała Mili na do widzenia i uciekła, zanim matka z dwójką dzieci zabrałoby jej powietrze.

Każdy z nas spotyka w życiu różnych ludzi, niektórzy zostają z nami na dłużej, inni zaplątują się tylko na minutę. Albo jeszcze krócej. Ale to nie znaczy, że takie spotkania nie są ważne i potrzebne. Nawet zwykłe potknięcie się o kogoś drugiego może mieć wpływ na nasze dalsze życie.

Seweryn szedł właśnie do pracy, przeskakując po chodnikowych płytach, i za wszelką cenę starał się nie nadepnąć żadnej linii. Wtedy Momo się z nim umówi. Pokonał nawet pękniętą płytę, choć była dość trudna, porozdzielana w kilku miejscach. Przechodząc na pasach, wybierał tylko te białe, a potem wyzebrał we własnych myślach autobus z numerem parzystym. Im więcej prawidłowo wykonanych zadań, tym większa szansa na powodzenie. Wiedzą o tym już małe dzieci, tylko potem jakoś odruchowo zapominają.

Autobus (numer parzysty) był dość pusty, więc Seweryn usiadł zaraz przy wyjściu i popatrzył przez okno. Do tej pory wygrywał śnieg, ale dzisiaj musiał się poddać. Sześć do pięciu w starciu śniegu z deszczem.

Padało. Mżyło właściwie, mgiełką przyjemną tylko wtedy, gdy jest lato i skóra domaga się ochłodzenia. Mgiełka grudniowa ma w sobie coś perwersyjnie okrutnego. Dotyka twarzy drobnymi igiełkami i blokuje usta. Czasem nie można nic powiedzieć, a czasem mówi się jakieś bzdury. Najbardziej ukryte zakamarki ciała stają się dziwnie wilgotne i człowiek potrzebuje dwóch gorących herbat, by odtajać dla świata.

A ten chłopak grał. Grał na akordeonie i chociaż miał zmarznięte ręce, to spod jego palców wpływała muzyka i wypełniała szczelnie cały autobus o parzystym numerze. Nikt nie protestował, być może dlatego, że była to piękna melodia i w żaden sposób nie szkodziła zmysłom. Kiedy ucichła, Seweryn wycenił ją na całe dwadzieścia złotych i nawet pomyślał, że dałby więcej, ale miał już tylko plastikową kartę.

– Może przyjdiesz na koncert? – Chłopak uśmiechnął się do niego i podał białą kartkę z wymalowanym ręcznie napisem.

## Stara Rzeźnia

16 grudnia

Akordeon, bajan, pajan

I ja

Wtorek.

A potem chłopak wysiadł, by przesiąść się do tramwaju i tam zaczepić kolejnych ludzi swoją muzyką i swoją melodią.

Cztery minuty. Tyle trwało ich pierwsze spotkanie, a jednak wcale nie było oderwane od tego, co miało nastąpić później. Seweryn zacisnął powieki i zaklął rzeczywistość. Jeśli teraz do autobusu wsiądzie osoba płci żeńskiej, to Momo pójdzie z nim na koncert.

Na przystanku czekała kobieta w czarnym płaszczu i czarnych kozakach, z oryginalną torebką z fioletowo-niebieskich filcowych kulek.

## Rozdział 24

### DAMSKI SZALIK

Pati nie dowiedziała się niczego konkretnego, ale i tak czuła, że coś drgnęło. Nie do końca umiała jednak określić co i jak bardzo nią tak wstrząsnęło. Zwłaszcza że rodzina zupełnie nie rozumiała tych wszystkich pytań.

Najpierw jej podziękowali. Matylda wyglądała pięknie, przepięknie, jak z bajki, przepyszenie, padło nawet słowo: „ambrozyjsko”. I była cała niebieska, a taką właśnie ją zapamiętali. Uwielbiała ten kolor. Jak niebo, jak woda, jak bławatki i chabry, jak smerf.

– Czy państwa córka była zamężna? – Pati po prostu musiała zapytać.

Nie.

– Czy miała rodzinę?

Nas.

– Dzieci?

Nie.

– A z kimś się spotykała?

Rodzice Matyldy spojrzeli na nią, ograniczając coraz bardziej dotychczasowy uśmiech. No bo w końcu co to ma do rzeczy? Umalowanie osoby zmarłej nie zaprasza automatycznie do jej świata i nie upoważnia do wchodzenia głębiej, niż tego wymaga wypełnienie fragmentów ciała po wypadku. Pati wywiązała się ze swojego obowiązku profesjonalnie, a teraz ten profesjonalizm sama wrzucała do kosza.

– A piętnaście lat temu? Czy pamiętają państwo kogoś sprzed piętnastu laty, z kim była szczególnie związana, kto był jej drugą połową, z kim mogła gdzieś wyjechać?

– Ja nie rozumiem – przyznała w końcu matka Matyldy. – Czy to są standardowe pytania w zakładzie pogrzebowym? Pani ją pięknie umalowała i zrobiła wszystko, żeby ten wypadek samochodowy nie poszedł za nią do trumny, ale ja naprawdę nie rozumiem. Nie wiem, z kim się spotykała piętnaście lat temu. Była już wtedy dorosła, nie zwierzała nam się jakoś szczególnie. Miała wielu znajomych, przyjaciół, kochanków.

– Mężczyzna. Starszy od niej. Kolorowy, uśmiechnięty. – Pati patrzyła raz na jedno, raz na drugie.

Ojciec Matyldy podniósł rękę, żeby przerwać tę dziwną rozmowę. Żeby uratować tę resztkę przyzwoitości, która jeszcze im została.

– Matylda dużo wyjeżdżała. Śpiewała w zaprzyjaźnionym zespole, podróżowała po świecie. Ale nie będę pani mówił kiedy, z kim i dlaczego. I w którą stronę.

Pati spuściła wzrok.

– A ten wypadek... Była wtedy sama?

Matka zamknęła oczy.



– Nie. Z przyjaciółką. Ale ona przeżyła.

I znowu było można ucześcić się tego zdania, nie stawiać na jego końcu kropki, tylko próbować dopisać ciąg dalszy. Dłuższa rozmowa nie miała sensu, nastrój wdzięczności jakoś przysnął, zachwyty rodziców dla pracy Pati również. W biurze zapachniało oficjalnością, podpisaniem rachunku, sztywnym wyprostowaniem ciał i podaniem ręki na do widzenia. I zapowiedzią, że chyba jednak nie polecą tego zakładu nikomu ze znajomych. Zresztą znajomi nadal żyją i oby tak zostało.

Dobrze, że w tle mruczało radio, wygrywając klasyczne walce wiedeńskie, bo brak dialogu stawał się coraz bardziej wymowny. Pati nie miała prawa o nic więcej pytać, więc w końcu tylko skinęła głową, że dziękuje i raz jeszcze przekazuje wyrazy współczucia. I że Matylda rzeczywiście była zjawiskowa i właśnie ambrozajska również.

Kiedy wyszli, zerknęła w notatnik z zamówieniami.

Kiedy pogrzeb? Jutro o piętnastej.

A zatem jutro o piętnastej tam pójdzie, zaczepi tę przyjaciółkę, która przeżyła, i raz jeszcze zada te same pytania. A może na pogrzeb przyjdzie Perkoz? Pati aż się cofnęła i usiadła odruchowo na samą myśl, że mogłaby go spotkać. Że ten wypadek i niebieska Matylda zwrócą jej męża, nawet jeśli tylko na moment, na skrzyżowanie spojrzeń i jedno pytanie: dlaczego?



Ksawery dobiegał sześćdziesiątki i właśnie dlatego jego życie biegło zupełnie innym tempem niż ludzi młodych. Wydawać by się mogło, że dojrzałość docenia czas, a czas doceniony w nagrodę zwalnia, ale to nieprawda. Im głębiej w życie, tym szybszy bieg, nawet jeśli człowiek już nie nadąza. Z wielu rzeczy trzeba zrezygnować, żeby zdobyć główną nagrodę i móc się nią nacieszyć. Ksawery wypatrzył sobie Rebekę, a kiedy ją zobaczył, od razu zrozumiał, że to na nią czekał. Czasem czekanie trwa kilka miesięcy, czasem rozciąga się do lat. Czasem człowiek sam staje się czekaniem i każdym swoim zmysłem poszukuje kogoś, kogo będzie chciał wziąć pod rękę.

– Czy zjesz ze mną cokolwiek? – spytał Ksawery Rebekę, czekając na nią pod drzwiami kamienicy, bez kwiatów i bez czekoladek. Tak jakby wyczuł, że pewnych banałów nie można zaserwować każdej kobiecie.

Rebeka lubiła dziwne pytania, dziwnych ludzi i w ogóle wszystko, co wymykało się schematom. Kiedy była dzieckiem, w szkole nie używała szablonów, chociaż nauczyciel matematyki zagroził jej kiedyś obniżeniem oceny, jeśli będzie ciągle wyjeżdżała poza linie. A Rebeka to właśnie lubiła najbardziej. Wyjeżdżanie poza linie. Ucieczkę z klatki. Rozrywanie drucianej siatki. W ludziach, którymi się otaczała i których pozwalała sobie lubić, zawsze szukała drobiazgów, które mogłyby ją zafascynować. Nierzucającej się w oczy urody, niezdolności do bycia Rockefellerem, zwykłego odróżniania borowika szlachetnego od szatańskiego, zwijania języka w kwiatek czy też przewlekania nitki nawet przez najmniejsze ucho igły. Rzeczy nieistotne, umiejętności niepotrzebne, ale wyróżniające każdego człowieka, nadające mu odrębność, a nawet fascynującą dysharmonię.

„Czy zjesz ze mną cokolwiek?” było takim właśnie pytaniem. Innym, choć zmierzającym do tego samego celu. Ale ponieważ zadał je mężczyzna w damskim szaliku, nie mogła odmówić.

– Naprawdę istnieje podział na szaliki męskie i damskie? – zdziwił się Ksawery, kiedy zwróciła mu na to uwagę.

– Oficjalnie nie. Ale srebrzysta nitka, układająca się w serca i wyhaftowana na wełnie w kolorze różowym, może dodawać żeńskiego charakteru. To stereotyp, zgadza się, ale jednak na tyle silny, że po prostu musiałam zapytać – wyjaśniła Rebeka.

– To szalik mojej żony – zgodził się Ksawery, a widząc nieznaczne uniesienie brwi kobiety, z którą rozmawiał, dodał błyskawicznie: – Żona nie żyje.

Rebeka pokiwała głową.

– To zdecydowanie ułatwi nam dalsze spotkanie się i zjedzenie czegokolwiek. W przeciwnym razie musiałabym odmówić.

– A zatem zgadzasz się? – ucieszył się szczerze i chyba nawet podskoczył.

Rebeka podskoczyła również, żeby ostatecznie przekonać go, że ma rację. I tak skakali, raz jedno, raz drugie, wywołując konsternację na twarzach przechodniów, którzy żyli w schematach własnych ograniczeń.

– Możesz mnie odprowadzić do szkoły – powiedziała Rebeka, a Ksawery zrobił dokładnie to, na co od dawna miał ochotę.

Chwycił ją pod ramię, jednocześnie ciesząc się, że jest poniedziałek, teatr nieczynny, więc wieczór z Rebeką wydarzy się już dziś i nie trzeba się specjalnie umawiać.

– Mieszkam przy ulicy Północnej – dodał jeszcze, a ona tylko kiwnęła głową, bo również dla niej było oczywiste, że widzą się dzisiaj wieczorem. Kiedy człowiek jest starszy, umawianie się trzeba przyspieszyć, co do tego oboje się zgadzali.

Dzisiaj, ulica Północna siedem, godzina dziewiętnasta i fajnie, że nie trzeba się obawiać utraty cnoty.

Tymczasem Seweryn obawiał się zupełnie czego innego – własnego głosu, kiedy spyta Momo o ten koncert akordeonowy. Swojego zawahania, zaplątania wewnętrznego, źle dobranych słów i wreszcie kompromitacji, kiedy ona odmówi, bo niby dlaczego miałyby się zgodzić. Stał przed jej drzwiami, w krzywo zapiętym płaszczu i nawet to wydawało mu się żenujące. Że tak stoi, patrzy w drewnianą framugę, taksuje wzrokiem ścianę, odnotowuje w myślach odłóżką farbę w lewym rogu, spuszcza oczy, żeby zapatrzeć się w wycieraczkę bez napisu, chropowatą, brązową i trochę zabłoconą. Że czas leci, a on właściwie powinien być już w pracy, ale koncert jest jutro, więc chyba najwyższa pora, żeby w końcu zapytać. Zamknął oczy i przypomniał sobie wakacje, gdzieś w okolicach Łącka, kiedy stanął oko w oko z rysiem i chociaż mówiono mu, że rysie prowadzą raczej nocny tryb życia i unikają ludzi, to ten najwyraźniej był odszczepieńcem. Prychał na dodatek gniewnie i patrzył na Seweryna mało przyjaźnie. A jednak chłopak się nie bał, bo przypomniał sobie, że to rysie boją się ludzi, a prycają tak, tylko żeby postraszyć. Więc również prychnął i zmarszczył nos, a potem po prostu się odwrócił i odszedł. No i ryś zrobił dokładnie to samo. Seweryn miał wtedy jedenaście lat i bał się mniej niż teraz, kiedy dobiegał trzydziestki i miał stanąć oko w oko z kobietą o miedzianych włosach, która robiła choinki z drutu, filcu i piórek oraz łyżkowe naszyjniki.

I która patrzyła na niego właśnie w tym momencie, bez słowa, a on zastanawiał się, jak długo to już trwa. Minutę? Pięć? Czas chichotał uradowany, że wykręcił mu taki numer, i obnażał jego zawstydzenie coraz bardziej intensywnie.

W końcu Momo odezwała się pierwsza.

– I znowu śnieg. Grudniowa zabawa w kółko i krzyżyk. Atmosferyczne szachy. Czy mogę jakoś pomóc?

Seweryn odtajał wreszcie i spytał po prostu, bo co innego mu zostało:

– Pójdziemy razem na koncert? Jutro. Akordeonowy, kameralny, myślę, że również mocno liryczny. Pasujący zarówno do śniegu, jak i deszczu.

Czy mu się wydaje, czy dostrzega subtelny uśmiech? To daje nadzieję, choć często jest tak, że człowiek widzi to, co chce, rozluźnia mięśnie i wtedy dostaje strzał w podbrzusze.

Ale Momo uśmiechnęła się naprawdę. Od pewnego czasu wydawało jej się, że świat nocny i dzienny zaczynają się jakoś dziwnie przenikać, a to przecież był najlepszy dowód, że miała rację. W snach czasem gubiła swoje „ja” po to tylko, by znowu odnaleźć je w rzeczywistości. W snach patrzyła na siebie z boku i zastanawiała się, jak to możliwe, że coś tak ostatecznego i pewnego jak świadomość samej siebie zostaje wystawione na próbę. Domaga się czegoś innego, żąda nowego życia, chce spróbować nieznanych smaków. To już nie była dawna Momo, wypełniona ograniczeniami i zasznurowana dla świata. Pudełka zaczynały się rozklejać, zupełnie jakby ktoś zapełniał je coraz większą ilością rzeczy, na które ciągle było dużo miejsca. Była ciekawa, na co jeszcze pozwoli sobie to jej nowe „ja” i dokąd ją zaprowadzi.

Czy mężczyzna w zielonym swetrze był tylko alegorią tęsknoty? Podświadomość mówiła jej, że w końcu się poznają, zobaczą i zrozumieją bez słów. Że on istnieje naprawdę, tylko coś blokuje do niego dostęp. Sny przypominały jej, że ma czas do Wigilii. Tylko jak w tym wszystkim znaleźć miejsce dla Seweryna?

– Pójdę. Bardzo chętnie.

Poniedziałek zakwitł na klatce schodowej wiosenną radością, błoto na wycieracze już nie było szare, tylko kasztanowe, a odłóżąca ze ścian farba też miała w sobie jakiś urok. Tak dzieje się zawsze, gdy człowieka wypełnia szczęście.

## Rozdział 25

### ULICA PÓŁNOCNA

Rebeka musiała najpierw uporządkować myśli, zanim zdecyduje się powiedzieć Momo, a potem Pati. Albo w odwrotnej kolejności. Albo jeszcze lepiej – obu naraz, bo przecież dotyczy to każdej z nich.

Na początku była pizza, zamówiona wprawdzie, ale naprawdę doskonała. Ksawery, w myślach nadal zwany Kusawerym, zdradził Rebecę nazwę niewielkiej pizzerii, prowadzonej co prawda przez Czecha, ale z jakimś niewiarygodnym, włoskim genem kulinarnym. A potem zamówili pizzę z cebulą i karczochami, a do tego piwo pszeniczne. Rebeka musiała przyznać, że dawno nie jadła czegoś równie doskonałego i bardzo spodobał jej się fakt, że Kusawery nie uwodzi jej kretyńskim tańcem w fartuszkach, udając, że jest kulinarnym akrobatą i czarodziejem podniebienia, kokietującym chochelką i adorującym zestawem ziół prowansalskich. Był facetem, który nie przepadał za gotowaniem, nie robił tego najlepiej, ale znał ludzi, którzy mieli o tym pojęcie.

Pizza z cebulą i karczochami przeniosła ich do Włoch, do Neapolu, a konkretnie do L'Antica Pizzeria da Michele, która ma prawie czternaście tysięcy pozytywnych recenzji na TripAdvisorze, a to już o czymś świadczy. Zresztą Czech twierdził, że podkraść im recepturę na ciasto, choć mówiąc to, puścił oko. Kiedy Rebeka wgrzyzała się w kolejną ćwiartkę swojej czesko-neapolitańskiej porcji, jej wzrok wylądował na jednym ze zdjęć stojących na komodzie.

Nie, nie było to zdjęcie Jadzi.

Komoda miała przyjemny kolor turkusowy, ale też nie o to teraz chodzi.

– O kurwa – powiedziała Rebeka i zupełnie nie przejęła się faktem, że pizza z cebulą i karczochami wylądowała na jej spódniczce, tworząc plamę w kształcie trójkąta.

– Co jest? – zdumiał się Ksawery i omiół wzrokiem komodę. Ładną, turkusową, kupioną w sklepie z meblami z Indii.

Stały na niej zdjęcia z jego życia, historia młodości i wczesnej dojrzałości, pamiątki z wielu stron świata zamknięte w jednym kadrze. Różni ludzie, różne twarze. Czasem morze, czasem góry, jakaś palma, niekiedy zwykłe tło. Fotografii było sporo, nie mógł więc od razu się zorientować, o którą chodzi Rebecę.

A ona właśnie wstała, spuszczając pizzę ze spódniczki na podłogę, i podeszła bliżej. Nie, nie podeszła. Dосkoczyła. Jak puma albo gepard. Sięgnęła po ciemną ramkę i niemal podetknęła ją pod nos Ksaweremu.

– Kto to jest? Kto to, kurwa, jest? – wrzasnęła, trzęsąc się jak przy najgorszej grypie.

– Igor, poznaliśmy się jakiś czas temu...

– To nie jest Igor – przerwała mu Rebeka. – To nie jest Igor!!! To jest mój niedoszły szwagier. Kacper. Perkoz. Kurwa mać.

Ksawery też już nie chciał pizzy, zresztą nie miał większych szans, żeby ją dojeść, bo Rebeka zmusiła go do mówienia. Więc mówił. Mówił, wspominał, opowiadał, pokazał też inne fotki. A ona słuchała z otwartą buzią i kazała sobie znowu wszystko powtórzyć, żeby się upewnić, żeby niczego nie przeoczyć, żeby usłyszeć to raz jeszcze, a potem znowu.

– Gdzie on teraz jest?

Ksawery pokręcił głową.

– Wyjechał jakiś czas temu. Mówił coś o Hiszpanii, Włoszech, ale sam jeszcze dokładnie nie wiedział. Nie dostałem od niego żadnej kartki...

– A telefon? Miał przecież jakiś telefon? Dzisiaj każdy ma telefon, nawet ktoś, kogo na niego nie stać.

– Nie miał.

– Jak to, kurwa, nie miał? To jak się kontaktował z innymi? Gołębiem pocztowym?

Ksawery żałował, że nie może bardziej pomóc.

– Nie miał. Naprawdę. On niewiele miał.

Rebeka usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie miała zielonego pojęcia, co powiedzieć i jak poinformować o tym Pati i Momo.

A Momo dzisiejszej nocy znowu nie śniło się nic.

Usiadła nieco zdumiona na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Czowała się trochę oszukana, bo przecież sny towarzyszyły jej niemal każdej nocy, co więcej – rozmawiały z nią coraz bardziej otwarcie. Obie z Miłą doszły do wniosku, że nie trzeba ich dokładnie rozumieć, wystarczy intuicyjnie reagować. Dlatego właśnie wybierała się na koncert z Sewerynem i chociaż już teraz czuła mrowienie w żołądku na samą myśl, że będzie musiała stawić czoło tłumowi, to wiedziała, że musi. Najważniejsze to trzymać się z sąsiadem blisko siebie, choć oczywiście głupio wziąć go tak po prostu za rękę, zupełnie jakby byli parą.

I dlaczego Rebeka tak strasznie hałasuje?

Momo wstała z łóżka, raz jeszcze westchnęła tęsknie do snu, którego nie było, i poszła do kuchni.

– Pieprzona groteska. Tragikomedia cuchnąca na kilometr gównem pelikana.

Rebeka wycierała niewidzialne kurze nie tylko szmatką, ale i wściekłością, którą kipiała i wylewała się z niej na drewnianą podłogę.

– Co się stało? – zdumiała się Momo.

Ciotka podniosła na chwilę głowę, a potem zaczęła machać rękami i tupać, choć niezbyt intensywnie, bo była boso.

– Wodewil, kurwa. I proszę, nie pytaj mnie na razie o nic więcej, ja to wyjaśnię, ale nie teraz. Teraz muszę napić się kawy, jeść nie będę, bo mi stanie w gardle, i zasuwać do szkoły. Ostatni tydzień przed świętami i wreszcie trochę luzu. Choć nie wydaje mi się, aby ten rok zakończył się spokojnie – dodała jeszcze, a potem niemal duszkiem wypić cały kubek kawy, nie zwracając uwagi na to, że parzy sobie przełyk. – Momo, co robisz dzisiaj wieczorem?

– Idę na koncert.

– Serio? – zdumiała się ciotka. – Sama?

– Nie... – Dziewczyna się zarumieniła, co Rebeka skwitowała tylko znaczącym uniesieniem brwi.

– Czyżby właścicielowi wielorybków na koszulce oraz wybitnemu znawcy komarzego menu

udało się namówić cię na coś więcej niż zwykły dialog? Jestem pod wrażeniem. No nic. Muszę z tobą porozmawiać, ale mogę to zrobić później albo jutro.

– Coś się stało?

– Zawsze coś się dzieje. A najwięcej wtedy, kiedy tego nie chcesz. Idę – rzuciła na do widzenia, wskoczyła w czerwone kozaki i owinęła szyję popielatym szalikiem. Gorąca kawa chlupała jej w żołądku, a nawet bulgotała znacząco, co dało się wyraźnie słyszeć podczas jazdy autobusem.

– Jestem w ciąży – powiedziała Rebeka dobitnie, kiedy kolejna osoba wbiła wzrok w jej gadający brzuch.

Wyraz twarzy podróżujących zlał się w jedno wspólne osłupienie, zupełnie jakby do autobusu wsiadł żuraw w kaloszach.



O godzinie czternastej trzydzieści sześć Pati, ubrana na czarno i nawet w czarnym kapeluszu, który osłaniał większą część jej twarzy, pojawiła się na miejskim cmentarzu, żeby odprowadzić wzrokiem, myślą i białą różą niebieską Matyldę z niebieskimi rzęsami. Nie była zaproszona, ale uznała, że ma prawo tu być, poza tym liczyła na obecność tych wszystkich znajomych, przyjaciół, krewnych i kochanków zmarłej, o których wspominali jej rodzice. Liczyła też na to, że spotka Perkoza, i miała nawet w głowie ułożony plan, że do niego podejdzie i „przyładuje z liścia w tę zakłamaną mordę”, jakby to obrazowo i soczyście powiedziała Rebeka. Którą zresztą też namówiła na pogrzeb Matyldy.

– On nie przyjdzie – oznajmiła stanowczo jej siostra, co zdumiało Pati, bo przecież nie mogła tego wiedzieć na pewno.

– Będziesz wolna o piętnastej? – spytała tylko raz jeszcze, a Rebeka obiecała, że na pewno się zjawi.

Cmentarz powoli zapełniał się ludźmi, którzy zmierzali do niewielkiej kaplicy, ale Pati nie była pewna, czy wolno jej tam wejść. Nie chciała, żeby rodzice Matyldy ją rozpoznali, nie chciała w ogóle przykuwać niczyjej uwagi.

– Chodź, staniemy z tyłu – szepnęła jej do ucha Rebeka, która nagle pojawiła się za jej plecami i mocno chwyciła za ramię. – To jest chyba pogrzeb świecki, co? Nie widzę żadnego księdza, żadnego krzyżyka na trumnie. Przynajmniej nie będą przynudzać.

Pół godziny. Tyle miała Pati, żeby dokładnie obejrzeć od tyłu każdą z przybyłych osób, zlustrować ich głowy, czapki, kapelusze, berety. Przez pierwszych dziesięć minut grała muzyka, szarpana, niespokojna i bardzo nierytmiczna. Ale nikomu to nie przeszkadzało.

– Kakofonia – mruknęła Rebeka. – Mówiłaś, że ona grała w jakimś zespole, pewnie to są te ich dzieła wybitne, choć nieakceptowalne dla mojego ucha. Drażnią mi trąbkę Eustachiusza i parę innych organów również.

– Perkoz też grał taką muzykę – wyszeptała bezbarwnie Pati.

Kolejnych dziesięć minut należało do mistrza ceremonii, który zdecydowanie nie był księdzem, ale wyglądał uroczyście. Miał na sobie ciężką, czarną pelerynę i czarny toczek na głowie. Okulary i wzrok posępny.

– Trochę jak z Harry’ego Pottera – zauważyła Rebeka. – Minister Magii.

Pati uśmiechnęła się, choć bardziej odruchowo.

Nie było go.

Nie było go.

Dlaczego?

– Matyllda odeszła za wcześnie, choć tak naprawdę kto z nas odchodzi w porę? – pytał retorycznie mistrz w todze.

– A jednak niektórzy odchodzą zdecydowanie za późno – mruknęła pod nosem Rebeka. – Inni zaś wcale nie powinni pojawiać się na świecie, no ale niestety nie ja o tym decyduję.

– Nie ma go, wiesz? – Pati spojrzała na nią z bólem.

– Nie ma. I nie przyjdzie. Pati...

– Muszę zapytać tę jej przyjaciółkę – przerwała jej siostra i wskazała brodą na kobietę w drugiej ławce. Blondynka, na oko czterdziestoletnia, z ręką na temblaku. Spłoszona trochę, skrzywiona, jakby ją plecy bolały, i zawstydzona, że udało jej się wyjść z tego wypadku tylko z jednym złamaniem.

– To musi być ona.

– Zostaw, to nie ma sensu. – Rebeka próbowała najpierw odciągnąć Pati od samego zamiaru, a potem fizycznie pociągnąć za sobą w stronę wyjścia. Ale wtedy znowu wybrzmiała męcząca muzyka, a mistrz ceremonii oznajmił, że już czas. Czas na kondukt, przemarsz do grobu, czas na wirujące płatki śniegu, które zatańczą na przekór śmiertelności.

Pati było już wszystko jedno. I kiedy ostatnia osoba upuściła na wieko trumny białą różę, podeszła do tej kobiety z ręką na temblaku i spytała od razu:

– Czy Matyllda była z Perkozem? Kacper. Starszy mężczyzna, grał na saksofonie, perkusji, gitarze, nosił kolorowe ubrania i prawie zawsze się wygłupiał.

– Kim pani jest? – zdumiała się kobieta, zapominając na chwilę o śmierci, a nawet o bólu złamanej ręki.

– Czy Matyllda była z Perkozem? – Pati nie miała zbyt wiele czasu na tłumaczenia, poza tym nie wiedziała, od czego zacząć. Szybkie pytanie, szybka odpowiedź. Dlaczego ludzie mają taki problem z komunikowaniem się? Lubisz mleko? Tak. Jaki kolor ma słońce? Żółty. Czy Matyllda była z Perkozem?

Tak lub nie.

Mów!

– Proszę mnie zostawić – powiedziała głośno kobieta, czym zwróciła uwagę niektórych gości. Pati aż zagryzła zęby z wściekłości, bo nie miała najmniejszej ochoty na konfrontację, nagrobną pyskówkę i cementarne przepychanki.

– Po prostu go szukam. Bo może też zginął w wypadku – olśniło ją na moment.

Dobry strzał.

Kobieta z ręką na temblaku stopniała odrobinę i złagodziła ostre rysy twarzy.

– Nie. Byłyśmy tylko we dwie. Ja miałam więcej szczęścia, a ona... – Zielonkawoszare oczy utoczyły siedem równych łez. – A Perkoza to ja już od lat nie widziałam.

I poszła, stawiając tym samym kreskę na ewentualnej dalszej rozmowie.

Pati usiadła na ziemi, więc Rebeka natychmiast do niej podbiegła, uspokajając zaciekawionych gości:

– Szok po złożeniu ciała do grobu. Przyjaźniły się.

– Znała go. Ta przyjaciółka. Wiedziała, o kim mówię, ale to była przeszłość. Znała Perkoza z kiedyś tam. Więc zaplątał się w życie Matylldy i to z nią uciekł, a potem pewnie od niej też. On

ciągle ucieka, a mi pozostaje mieć nadzieję, że spotkam kiedyś kogoś, od kogo uciekł wczoraj. I to nie będzie zbyt duża odległość. Wtedy go znajdę – mówiła Pati i chyba nie czuła zimna.

Rebeka podniosła ją z ziemi i zaprowadziła na najbliższą płytę nagrobną. Może zmarły się nie obrazi, jeśli tak sobie tu przycupną odrobinę i porozmawiają o sprawach istotnych. Wyższych. Żadnych głupich dowcipów ani popijania z piersiówki. Sens życia, taniec na linie czy jednak równowaga, kwintesencja śmiertelności, a może życia wiecznego również, *libretto* własnej egzystencji, jakkolwiek górnolotnie to brzmi.

– Faceci od wieków byli niestabilni uczuciowo i gdyby tylko jakaś ustawa to regulowała, wszystkim nam żyłoby się lepiej – powiedziała w końcu.

– Jaka ustawa? – Pati nie zrozumiała.

– Pozwalająca im na kontrolowany skok w bok. Niech to robią, skoro muszą. Poza tym wychodzę z założenia, że gdyby mogli, przestałoby ich to kręcić. Perkoz nie był pierwszym ani ostatnim facetem, który lubił kobiety, chociaż w jego przypadku chyba jednak nie chodziło o Matyldę.

– Skąd wiesz? – zdumiała się Pati.

Rebeka wzięła głębszy oddech.

– Pamiętasz z dzieciństwa takie rysunki-labirynty, gdzie tylko jedna ścieżka prowadziła do celu? Matylda nie była tą ścieżką, choć wcale się nie dziwię, że mogłaś tak pomyśleć. Ale to nie ona. Ja ci to wszystko wyjaśnię, a właściwie wyjaśni ci to Kusawery, którego już poznałaś, a który czeka na nas w swoim mieszkaniu.

– Po co?

– Żeby ci coś powiedzieć.

– Rebeka, mów teraz.

– Nie. Dupa mi zmarła od tej płyty nagrobnej, poza tym nieboszczyk, który pod nią leży, miał na imię Flawian i dożył dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. Musiał się nieźle wkurzyć, że tak mu niewiele zabrakło do setki. Ominął go tort, impreza z prawnukami i huczne odśpiewanie „Dwieście lat! ”, bo „sto” byłoby nietaktem. Chodźmy. Kusawery wszystko ci powie, a potem zastanowimy się, co dalej.

Tymczasem w mieszkaniu numer dwa Seweryn kontaktował się z własnym odbiciem w lustrze, pytając je, czy na pewno dobrze wygląda. Czy to są właśnie te spodnie i ta koszula?

Założył sweter. Malachitowy, choć mama używała określenia „grynszpanowy”. Tak naprawdę był po prostu zielony, miękki i przyjemny w dotyku, Seweryn zdjął go jednak, bo przecież na koncercie będzie ciepło. Gorąco nawet, jeśli Momo stanie obok. Jeśli usiądzie obok niego, a on poczuje tak blisko jej pudrowy zapach. Jej wanilię wklepaną w dłonie i szampon ziołowy zamknięty w miedzianych włosach.

Więc zdjął sweter i założył błękitną koszulę.

A mankiety podwinął.



## Rozdział 26

### SEN NUMER JEDENAŚCIE

*Początkowo nie rozpoznaję tych wszystkich śrubek, nakrętek, zębatek, po których muszę przeskakiwać, żeby nie spaść, i które kręcą się w różne strony.*

*– Znajduje się pani na przekładni chodu, a tu, po lewej jest wałek naciągowy. Proszę uważać, żeby go nie zniszczyć. Z tyłu za panią jest zębnik i zaraz przy nim sprzęgnik – dobiega mnie jakiś głos.*

*– Gdzie ja jestem? – szepczę zdumiona.*

*– No jak to gdzie? W samym sercu zegarka. I bardzo proszę uważać, w przeciwnym razie zatrzyma pani czas. A tego robić nie wolno. Nie wolno go też przyspieszać, żeby zerknąć w przeszłość. Wszystko musi odbywać się zgodnie z naturą. Sekunda zawsze będzie sekundą, a minuta sześćdziesięcioma sekundami.*

*Ktoś mnie dotyka. Wielki owad, który pęcznieje i którego odwłok staje się coraz grubszy. Odnóża są owłosione, próbują mnie otoczyć. Spadam z tarczy zegarka i upadam miękko na śnieg. Mam na sobie moją czerwoną sukienkę, a jednak nie czuję zimna. Bez rękawiczek, bez czapki, boso. Przede mną widnieją dwie ścieżki, niemal identyczne i już wiem, że wybiorę tę złą. Ale kiedy próbuję zawrócić, ta druga droga po prostu znika. Rozpływa się w śniegu, wtapia w biel.*

*– Masz paszport?*

*Kręcę przecząco głową.*

*– Nie szkodzi. Dowód osobisty wystarczy.*

*– Ale do czego? – Szukam tego głosu, który do mnie mówi, szukam odpowiedzi. Próbuję przeniknąć wzrokiem biel, ale jest zbyt gęsta.*

*– Musisz wyjechać.*

*Nie zgadzam się. Byłam na koncercie. Noszę czerwoną sukienkę. Spróbowałam tajskiej kuchni. Ale nigdzie nie pojadę.*

*– Musisz wyjechać.*

*A Seweryn?*

*Nie spytałam, ale najwyraźniej moje myśli były wystarczająco głośne...*

*– Sama.*

*Chcę się obudzić. Chcę wstać i spojrzeć w okno. Nigdzie nie pojadę. Przede mną leży ogromna walizka, a ja nie wiem, co jeszcze powinnam do niej zapakować.*

*Zaraz. Ja nie chcę się pakować!*

*Buty, sukienka, szczoteczka do zębów. Co jeszcze? Co jeszcze?*

*Zamykam walizkę i siadam na niej.*

*Nigdzie nie jadę! Słyszycie mnie? Nigdzie nie jadę!*

Boże Narodzenie tak naprawdę ma bardzo ułatwione zadanie. Trzeba je kochać, bo wkomponowało się w najbardziej ponury okres roku. Krótkie dni, długie noce. Ciemność zabierająca jasność dnia, dominujące popiel i szarość. Mokre poranki, chłodne popołudnia, zamarzające wieczory. Najpierw preludium wygrywa listopad, potem grudzień przejmuje pałeczkę. I nagle pojawia się Boże Narodzenie. Błyszczące, kolorowe, z powtarzającym się cyklem narodzin, z wiarą, że ten ponury okres niedługo się skończy, że właściwie styczeń to już przebiśniegi, a przebiśnieg zapowiada wiosnę.

Okołoświąteczna wiara w cuda. Przypadki, które wydają się znakiem niebios, a są tylko konsekwencją poprzednich wydarzeń. Czy zatem są przypadkami? Może po prostu jedno wynika z drugiego, nie ma tu miejsca na zrządzenia losu, na zbiegi okoliczności. To niemożliwe, żeby grudniowy wieczór ubrany w drobne płatki śniegu (znowu remis z deszczem), w rozwieszone na latarniach światełkowe sople i zapach grzanego wina z goździkami wystarczył, by uwierzyć w cuda. Ludzie chętnie jednak ulegają złudzeniom i zgadzają się na wszystko, co chociaż na chwilę oderwie ich od prozy zmywania naczyń. Nie ma znaków zapytania, jest wiara w bańki mydlane. I czasem się udaje.

– Gdzie go poznałeś? I jak? I co mówił? I gdzie jest teraz? – Pati wpatrywała się w Ksawerego tak intensywnie, że aż pociemniały jej tęczaówki.

To właśnie był jej cud.

A Ksawery pozwolił jej zadawać wszystkie te pytania i kiedy w końcu nie zostało już żadne, zaczął opowiadać.

To było jedenaście, może dwanaście lat temu w Gdyni. Pracował wtedy w tamtejszym teatrze i dobrze mu było na Wybrzeżu. Jadzi też się podobało i była nawet trochę zła, kiedy dostał pracę w Poznaniu. Pomruczała coś pod nosem, w końcu jednak spakowała walizki. Ale wtedy mieszkali jeszcze w Gdyni. I chyba było lato. Zobaczył tego mężczyznę w jednym z ogródków działkowych, jak kopał zaciekle grządki, a starsza kobieta w pomarańczowej sukience przyniosła mu zupę ogórkową i powiedziała, że już starczy, bo inaczej zniknie i marchewka, i kalarepa, a miały zniknąć tylko chwasty. Ksawery roześmiał się wtedy i oni go usłyszeli, a starsza pani zaproponowała zupę również jemu. I tak poznał Igora, czyli – według Rebeki – Kacpra.

– On nic nie pamiętał. Wiedział, że nie jest Igorem, ale musiał sobie jakieś imię wymyślić. Lekarze początkowo myśleli, że to od urazu w głowę, bo przywieźli go nieprzytomnego z jakiejś bójką. Nie wiedział, skąd pochodzi, czy miał rodzinę, żonę, dzieci, czy w ogóle przedtem żył. Zdiagnozowano u niego amnezję pourazową, tak miał w papierach. On mi dużo pomagał i nie tylko mnie. Pielął, sprzątał, wykonywał drobne prace remontowe. Zawsze dostawał za to coś do jedzenia, parę złotych i dach nad głową. Starsi ludzie mieli do niego zaufanie i często go do siebie zapraszali.

– Ale nie można żyć bez tożsamości – wyszeptala Pati.

– Można. – Ksawery kiwnął głową. – Igor nigdzie się nie meldował, nie chciał nowego dowodu osobistego, a ze szpitala wypisał się na własne życzenie. Bawiło go życie bez żadnych obowiązków.

– To do niego pasuje – mruknęła Rebeka.

– Był tutaj? – spytała cicho Pati.

Ksawery znów skinął głową.

– Dałem mu swój adres, kiedy przeprowadzałem się do Poznania, i zaproponowałem, żeby mnie odwiedził. Minęło kilka lat, Jadzia zmarła. Myślałem, że Igor o mnie zapomniał, ale nagle się zjawił. Mieszkaliśmy trochę razem, pomogłem mu znaleźć pracę, znowu jakieś roboty

remontowe, nawet wyprowadzanie psów. I pewnie mieszkałby do dzisiaj, gdyby...

– Gdyby nie co? – Pati szarpnęła go za rękaw.

Był tu, w tym samym mieście i nigdy się nie spotkali? Nigdy nie potknęli o siebie, minęli tak bez słowa? Nikt go nie rozpoznał, nie zadzwonił do niej, nie zgłosił na policję? Jak to w ogóle jest możliwe w dzisiejszych czasach?

– Chciałem mu pomóc. Znalazłem specjalistę od utraty pamięci i zaprowadziłem do niego Igora. Po dwóch spotkaniach uciekł. Zostawił mi tylko kartkę, że jedzie szukać szczęścia w Hiszpanii czy Włoszech, albo gdziekolwiek indziej, gdzie nikt nie będzie grzebał mu w głowie.

– Dlaczego?

Ksawery przygryzł wargi. Trudno mu było o tym mówić, z drugiej jednak strony i tak prawie całe mleko się rozlało, więc teraz trzeba tylko przewrócić butelkę, wylać resztki, a potem zacząć ostrożnie wycierać.

– Ten lekarz to mój znajomy. Zresztą jego syn mieszka w tej samej kamienicy, co ty chwilowo – spojrzał na Rebeke.

– Jak wygląda?

Ksawery wzruszył ramionami.

– Syn? Normalnie. Trzydziestolatek, zwykły taki.

– Nosi koszulki w wieloryby?

– Na Boga, a skąd ja mam to wiedzieć? – zdumiał się Ksawery. – Może i nosi. Wiem tylko, że jest testerem zapachów. Fajny zawód, choć ojciec oczywiście wolał, żeby został lekarzem. Laryngologiem – zachichotał. – To też blisko nosa.

Umilkł natychmiast, bo Pati jednak nie było do śmiechu.

– Dlaczego uciekł?

– Bo zdaniem mojego znajomego uraz głowy Igora nie mógł wywołać całkowitej amnezji. Podobno za tworzenie i zachowywanie wspomnień odpowiedzialnych jest wiele obszarów mózgu, dlatego też nawet ciężkie neurologiczne uszkodzenia nie likwidują wszystkich informacji, które zgromadziliśmy.

– Czyli że pamiętał o nas? – spytała Pati.

– Tego nie wiem. Ale zaniepokoił mnie fakt, że wyjechał. Tak jakby uciekł przed samym rozwiązaniem zagadki.

– Czy mogę się spotkać z twoim znajomym?

Ksawery skinął głową.

– Jutro? – naciskała Pati.

– Dobrze, zaraz do niego zadzwonię.

– I ani słowa Momo. – Pati odwróciła się w stronę Rebeki. – Ani słowa. Najpierw ja muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.



Na szczęście Momo po koncercie zupełnie wyleciało z głowy, że ciotka chciała z nią porozmawiać. Ciągle nie mogła uwierzyć, że to wszystko minęło jakoś tak spokojnie, bez fajerwerków, że strach po półgodzinie sam się ulotnił, a ona już tylko chłonęła muzykę i patrzyła

z zachwytem na chłopaka, który z akordeonu wyciskał tak piękne melodie. Były tam dźwięki drżące, wibrujące, jak i w charakterystycznej barwie *musette*, *typowym dla francuskich walców i właśnie je wygrywał* wtedy ten chłopak, zamykając przy tym oczy i odpływając gdzieś daleko. Później wszedł registr *tutti* i akordy F-dur, co dawało skomplikowaną polifonię dźwięków, czystą i zachwycającą.

Seweryn przyszedł po nią o osiemnastej, błękitno-czarny, ze świeżo umyтыми włosami, które skręciły się w masę brązowych pierścionków. Waliło mu serce, łaskotało w brzuchu i dobrze chociaż, że nie miał spoconych rąk. Uśmiechał się ostrożnie, żeby niczego nie popsuć i żeby uroczystość tego momentu przedłużyć w nieskończoność.

Bo przecież to była randka.

Nawet jeśli w Starej Rzeźni.

Momo założyła czerwoną sukienkę i ciężkie czarne buty. Włosy miały swobodę ruchów, ale przy okazji trochę zakrywały twarz, co było dobre w sytuacji, kiedy chciało się ukryć emocje. I jeszcze ten cudowny naszyjnik ze starej łyżki, zdobionej przy uchwycie wygrawerowanymi niezapominajkami. I jeszcze to, że wsunęła rękę pod jego ramię jakoś tak spontanicznie i naturalnie, bez żadnego usztywnienia, jakie czasem towarzyszy przekroczeniu granicy intymności.

Stara Rzeźnia z cegieł, drewna i metalu była miejscem doskonałym zarówno dla akordeonisty, jak i samej Momo, pierwszy raz biorącej udział w koncercie na żywo. Ludzi było dużo, dotykali jej, choć niechętnie, czasem ktoś delikatnie popchnął, ale zawsze z „przepraszam”. Las rąk, kolorowe ubrania, torebki, torby, telefony, zgubione rękawiczki, kubki po piwie. Światła były niebieskie, czerwone, złote i białe, i rozpraszały ciemność, w której fruwały jeszcze okruchy strachu Momo. Głosy zlewały się w jedno, oddechy mieszały, podobnie jak zapachy. Nie było przestrzeni ani strefy intymnej, a jednak dość szybko udało jej się to zaakceptować. Jej pewność siebie przekroczyła granicę niepewności, za którą była już tylko muzyka. Oraz Seweryn, błękitno-czarny z pierścionkami na głowie, które w końcu wyschły i błyszcząły odcieniem miedzi trochę podobnym do jej własnych włosów.

– A teraz bajan – powiedział chłopak i sięgnął po czarny instrument, który leżał za jego plecami. – Od Bajana, ruskiego śpiewaka wędrownego. I z konwerterem, który przełącza system melodyczny na basowo-akordowy *stradella*. Chcecie posłuchać?

Momo chciała. I chciał tłum, który jej dotykał i którego już się nie bała.

Do domu wróciła lżejsza i zupełnie nie myślała o tym, że mężczyzna ze snów i Seweryn to dwie różne osoby. Uruchomiła wewnętrzną blokadę przeciwko natrętnym myślom, dzięki czemu czuła się swobodnie i nawet przez moment zastanowiła się, czy wolno jej pocałować Seweryna w policzek na do widzenia i dziękuję.

Jednak nie.

Sześćdziesięcioletni Ksawery nie miał czasu, ale dla niej, dwudziestośmioletki, czas biegł zdecydowanie wolniej. Jeszcze zdąży go pocałować. Podała mu zatem tylko rękę, którą uściskał przyjemnie, nie za miękko niczym wyjęta z wody meduza, ale też nie zbyt agresywnie, i uśmiechnął się do niej w barwie *musette*.

To był dobry wieczór i w sumie lepiej, że ciotka jednak rozmyśliła się co do obiecywanej wcześniej rozmowy. Bo Momo chciała już iść spać. I śnić. I bardzo była zawiedziona, kiedy następnego dnia rano przypomniały jej się słowa: „Musisz wyjechać”.

Sny bywają czasem bardzo złośliwe.

Rebeka nie do końca zgadzała się z siostrą, żeby Momo na razie w nic nie wtajemniczać, ale postanowiła to uszanować. Być może rzeczywiście warto najpierw porozmawiać z lekarzem i dowiedzieć się czegoś więcej.

Zerknęła na zegarek. Za dwadzieścia ósma. Nie miała najmniejszej ochoty iść dzisiaj do szkoły. Zresztą dokoła panowało już wszechobecne rozpulchnienie przedświąteczne i sama doszła do wniosku, że przerabianie materiału nie ma najmniejszego sensu, bo uczniowie patrzyli na nią z bożonarodzeniową głupotą w oczach, zupełnie jakby podniecała ich myśl, że niedługo przyjdzie Gwiazdor. I zupełnie jakby naprawdę w niego wierzyli. Na ostatnich zajęciach skupiła się więc na ulubionych potrawach przeróżnych władców, bo przynajmniej tego słuchali z pewnym zaciekawieniem.

Trudno. Ruszą z kopyta z materiałem zaraz po Nowym Roku.

– Wiecie, skąd wziął się kurczak marengo?

Ucichli natychmiast, co zawsze poczytywała sobie za sukces. U innych nauczycieli szemrali w zasadzie bez przerwy.

– Po zwycięstwie nad Austriakami pod Marengo w roku tysiąc osiemsetnym, Bonaparte wrócił z bitwy głodny jak stado słońi, nigdy bowiem nie posilał się przed walką. Zażądał natychmiast od swojego kucharza czegoś wyjątkowego, co nie było łatwe, zważywszy na ograniczony dostęp do produktów. Ale temu udało się zdobyć kurczaka, kilka raków, jaja, pomidory i czosnek. Mięso upiekł z czosnkiem, dodał pomidora i obficie chlusnął brandy. Całość obłożył ugotowanymi jajami na twardo i aromatycznymi rakami. No i od tego czasu kurczak marengo serwowany był po każdej bitwie.

Dzisiaj mogłaby opowiedzieć im co nieco o wigilijnych tradycjach na dworach i zamkach, ale doszła do wniosku, że nie ma ochoty. Sięgnęła więc po telefon, by po chwili zachrypieć po mistrzowsku:

– Nic z tego. Chciałam przyjść, ale grypa mnie prawie zabiła. Odwołam moje lekcje, trudno, jakoś to przeżyją.

Zastępca dyrektorki chciał jeszcze życzyć jej szybkiego powrotu do zdrowia, ale uznała, że ma to gdzieś i szybko się rozłączyła. Muszą dopaść lekarza, który diagnozował przed laty Perkoza.

– Dzwoniłeś do niego? – zaatakowała przez telefon Ksawerego, tym razem już bez chrypienia.

Ksawery nie spał od szóstej, spodziewając się ataku, dlatego też dla pewności zadzwonił do swojego znajomego krótko po godzinie siódmej.

– Ale dzisiaj nie dam rady – wystraszył się lekarz. – Poza tym musiałbym odkopać starą dokumentację, a przed świętami mamy tu niezły młyn. Myślałem, że tylko sklepy przeżywają oblężenie, ale szpitale niestety również. Ludzie szukają Bożego Narodzenia dosłownie wszędzie – zażartował nieudolnie. – Może jakoś po świętach?

Ksawery wiedział, że to absolutnie nie wchodzi w grę. W grę wchodziło dzisiaj. Najpóźniej jutro.

– Postara się – powiedział teraz Rebecce, choć było to kłamstwo.

– Postarałam to się ja i nie poszłam dzisiaj do pracy. Po to między innymi, żeby odwiedzić lekarza, choć z innego powodu niż moja rzekoma grypa.

– Grypa?

– Rzekoma, gdybyś nie dosłyszała. A rzekoma oznacza, że jej nie ma. Widzimy się o dwunastej.

Kurwa.

Tym razem w myślach zaklął Ksawery.

– Nie masz szans... Saturnin...

– Jezu, kto?

– On ma na imię Saturnin.

– Biedny człowiek. Dobra, przychodź tu o dwunastej, ja coś wymyślę.

Tego właśnie obawiał się najbardziej.

Tymczasem Rebeka narzuciła na siebie sweter, przeczesła byle jak włosy i zeszła piętro niżej. Po siedmiu minutach Seweryn rozumiał, że musi pomóc, choć nadal nie pojmował, kim jest Perkoz i jaki związek ma z nim jego ojciec. Pogubił się również przy wątku niebieskiej Matyldy, która zginęła w wypadku, ale Pati dosztukowała jej brakujące fragmenty ciała.

– Skąd pani w ogóle zna mojego ojca? I wie, że on to on, a ja jestem z nim spokrewniony? – zaplątał się odrobinę.

– Dedukcja. Znajomy powiedział, że syn tego lekarza tu mieszka. Poza tym ktoś, kto ma na imię Saturnin, musi mieć potomka o podobnie dziwnym imieniu. Seweryn pasował najbardziej. Dzwon do ojca i powiedz, że koło pierwszej jesteśmy u niego. Jak ci się uda, dostaniesz trzy punkty, dwa ode mnie i jeden zaocznie od Momo. Bo dla niej te informacje są niezwykle ważne. A im szybciej coś się wyjaśni, tym większe szanse, że twoje skołowacenie w temacie mojej siostrzenicy doczeka się jakiegos przełomu.

Seweryn zrozumiał, że nie ma wyjścia, poza tym wolał nie dyskutować z Rebeką, której spod swetra wystawała koszula nocna w trupie kocie czaszki, dlatego jeszcze przed pracą zadzwonił do ojca, a potem pobiegł wachać odświeżacze do toalet i spotkać się z właścicielami browaru, którzy chcieli raz jeszcze upewnić się, czy piwo wybrane przez niego drogą węchu i smaku na pewno jest idealne. Produkcja miała ruszyć niebawem.

A ojciec, przyciśnięty do muru z dwóch stron, powiedział, że będzie dostępny informacyjnie o godzinie trzynastej siedemnaście.

– No – pogratulowała Sewerynowi Rebeka. – Dałeś radę. Zupełnie jak w tym wierszyku:

*To nie sztuka zabić kruka  
Ale sztuka całkiem świeża  
Gołą dupą  
Siąść na jeża*

Seweryn obiecał sobie, że kiedyś doszuka się w tym wszystkim sensu.

## Rozdział 27

### FUGA

Saturnin był neurologiem i bardzo dobrze pamiętał dzień, w którym Ksawery zjawił się ze swoim dziwnym znajomym, który z kolei niczego nie pamiętał. Najdziwniejsze zaś było to, że amnezja jakoś specjalnie mężczyzny nie martwiła. Igor, tak przynajmniej kazał się nazywać. Twierdził, że już zaakceptował swoje nowe życie, ale najwyraźniej bał się grzebania w pamięci. Po dwóch sesjach uciekł.

– To pani mąż? – pytał teraz Pati, która szybko kiwnęła głową, jakby chciała skrócić czas dalszego oczekiwania na jakiegokolwiek informację.

Mów.

Mów już.

– Moim zdaniem rzeczywiście zanik pamięci miał związek z urazem głowy. Pani mąż wdał się w jakąś bójkę albo został napadnięty. Znalaziono go dwa dni później, był mocno wyziębiony i nie pamiętał absolutnie niczego. Ale... – zawiesił głos.

– Pan się nie zawiesza. Czekałyśmy już wystarczająco długo – przerwała mu Rebeka.

Saturnin przełknął ślinę.

– Po takim urazie możemy wprawdzie utracić wspomnienia obejmujące okres nawet do piętnastu-dwudziestu lat przed wypadkiem, ale nie całe nasze życie. Nie od początku, od dnia narodzin. Po jakimś czasie przypominamy sobie, kim jesteśmy, choć mogą to być urywki, jakieś sceny, fragmenty tego, co było. Utrata tak dawno zapisanych w pamięci informacji może nastąpić jedynie krótkotrwale. I myślę, że Igor sobie przypomniał.

– Więc nie chciał do nas wrócić? – wyszeptała Pati.

Saturnin pokręcił głową.

– To nie tak. Rozmawiałem o nim z psychologiem szpitalnym i obaj doszliśmy do wniosku, że mogło tu dojść do zaburzeń dysocjacyjnych.

– Kurwa, mów pan jaśniej.

Rebeka.

– W naszej podświadomości istnieje coś takiego, co nazywamy pamięcią utajoną. To do niej właśnie trafiają wszystkie informacje, których nie chcemy zapamiętać, bo nie są nam do niczego potrzebne. Nie zwracamy więc uwagi na kolor jakiegoś samochodu czy ubiór kobiety na przystanku, bo to tylko zaśmiecałoby naszą pamięć. I tu dochodzimy do sedna. Moim zdaniem Igor, czy jak pani mówi Kacper – zwrócił się do Pati – cierpiał na specyficzny rodzaj amnezji, tak zwaną fugę.

– Fuga kojarzy mi się raczej z muzyką – wtrąciła Rebeka.

– Ale funkcjonuje również w psychologii. Po łacinie oznacza „uciekać”. Człowiek, który cierpi na fugę, omija szerokim łukiem problemy, które go dotyczą, i robi wszystko, żeby o nich

zapomnieć. Przenosi je do pamięci utajonej, a dla pewności przyjmuje nową tożsamość. Zaczyna wierzyć w to, że jest kimś innym, i po jakimś czasie rzeczywiście niewiele pamięta z przeszłości. Kilka lat temu goprowcy znaleźli w Tatrach człowieka, który niczego nie pamiętał. Nie doznał jednak żadnych urazów mózgu, nie miał żadnych nieprawidłowości somatycznych. Po zbadaniu go lekarze doszli do wniosku, że pod wpływem przeżyć, jakie stały się jego udziałem, wyparł przeszłość z pamięci. Zapomniał o górach, o wypadku, zapomniał o sobie z iluś lat wstecz. Tak było bezpieczniej.

– Czy mój mąż też na to cierpi?

Saturnin wzruszył bezradnie ramionami.

– Tego nie mogę stwierdzić na pewno, bo zbyt krótko z nim rozmawiałem, zbyt krótko go badałem. Ale mam podejrzenia, że on uciekł od siebie. Schował się w swojej niepamięci i stworzył siebie na nowo. Ze strachu, ze wstydu, z poczucia winy... Nie wiem. – Rozłożył ręce.

– Ludzki mózg pozostaje dla nas nieodgadnioną tajemnicą. Ludzkie zachowania również. Ale na pani miejscu z pewnością nie obarczałbym winą siebie – dodał jeszcze.

Pati pociągnęła nosem.

A kogo?

– Oczywiście, że nie, Pati, nawet o tym nie myśl. Może on na coś chorował? – podsunęła Rebeka.

– Możliwe. Albo zrobił coś, czego się wstydził. I chciał w ten sposób wymazać z pamięci wspomnienia o sobie jako tym złym, tym, który się nie sprawdził. Może cierpiał na depresję, której sam nie rozumiał. Uraz głowy, którego doznał, mógł mu w tym pomóc. Proszę jednak pamiętać, że to nie jest ostateczna diagnoza. Fuga zdarza się niezwykle rzadko, a ja tylko przypuszczam, że właśnie z czymś takim mamy tu do czynienia.

– Czy to się może cofnąć? – spytał Ksawery.

Saturnin zastanowił się przez chwilę.

– Moim zdaniem konieczna jest terapia. Czasem pomaga jakiś wstrząs, coś, co gwałtownie przypomni nam przeszłość. Czasem hipnoza. Ale i tak bez współpracy z psychologiem, psychiatrą i neurologiem człowiek nie wróci sam do dawnego siebie. Zdarza się, że wystarczy sen, by wymazać z pamięci poprzedni dzień i znowu rozpocząć wszystko z czystą kartą.

– Ale jak można tak żyć?

Saturnin wstał i podszedł do Pati.

– Normalnie. Człowiek w stanie fugi może żyć zupełnie zwyczajnie i odnajdować się w stworzonej przez siebie rzeczywistości. Może założyć nową rodzinę, zmienić pracę, może stać się, kim chce. Jak w snach.

Jak w snach.

– Mam gdzieś wyjechać. Ale to jest jedyna rzecz, której zrobić nie mogę. Wykonałam chyba wszystkie polecenia, zrobiłam dokładnie to, co mi się śniło, co kazało mi wyjść z własnego życia i przyjrzeć mu się z boku. Ale wyjazd? – Momo usypała na stole mały kopczyk z cukru i zerwała listek bazylii. Wsadziła go odruchowo do ust i chwilę pożuła.

Mila patrzyła na nią z uśmiechem.

– Co jeszcze było w tym śnie?

Momo wzruszyła ramionami.

– Dwie drogi. Zawsze są dwie i zawsze wybieram nieodpowiednią.



– No wiesz, tak dzieje się również w codziennym życiu. Choćbyś nie wiem, jak kombinowała, i tak kolejka do kasy, którą wybierzesz, okaże się nietrafiona. I będzie przesuwac się znacznie wolniej niż ta obok. Wybór niewłaściwej drogi to odsuwanie się od celu.

– Ale co jest moim celem?

Momo zgarnęła kocyk cukru ze stolika i odruchowo wsypała go sobie do kieszeni płaszcza.

– Spełnienie. Poczucie bezpieczeństwa. Zielony sweter wreszcie, który cię męczy od dłuższego czasu. Może ten wyjazd coś wyjaśni? Zła droga we śnie oznacza, że nie robisz tego, co byś chciała. Że się oddalas. I ta walizka, której nie mogłaś spakować, też o tym świadczy. Tak jakbyś usiłowała upchnąć w niej za dużo, wszystko i nic. Tak jakby gonił cię czas.

– Bo goni. Sen mówi, że muszę zdążyć przed Wigilią. Ale z czym? Jak? Na co?

Mila podeszła do niej i poklepała ją po ramieniu.

– Czego się boisz?

Momo westchnęła, a wszystkie jej wewnętrzne strachy westchnęły razem z nią. Nie każdy człowiek musi mieć w domu walizkę, nie każdy musi szykować się do drogi.

– Nie poradzę sobie sama. Nigdy nie leciałam samolotem, nie wiem nawet, jak wygląda terminal. Nie umiem się pakować, mam jedną starą torbę, która leży nieużywana w dawnym biurze mojego byłego męża. Chciałam z niej zrobić pojemniki na gazety albo wykorzystać fragmenty do kamaszy, ale na pewno nie planowałam jej użyć tak normalnie. Jako torby podróźnej. Boję się, że kupię zły bilet, pomylę daty, pojedę w przeciwnym kierunku.

– Samolotem to raczej niemożliwe – roześmiała się Mila, ale Momo smutno spuściła głowę.

W piekarni wymieszały się zapachy strachu i rogalików, niepewności i drożdżówek z kruszonką.

– Dokąd masz wyjechać?

– Tego nie wiem. I boję się, że następny sen mi to powie. A wtedy nie będzie już odwrotu. Nie pójde dzisiaj spać – Momo wstała i otworzyła drzwi. – Będę się włóczyć po mieście, czytać i oglądać horrory. Nie zasnę. Nie pozwolę, żeby ktoś mówił mi, co mam robić.

– Jest takie powiedzenie czy raczej legenda, że kiedy nic nam się nie śni, to znaczy, że przebywamy w snach kogoś innego. I wtedy nie starcza nas na własny sen – uśmiechnęła się Mila.

Momo wzruszyła ramionami. Nie musi się nikomu śnić. Nawet jemu. Najważniejsze to nic nie usłyszeć, żadnej nazwy miejscowości czy miejsca na świecie, do którego miałyby wyjechać.

Wyszła, a Mila dmuchnęła w mąkę rozsypaną na stole i szepnęła:

– Wenecja.



Ksawery odprowadzał Rebeke do domu i odważnie wprosił się na śniadanie. Może być jutro, może być pojutrze. Dzisiaj musiał już iść, za godzinę zaczynało się przedstawienie.

– Umiesz szyć? – spytała go nagle Rebeka.

Roześmiał się.

– Pewnie. Szyć, przerabiać, poprawiać, skracać, czasem wydłużać. Przyszywać oderwane guziki. I jeszcze prasować.

– Z tym śniadaniem to dam znać. Mieszkam z Momo i chociaż zazwyczaj nie interesuje mnie zdanie innych, to jednak mam do niej pewną słabość. Dlatego upewnię się, czy nie ma nic przeciwko temu.

– Jasne – powiedział tylko, a potem nagle dodał: – Chciałbym z tobą kulać kluski śląskie.

Rebeka wybuchnęła uroczym, choć gromkim śmiechem, zatrzęsła się z niepohamowanej radości, że oto tym jednym zdaniem Ksawery uwolnił ją od ponurych myśli o Perkozie, fudze i amnezji na życzenie. Wpadła w chwilowy błogostan, radosną frenezję i poczuła apetyt na więcej. Więc Ksawery nie przyznał się, że to nie jego dzieło, że po prostu przeczytał to zdanie, wypisane sprejem na murze za jej plecami.

Nie przyznał, a ona go pocałowała.

I kazała przyjść na to śniadanie, bo Momo na pewno nie będzie miała nic przeciwko. Tylko ustali jeszcze dokładnie kiedy.

O godzinie dwunastej w nocy Rebeka ziewała rozpaczliwie i nie mogła zrozumieć, dlaczego jej siostrzenica ciągle jeszcze nie kładzie się spać. Zazwyczaj o tej porze dawno była już w łóżku, co zawsze dziwiło Rebekę. A dzisiaj zdumiało ją, że do łóżka nie poszła. Człowiek zawsze się dziwi, na wszelki wypadek. Żeby mieć pretekst do rozmów albo żeby upewnić się, że tylko on sam funkcjonuje normalnie.

– Momo...

– Dzisiaj nie idę spać.

Rebeka zdębiała.

– A to dlaczego?

Momo tylko machnęła ręką.

– A koncert chociaż się udał? Bo chyba jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. – Rebeka znowu ziewnęła i ostentacyjnie zaczęła rozkładać kanapę w salonie. Zerknęła przez okno i pomachała ręką Lenie.

– To dziecko też już dawno powinno chrapać. Co się z wami dzieje? – mruknęła pod nosem.

Momo ożywiła się na moment, a jej policzki przybrały kolor mrożonej maliny – spod bladej skóry przebijał nieśmiały odcień czerwieni. Ale i tak wszystko było jasne i Rebeka nie musiała się niczego domyślać. Koncert pachniał Sewerynem, wspomnienia również, a Momo pachniała początkiem szczęścia. I zupełnie nie było wiadomo, jak jej to wszystko popsuć i poinformować o fudze Perkoza. Ustaliły z Pati, że jednak nie będą trzymać tej historii w tajemnicy. Momo była dorosła i należały jej się wyjaśnienia. Poza tym łatwiej chyba zaakceptować fakt, że mózg ojca spłatał mu figła i zaczął zamykać szufladki z pamięcią, niż kazać dalej żyć w przeświadczeniu, że zostawił dziecko bez słowa wyjaśnienia.

– To ja zadzwonię po Pati.

– Po co? Nie sądzisz chyba, że mamie uda się wepchnąć mnie do łóżka? – zdziwiła się Momo. Okropnie chciało jej się spać, ale postanowiła nie dawać swoim snom za wygraną. Nie pojawi się dzisiaj, więc nie będą mogły jej zaczepiać. A może w ogóle zapomną?

Dwunasta czterdzieści dziewięć. Nocą czas jednak spowalniał. Wskazówki sennie przesuwwały się po tarczy zegara i Momo była przekonana, że przysypiają wraz z nią. To dlatego noce zawsze wydawały się dłuższe niż dni. Kamienica naprzeciwko zasnęła niemal całkowicie, zaledwie w dwóch mieszkaniach świeciły się jeszcze nocne lampki. Powietrze było czyste, chmury odpłynęły w inne rejony świata, wskutek czego wyjątkowo nie padał ani deszcz, ani śnieg. Niebo

uginało się pod ciężarem gwiazd i nawet w mieście było to zauważalne.

Momo wypila trzecią filiżankę kawy, która trochę ją wewnętrznie poprzestawiała. Zupełnie jakby wszystkie organy zaczęły pływać w kawowej cieczy i nic sobie nie robić z pierwotnego położenia. Kręciło jej się w głowie, bulgotało w brzuchu, oczy same się zamykały i chyba nie mogła już dłużej stać. Ustalony porządek rzeczy, spraw i samej Momo zaczynał się burzyć, coś ją ciągnęło w stronę sypialni, coś kazało schować się pod kołdrą, pod własne myśli i odpłynąć tam, gdzie świat był wprawdzie parabolą, ale i tak umiała się w nim poruszać. Momo wiedziała, że przed własnymi snami nie można się ukryć, a jednak dzisiaj to ona chciała zdecydować o tym, jak spędzi noc. To dawało jej poczucie pozornego bezpieczeństwa, przekonanie, że jednak rządzi nami logika i racjonalne myślenie.

– Opowiem ci o ojcu, dobrze? – To nie był sen. To była Pati, która nagle usiadła obok niej przy stole i również nalała sobie kawy. To Rebeka zadzwoniła po swoją siostrę, bo skoro Momo i tak nie chciała spać...

Momo natychmiast otrzeźwiała. Sen, który zamykał jej powieki, pierchnął gdzieś wystraszony, a ona sama spojrzała na matkę z wielkim znakiem zapytania w oczach. I mimowolnym protestem, że to chyba najmniej odpowiedni ze wszystkich momentów.

– Ojciec nie zniknął tak zupełnie ze swojej winy – zaczęła Pati, a potem zrobiła się godzina pierwsza pięćdziesiąt osiem i Momo wiedziała już, co oznacza fuga w psychologii. I że ulica Północna, która jej się przyśniła, była powiązana z Ksawerym. Sen więc trochę się pomylił, trochę zamieszał niepotrzebnie. Z drugiej strony wszystko zaczęło się układać, choć Momo nadal nie rozumiała, co wszystkie te znaki mają ze sobą wspólnego.

– Gdzie jest teraz? Ojciec...

Pati pociągnęła nosem.

– Tego nie wiemy. Ale jest mi łatwiej ze świadomością, że nie uciekł, bo chciał. Bo znudziło mu się dawne życie. Po prostu o nim zapomniał, zatarł je w pamięci.

Momo patrzyła na swoje ręce. Na długie palce, kształtne paznokcie. Na kilka piegów rozsianych na dłoniach. Czy naprawdę można zapomnieć dotyk rąk własnego dziecka? Jego pocałunki, jego czekanie, rysunki, upominki i wspólną jazdę na łyżwach? Spacerzy, nawet jeśli zbyt rzadkie, rozmowy, nawet jeśli za krótkie?

– Ale mówiłaś, że fuga bierze się ze strachu. Z lęku lub wstydu przed samym sobą. Czego ojciec mógł się bać?

Pati też się nad tym zastanawiała i doszła do wniosku, że nie wie. Że nigdy w rozmowach z Perkozem nie schodziła głębiej niż do poziomu spraw codziennych. Że związek nie powinien dotyczyć tylko rodzajów pomidorów, które się kupuje na kolację, ale dotykać też zupełnie innych obszarów. Strachu, wstydu, melancholii, smutku, emocjonalnego letargu. Że trzeba czasem być defibrylatorem drugiego człowieka, a czasem jego pielęgniarzem. Zobaczyć w śmiechu przerażenie, w zabawie – ucieczkę. A w kolorowych ciuchach – wołanie o pomoc. Im bardziej druga strona się maskuje, tym trudniej wyłapać w niej okruchy chmurności i objawy balansowania na cienkiej linii. Dezolacji. Co tak naprawdę siedziało w głowie Perkoza?

– Gdzie on może być? – spytała znowu Momo.

Rebeka podeszła do swojej siostrzenicy i oparła jej ręce na ramionach.

– Wszędzie. Być może zaczął nowe życie i być może jest szczęśliwy. Być może już zapomniał, że kilka lat temu wrócił do Poznania i prawie się odnalazł. Przynajmniej tak uważa Saturnin, matko, ciągle nie mogę uwierzyć, że ktoś dał mu takie imię. Historia roi się od ludzi, którzy z różnych powodów tracili pamięć. Taki król Henryk VI Lancaster. Anglik, więc to wiele

wyjaśnia, brytyjscy władcy często mieli nie po kolei w głowach. Kiedy w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku przegrał bitwę pod Castillon, dostał ataku paniki i postradał rozum. Nikogo nie poznawał, miewał jakieś dziwne omamy albo popadał w stupor. No i rządy musieli przejąć inni, bo facet gubił się w najprostszych decyzjach. Najważniejsze jednak jest to, że możemy wszystko zrzucić na chorobę, co mi osobiście o wiele bardziej odpowiada niż wasze męczeńskie miny. Koniec z obwinianiem się, moje drogie. Perkoz oberwał w głowę, mózg wypadł mu na moment z szyn, a potem nie wszystko wróciło na miejsce. Pamięć sfiksowała, wspomnienia wyparowały, a przeszłość zlała się z teraźniejszością. Czy to w jakikolwiek sposób stopiło wasze poczucie winy? To nie wy ani też nie on. To biologia. Fizjologia. Neurologia wreszcie. I kurewski pech.

Godzina trzecia siedemnaście. Jeszcze nie koniec nocy, jeszcze nie początek dnia. Coś pomiędzy.

– Pojutrze na śniadanie przychodzi Ksawery. Informuję tylko, na wypadek gdybym jednak zasnęła, a on przylazł właśnie wtedy. Nie, to w zasadzie już jutro przychodzi, bo od kilku godzin mamy dzisiaj – zaplątała się odrobinę.

Pati i Momo skinęły głowami.

– Aha, chyba powinnaś wiedzieć coś jeszcze – Rebeka zawiesiła głos, a jej wzrok padł na Momo.

– Co jest? – wystraszyła się dziewczyna.

– Saturnin jest ojcem Seweryna. Zawsze wiedziałam, że ludzi poznaje się po coś. Każdy, kto chociaż na chwilę przetnie nam drogę, robi to w jakimś konkretnym celu. Kurwa, ależ to działa. Koło zamachowe ludzkich relacji.

## Rozdział 28

### KADŁUBY JAJKOWE, ŻAGLE SEROWE

Wyprostował nogi i zapatrzył się w wodę. Była chłodna, nawet bardzo, ale zanurzył w niej stopy.

No dobrze, była lodowata.

Jakoś mu to jednak nie przeszkadzało. Obudził się dzisiaj inaczej niż zwykle. Jakby otworzyły się w nim jakieś śluzy i krew zaczęła znowu płynąć swoim tempem. Jakby ciężar spadł mu z ramion. Przyśniło mu się miasto, które znał, ale które ktoś dziwnie przemeblował. Domy stały odwrócone do siebie plecami, ratusz został przeniesiony nad rzekę, a pośrodku rynku ustawiono ogromną karuzelę. Szkoły nie miały dachów, tylko doczepione kolorowe balony, a skradzione dachy pływały do góry nogami po stawach niczym przewrócone na plecy żuki. W mieście nie było nikogo. Poza trzema kobietami, które wydały mu się znajome. Zwłaszcza ta najmłodsza. Ruda, miedziana, błyszcząca, w czerwonej sukience, ze świecidełkami w oczach.

Kiedy się obudził, słońce padało mu na twarz, wkradało się pod powieki, tak jakby chciało wymazać senne obrazy. Ale i tak udało mu się sporo zapamiętać.

Pamięć.

Wspomnienia.

Retrospekcja.

Echo.

*Dobrze ten schował, kto schował w pamięci<sup>4</sup>.*

---

<sup>4</sup> Dante Alighieri, [za:] *Leksykon złotych myśli*, wybór: Krzysztof Nowak, Warszawa 1998.

Kto to powiedział? Ktoś czy on sam?

Woda zaczęła go kłuć, szczypać, zupełnie jakby nagle wypełniła się drobnymi igiełkami. Wyciągnął stopy, wytarł je o skarpetki. Czy jest głodny? Zapatrzył się na gołębia, a gołąb popatrzył bezmyślnie na niego.



Momo przysnęła o piątej nad ranem, ale kiedy tylko senny dym zaczął nabierać kolorów i coraz wyraźniejszych kształtów, kiedy zaczął wlewać się w postaci, drzewa i budynki, kiedy zaczął

szeptać wreszcie, zerwała się z łóżka i pobiegła na oślep w stronę łazienki.

Żadnych snów.

Żadnych wskazówek.

Zimna woda.

Pati spała razem z Rebeką w salonie i obie pochrapywały wyjątkowo harmonijnie. Trudno było określić, która akompaniowała której, ale razem brzmiały spójnie. Momo nakryła więc do stołu. Pokroiła rzodkiewkę i dodała ją do twarożku. Ugotowała kilka jajek na twardo, a potem zrobiła z nich łódki. Kadłuby jajkowe, żagle serowe. I sternik z kropli keczupu. Popłynął na liściu sałaty w stronę wyspy chlebowej. Po chwili dołączyły do niego białe myszki. Z oczami z pieprzu, ogonem ze szczypiorku. Oraz sowa z chleba tostowego siedząca pod drzewem z marchewki i ogórka. Momo z coraz większą zawziętością tworzyła kolejne kompozycje, a kiedy Rebeka i Pati stanęły przy stole, nie było na nim niczego, co przypominało normalne jedzenie.

– Wąchałaś coś? – spytała ciotka.

Momo tylko ziewnęła, ale natychmiast się otrząsnęła i poszczypała w policzki.

– Nie, ale pójdę do Mili, może ma jakieś zioła przepędzające senność.

– Kim, u diabła, jest Milla?

– Prowadzi małą piekarnię, tutaj niedaleko. Chodzę tam czasem na rogaliki i świeżą kawę.

Rebeka pokręciła głową.

– Nigdy nie słyszałam.

– Naprzeciwno szewca...

– Możliwe. Do szewca też nie chodzę. Lubię, jak psują mi się buty, bo wtedy po prostu kupuję nowe. Nie lubię tylko, kiedy psują mi się zęby. Nowe to paskudny wydatek, a reperowanie starych boli, jakbym dupę w żar wsadziła. Jemy? – Zatarła ręce.

– A Ksawery? – uśmiechnęła się Pati.

– A! No tak. Kusawery od kulania śląskich klusek i nie, nie będę wam teraz wyjaśniać, co miałam na myśli, bo robi to sam. Zaprosiłam go na śniadanie, ale to już chyba mówiłam. Chwila, na jutro, bo dzisiaj wyglądamy jak zombie. Gorzej. Jak stare zombie wymoczone w garze z żurem.

Grudzień postanowił odrobinę przyspieszyć. Wigilia zbliżała się wielkimi krokami i ludzie również przemieszczali się coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo. Co roku ten sam rytuał. Obietnice, że tym razem będzie inaczej, że kurz zostanie starty wcześniej, a okna przejrzą już w listopadzie. Że mak zostanie ukręcony domową metodą, nikt nie kupi go w puszcze wraz z jej metalicznym posmakiem, a pierogi, ulepione z początkiem miesiąca, zasną spokojnie na kilkanaście dni w zamrażalniku.

Nic z tych rzeczy.

Obrót puszek z masą makową jak zwykle był imponujący, okna otworzyły się dopiero dzisiaj, być może dlatego, że po gwieździstej nocy przypłynęło słońce, a temperatura podskoczyła do dwóch stopni na plusie. Woda nie zamarzała na szybach, płyn dobrze się rozprowadzał. Jeszcze tylko te cholerne pierogi, ale najwyżej zrobi się je w Wigilię rano.

Miasto było grudniowe, pogwizdywało, sprzedawało choinki w kolorze zgaszonej zieleni, nic dziwnego, skoro martwej. I tylko choinki Momo były pełne życia, drugiego życia, po przejściach, a jednak jakże pełnego nadziei. Drzewko ze starych książek, których nikt już nie

chciał czytać, które straciły część kartek i zapach farby drukarskiej. Choinka z kory. Z zardzewiałych puszek, spryskanych zielonym sprejem. Z zasuszonych plasterków pomarańczy, naklejonych na tekturowy stożek.

Momo nie czuła zmęczenia, bo nie miała na nie czasu. Pakowała, ozdabiała, doradzała i dorzucała przyjemny, świąteczny uśmiech. Bo nagle ją oświeciło. Kiedy tylko miną święta, kiedy zgasną kolorowe lampki, a nijaki styczeń nie będzie nikogo cieszył, spróbuje odszukać Perkoza. I poprosi o pomoc Seweryna, bo skoro jego ojciec spotkał kiedyś jej ojca, to znaczy, że to nie mógł być tylko przypadek. Momo była pełna optymizmu, który ją samą odrobinę peszył. Nie wiedziała, gdzie jest Perkoz, nie miała pojęcia, gdzie go szukać, ale czuła, że jest bliżej niż myśli.

Fuga.

Ten chłopak na akordeonie też zagrał fugę. Tam też temat ciągle „uciekał”, przenosił się z głosu na głos. Najwyższa, najbardziej kunsztowna forma muzyki polifonicznej. Najdziwniejsza odmiana amnezji. Ucieczka od samego siebie. Popatrzyła leniwie na przechodzących ludzi, na ich ruchy, na to, jak szurali nogami, jak zaczęli unosić się w powietrzu, wirować niczym płatki śniegu, tańczyć na wietrze, trzymając się za ręce. Zobaczyła, jak ptaki osiadają na ziemi, jak wyrastają im nogi, a one nakładają na nie buty i zachwycone kroczą po ulicy.

„To przecież niemożliwe” – pomyślała jeszcze, nie mając zielonego pojęcia, że w środku dnia, o godzinie piętnastej zero osiem, na oczach trójki osób kupujących oraz Seweryna, który właśnie wracał z pracy, zahaczając całym sobą o galerię, wślizgnęła się w...

## Sen numer dwanaście

*Jadę pociągiem. Chwileczkę, ja nie lubię pociągów, a to jest mój sen. Potrafię go zmienić, potrafię sama zdecydować, jakim środkiem transportu się przemieszczę.*

*Lecę samolotem.*

*Nigdy nie leciałam, więc trochę się boję, ale ponieważ jest to tylko sen, wiem, że nic mi się nie stanie. Jakaś kobieta w granatowej sukience podaje mi szklankę soku malinowego.*

*To niemożliwe, żeby tak pięknie smakował. To dobre słowo. Pięknie. Piękny, wyrazisty, soczysty i dojrzały smak lata.*

*– Dokąd lecimy? – pytam.*

*– Ma pani napisane na bilecie – dziwi się kobieta, więc tylko się uśmiecham i zerkam na bilet.*

*Nic nie rozumiem. Zachybotano nami odrobinę, sok rozlał się na napisy. Czy to jest na pewno sok? Czerwony jak krew.*

*– Łądujemy – mówi kobieta i każe mi zapiąć pasy. Jej twarz nagle nie ma oczu, nosa, ust. Jest płamą, która pulsuje. Boję się.*

*Nie mam ze sobą żadnej walizki, a to chyba niedobrze. A jeśli ją zgubiłam? Wiedziałam, że podróżowanie to nie jest dobry pomysł, że na pewno wydarzy się coś, co wytrąci mnie z równowagi. Biorę kilka głębokich wdechów.*

*Gdzie ja jestem? Dokąd leciał ten samolot?*

*Nie ma już lotniska, nie ma terminalu, nie ma taśmy z walizkami. I nie ma kobiety bez twarzy.*

*– Czy mogę jakoś pomóc? – odwracam uradowaną twarz w stronę, skąd dobiega głos. Znam go. Ciepły, aksamitny. Słońce świeci mi prosto w twarz, więc mrużę oczy i tylko w przebłyskach dostrzegam miedziane włosy i zielony... tak, zielony sweter!*

*Znalazłam cię!*

*Chcę wpaść w te ramiona, ale muszę zasłonić oczy, bo słońce atakuje mnie swoimi promieniami. I wtedy wszystko znika, a ja wpadam do łodzi.*

*Zaraz, to nie jest Łódź!*

*To... gondola!*

*Siedzi w niej mnóstwo osób. Kobieta z muzeum, starsza pani, która przemieniła lato w zimę, Wolfgang Amadeusz Mozart, Friedrich Kekulé von Stradonitz, Elias Howe. Moja mama trzymająca paletę z wszystkimi kolorami świata, kobieta żonglująca pomponami, nauczycielka z plikiem testów, Ormuzd i Aryman, zegarmistrz, stewardesa, która znowu ma normalną twarz.*

*Gdzie ja jestem?*

*– W Wenecji – odpowiadają chórem i zakładają kolorowe maski na twarze.*

*– Gdzie ja jestem? – szepczę.*

*I dlaczego właśnie w Wenecji?*



## Rozdział 29

### WENECJA

Śniadanie nie smakowało Momo, mimo że Rebeka zrobiła genialną jajecznicę z dodatkiem świeżego pesto, które przyniósł Ksawery. Przyproceedził też Lenę.

– Powiedziałem jej, że wybieram się do was, więc dzisiaj rano czekała już pod klatką – wyjaśnił natychmiast, kiedy Rebeka otworzyła im drzwi, i od razu zorientował się, że to żaden problem.

– I dobrze. W końcu to dziecko nas niejako połączyło, choć nie obiecuj sobie zbyt wiele – mruknęła tylko i zerknęła na mały słoiczek, który trzymał w dłoni.

– Pesto ziołowe – oznajmił z dumą. – Sam nie robiłem, ale wiedziałem, gdzie kupić. Domowe, sprawdzone, bez konserwantów i gumy ksantanowej, która podobno robi furorę we wszystkich niemal produktach.

– Dawaj, dorzucę do jajek i kulinarnie oszalejemy. I nie komentujcie naszego ziewania. Nie spałyśmy wczorajszej nocy, bo były ważniejsze rzeczy.

Momo chciała przytaknąć, ale zamiast tego ziewnęła jak na zamówienie.

Chciało jej się spać. Chciało jej się cieszyć, że drgnęła sprawa ojca i martwić, że stanęła w martwym punkcie. Chciała podziękować Sewerynowi, że ma ojca Saturnina, który jest neurologiem, oraz wyściskać Ksawerego, że miał zdjęcie Perkoza. Chciała podziękować Sewerynowi raz jeszcze za to, że ją wczoraj zastąpił, wytłumaczył klientom, że spadł jej cukier, i sam sprzedał kilka choinek. I chciała zapomnieć o śnie, który jednak jej się wyśnił, chociaż próbowała go oszukać. Dopadł ją w najmniej oczekiwanym momencie.

W ogóle nie ma takiej możliwości, żeby pojechała do Wenecji. W ogóle nie ma opcji, żeby wsiadła do samolotu. Żeby podróżowała sama i sama spacerowała po mieście, którego nie zna.

– Do Wenecji można się dostać tylko samolotem, prawda? – spytała właśnie, choć wcale nie chciała zadać tego pytania. Ale pofrunęło bez uprzedzenia.

Wszyscy spojrzeli na nią odrobinę zdumieni, przeżuwając jajecznicę z pesto, bez konserwantów i gumy ksantanowej.

– No chyba najszybciej – zauważyła Rebeka. – Wsiadasz na Marco Polo i stamtąd tramwajem wodnym już do samego starego miasta. Tylko nie bardzo rozumiem, skąd to pytanie. Wybierasz się do Wenecji?

– Tak. Nie.

– To dość sprzeczne odpowiedzi – słusznie zauważyła ciotka. – Może chociaż rozłóż to procentowo? Wiesz, trzydzieści procent dla „tak”, siedemdziesiąt dla „nie”. Albo odwrotnie.

Tak.

Nie.

Momo zamknęła oczy.

– Wenecja jest czad. Byłam z rodzicami w zeszłym roku i chociaż udawałam znudzoną, to bardzo mi się podobało – wtrąciła Lena. – I płynęłam gondolą, i bardzo się wstydziłam, jak ten facet dla nas śpiewał. Obciach na maksa.

– Jaki facet? – spytała Pati.

– No, gondolier chyba. Wył jak opętany, a rodzice wznosili oczy do nieba i wyglądali na poruszonych. Na koniec wyskoczyli z osiemdziesięciu euro, choć moim zdaniem gość nam powinien dopłacić. A teraz zmienię temat: czy ty i Rebeka zostaniecie parą? – Spojrzała pytająco na Ksawerego, którego policzki przybrały kolor dojrzałej piwonii i to nie różowej.

– To znaczy... Otóż... – zaplątał się nieco.

– Być może, ale bez szczoteczki do zębów – wyjaśniła natomiast Rebeka.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie wolno mi się zadomowić. – Ksawery zrozumiał od razu, ale i tak się ucieszył. Furtka została uchylona, a teraz to już od niego zależy, jak szeroko uda mu się ją otworzyć.

Pati ziewnęła rozdzierająco.

– Momo, ja się położę u ciebie na chwilę, co? Tylko zadzwonię do Wincentego, że przyjdę później.

Momo skinęła głową i wstała od stołu.

– Muszę wyjść.

– Do Wenecji? – Rebeka puściła do niej oko.

– Nie... Ale gdybym jednak wyjechała, to nie mogę na razie powiedzieć dlaczego.

– Dlaczego? – spytali od razu wszyscy zgodnym, choć wielogłosowym chórem.

– Skoro nie mogę powiedzieć dlaczego, to dlaczego dlaczego też nie mogę – wyjaśniła im Momo, więc tylko skinęli głowami na znak, że nic nie rozumieją, ale ponieważ część była niewyspana, część szczęśliwa, że ma szansę na związek, choć bez szczoteczki do zębów, a część dopiero dojrzewała, o nic więcej już nie pytali. Czasem trzeba urwać w połowie, bo rozmowa może jeszcze bardziej wszystko skomplikować i postawić dodatkowe znaki zapytania.

A Momo poszła do Mili.

– Nie masz wyjścia. Musisz lecieć – powiedziała starsza pani i uśmiechnęła się do dziewczyny, poprawiając na ramionach czekoladową chustę w złote brokatowe gwiazdeczki. Świąteczną bardzo i bardzo apetyczną.

– Nie ma mowy.

– Daj spokój. Za dwie godziny będziesz na miejscu. No, może za trzy, jeśli z przesiadką.

Momo tylko się roześmiała. Przesiadka. To już zabrzmiało jak wyrok.

– Nie mogę tam polecieć.

Mila spojrzała na nią pytająco.

– Bo boisz się podróżować?

– Nie. Bo wiem, że go tam spotkam.

– Mężczyznę w zielonym swetrze? Ale przecież od samego początku o to w tym wszystkim chodzi. Przecież te sny prowadzą cię właśnie do niego.

Momo pokręciła głową.

– Wiem, ale ja lubię Seweryna – wyjaśniła, teoretycznie tylko bez związku. Na szczęście Mila od razu zrozumiała.

– Naprawdę go lubię i nie wiem, czy chcę spotykać kogoś innego. Nie dopuszczam wprawdzie do siebie myśli, że mogłabym być z Sewerynem, bo w głowie ciągle mam zielony sweter, ale

teraz to już się trochę pogubiłam – przyznała szczerze Momo. – Nie chcę musieć wybierać.

– Może nie będziesz musiała – powiedziała spokojnie Mila.

– Bo to, na co czekam i co mi się śni, bardzo mnie rozczaruje? – spytała Momo, ziewając rozzdzierająco.

– Może właśnie chodzi o to, żeby się przekonać. Czego chcesz, czego szukasz, dokąd chcesz pójść. Może musisz polecieć tam po to, żeby wybrać Seweryna. Momo, czy ty się zakochałaś?

A jeśli tak?

A może nie?

Seweryn miał jedną zaletę, o którą sam nigdy by się nie podejrzewał. Potrafił wszystkie te szorstkie dni i chropowate momenty jakoś tak odruchowo wygładzić, zmiękczyć. Spowodować, że wracał jej dobry humor, a żołądek nie był już ściśnięty. Momo czuła się przy nim swobodnie, a kiedy podczas koncertu przyznał cicho, że jest nosem, zachwyił ją jeszcze bardziej. Są mężczyźni biznesmeni. Są politycy, szefowie wielkich korporacji. Są nauczyciele i fryzjerzy. Ale rzadko kiedy spotyka się mężczyznę nosa, który jest szczególnie wrażliwy na otaczające go zapachy, a przez to na wszystko inne również. Który nie mówi o najnowszym modelu samochodu, tylko o pierwszym zbiorze receptur sztuki perfumeryjnej z tysiąc pięćset pięćdziesiątego piątego roku. Seweryn nie miał w sobie nic z wilka. Był raczej spokojnym psem, którego miało się ochotę pogłaskać. I który rozgrzewał stopy. A ponieważ każda kobieta ma zimne stopy, zwłaszcza w łóżku, jego wartość automatycznie rosła. Przy Sewerynie Momo troszeczkę gubiła własne kontury, własne granice i dopuszczała obecność drugiej osoby. Tak jakby robiła jej miejsce. Nie umiała jeszcze odpowiedzieć na pytanie, czy jest zakochana. Z jednej strony chętnie poszłaby tą drogą, w końcu świat bazuje na łączeniu się w pary, z drugiej – coś ją blokowało. Albo ktoś.

Czy sny przepowiadają przyszłość? Czy tylko pokazują pewne pragnienia i wyolbrzymiają najskrytsze myśli po to, by móc im się przyjrzeć z bliska? A jeśli się mylą? A jeśli echo podświadomości odbija nie ten obraz?

– Jadę do Wenecji – powiedziała nagle i spojrzała odważnie na Milę. – Będziesz tu w Wigilię?

– Nie – pokręciła głową starsza pani. – I później też już nie.

– Jak to? – zdumiała się Momo.

Mila tylko się uśmiechnęła.

– Kiedy wrócisz, nie będzie już w tym miejscu piekarni. Muszę wyjechać, mam nowe zlecenia.

– Jakie zlecenia? Na bułki?

– Czasem na bułki, czasem na listy, czasem na zupełnie coś innego.

– Mila...

– A czasem jest tak, że nie wszystko trzeba rozumieć. Co oczywiście nie znaczy, że już nigdy się nie spotkamy. Tylko przez jakiś czas będziemy się mijać.

Momo patrzyła na nią z coraz większymi znakami zapytania w oczach, rozumiejąc jednocześnie, że nie zawsze dostaje się odpowiedź. Układanka w końcu się sama ułoży, a brakujący element trafi na swoje miejsce.

– Nie odwieziesz mnie na lotnisko? – spytała jeszcze.

– Musisz sama.

Godzinę później Momo weszła do biura podróży z nadzieją, że na wszystko jest za późno, a loty do Wenecji właśnie odwołano.

Do Wigilii zostało kilka dni, nic dziwnego zatem, że zarówno Pati, jak i Rebeka nie do końca potrafiły pojąć tę dość zaskakującą i spontaniczną decyzję Momo.

I patrzyły na bilet w jej rękach, zupełnie jakby trzymała w nich pisklę pterodaktyla.

– Czy nie mogłabyś podróżować w okresie bardziej sprzyjającym? – spytała w końcu zdumiona Pati.

– To znaczy?

– Na przykład w styczniu, kiedy nikt niczego od ciebie nie oczekuje. Styczeń jest spokojny, wszyscy już zapomnieli o świętach, pogoda się stabilizuje, emocje również, więc można spokojnie gdzieś wyjechać. Ale teraz?

Rebeka tylko machnęła ręką.

– Daj jej spokój, przecież to jakieś absurdalne uleganie stereotypom. A kto powiedział, że przed świętami trzeba siedzieć w domu i duchowo się nastrajać? I nucić te kolędy wylulane do granic Betlejem. Ja bym też wołała do Wenecji. Zwłaszcza w grudniu. Brodski przez siedemnaście lat przyjeżdżał do tego miasta właśnie zimą, ponieważ fascynowała go pora roku, która lekceważy kolory nawet w takim kraju jak Włochy. Chyba polecę z tobą. A nie, jednak nie mogę, ktoś musi zająć się galerią. – Spojrzała znacząco na Momo.

– Serio? Mogłabyś?

Ciotka skinęła głową.

– Od jutra mam w szkole wolne, poza tym ciągle walczę z grypą.

– Serio? – zdziwiła się Pati.

– Nie – wyjaśniła ciotka. – Oszukuję szkolnictwo polskie i własną dyrektorke. Ściemniam bez wstydu i poczucia winy. Czasem tak trzeba, chociażby po to, by opchnąć jeszcze trochę choinek. Podpytam tego miłośnika wielorybów, czy nie mógłby mi pomóc. Facet z pewnością będzie chciał się wykazać. – Puściła oko do swojej siostrzenicy.

Chciał. Choć jego również mocno zdziwiła decyzja Momo o nagłym wyjeździe do Wenecji.

A gdyby tak...?

Z drugiej strony, obiecał pomóc w galerii.

– Zabierasz choinkę w słoiku? – spytał zdumiony, widząc, jak Momo owija papierem szklany pojemnik i zabezpiecza folią papierowe drzewko.

Zaczerwieniła się.

– Muszę ją komuś podarować.

Seweryn przełknął ślinę i poczuł zapach własnego niepewnienia. Komu? Co prawda nie liczył na szybki ślub i siódmkę rudych dzieci, ale miał cichą nadzieję, że zbliżają się właśnie w tym kierunku. A już na pewno w swoim. Komu Momo podaruje tę małą, papierową choinkę, której za nic nie chciała sprzedać?

– Dlaczego wyjeżdżasz? – zapytał dookoła, licząc na to, że odpowiedź cokolwiek mu rozjaśni w głowie.

– Chodzi o to, żeby czasem zrobić coś dziwnego, może niepotrzebnego, coś, co może będzie tylko na ułamek sekundy ważne, a jednak doda mi skrzydeł.

– No tak. – Pokiwał głową, nie rozumiejąc kompletnie nic. – Kiedy wracasz?

– W Wigilię.

Za cztery dni.

– A ta choinka to prezent? – Trudno, musiał spytać wprost.

Skinęła potakująco głową.

– Nie wiem jeszcze, czy na pewno uda mi się go dostarczyć, ale muszę spróbować.

Seweryn chciał do niej podejść i pocałować ją tak, żeby starczyło do Wigilii, ale przeraziła go wizja zepsucia wszystkiego, co do tej pory ustawił. Z patyczków, zapalek, piórek i szkła. Było to niepewne, rozedrgane i mało stabilne, a jednak konstrukcyjnie spójne, z elementem nadziei, że kiedyś uda się to wypełnić czymś bardziej trwałym niż tylko zapach Momo. Ale na pewno nie teraz i nie pocałunkiem z zaskoczenia, z doskoku, ze strachu wreszcie, że ta choinka jest dla kogoś innego. Trzeba czekać. I nie wolno polecieć za Momo do Wenecji.

Choć z drugiej strony nikt nie może mu przecież tego zabronić.

Momo była zdumiona, że udało jej się kupić bilet, znaleźć hotel („Niedaleko placu świętego Marka, będzie pani zachwycona” – pani z biura podróży prawie podskoczyła na krzesło), że starczyło jej na to wszystko pieniędzy i że właśnie się pakuje. Do walizki pożyczonej od ciotki. Że sama pojechała taksówką na lotnisko, a potem spocona, zielona, mokra i wewnątrz rozdygotana znalazła swój terminal i swój *gate*. Że wszystko się zgadzało, dane z dowodu osobistego z danymi na bilecie, że bagaż podręczny miał odpowiednie wymiary i wreszcie, że usiadła na miejscu 14E, między pewną panią i pewnym panem, którzy również lecieli do Wenecji.

Podróżowanie jest wyzwaniem. Zmusza człowieka do zaufania obcym ludziom, obcym sprzętom, obcym miejscom do mieszkania. Nic nie jest takie, jak sobie wyobrażamy, a wewnętrzna równowaga zostaje gwałtownie zachwiana. Zarazem mówi się, że podróżowanie jest magiczne i że wraca się z niego kompletnie odmienionym. Momo nie lubiła wyjazdów na wakacje, być może właśnie dlatego, że towarzyszyło jej i wewnętrzne rozchwianie, i euforia Perkoza, który zachwycał się dosłownie wszystkim, obiecywał jednorożce, a potem nie było nawet osła.

Sarbinowo. Niewielka miejscowość nad morzem, w której pachniało smażoną rybą, lodami Pingwin oraz goframi z jagodami i bitą śmietaną. Pierwszy dzień tak pachniał, a potem wszystko się pomieszało. Perkoz zniknął na całe dni, wędrował rzekomo po plażach w poszukiwaniu bursztynów, ale przynosił tylko muszelki, różowe i czasem popękane, i nie miał nagle ochoty ani na gofra, ani na rybę. Pati złościła się, czasem wzruszała ramionami, czasem nawet płakała, choć w tajemnicy, i obiecywała, że jutro będzie cudowny dzień. I czasem był, czasem tylko pół dnia było, a potem skracali wyjazd, bo jakoś trudno im było się dogadać. Momo zaś stała między tymi swoimi nadmorskimi rodzicami i bardzo prosiła, żeby już wrócili do domu, tym bardziej, że ich kwatera cuchnęła zupą mleczną. Paskudnie przypaloną. I wybudowali tylko jeden zamek z piasku, choć miało powstać całe miasto.

Podróżowanie jest zaspokajaniem ciekawości. Momo nie rozumiała siebie samej, a jednak czuła, że musi spotkać mężczyznę ze swoich snów. Tylko wtedy mogła się od niego uwolnić i jednocześnie wyzwolić samą siebie. Umysł jest spokojny, gdy dostaje to, czego szuka, za czym goni. Z jednej strony Momo nie chciała ulegać potrzebie nazywania rzeczy po imieniu, nadawaniu wszystkiemu sensu, z drugiej coś ją pchało w kierunku sennych znaków zapytania. Do tej pory nie odczuwała żadnej potrzeby zmiany, ale od kilku tygodni żyła przecież w światach równoległych. To, kim była i co miała, przestało jej wystarczać. Do Wenecji leciała głównie po to, by przekonać się, że mężczyzna ze snów jest jej do czegoś potrzebny. Chciała być z Sewerynem, choć jeszcze nie wypowiedziała tego życzenia głośno. Bo przecież chciała też tego drugiego, kogoś kto w jakimś sensie był jej przeznaczony. Paradoks własnych pragnień. Człowiek zawsze wierzy, że istnieje jakieś lepsze miejsce niż to, w którym jest teraz. I że czeka na niego ktoś doskonały.

Skuliła się w sobie i próbowała nie patrzeć ani na mężczyznę po lewej, ani na kobietę

po prawej. Wstydziła się zamówić kawę, więc kiedy dostała jedną za darmo, bo każdemu z pasażerów przysługiwała, odetchnęła z ulgą, ale wypić gorką, bo bała się, że mieszając śmietankę w proszku, niechcący kogoś obleje. Start ją zaskoczył, był dość płynny i nie wstrząsnął nią tak bardzo, jak przypuszczała. Moment oderwania się od ziemi był krótki, chociaż dla kogoś, kto pierwszy raz leciał samolotem – dość podniosły. Dosłownie i w przenośni. Momo odczuła nawet coś w rodzaju podniecenia, że oto jest w górze, że leci, że wprawdzie nie jest w stanie niczego kontrolować, ale ma dziwne przekonanie, że wszystko skończy się dobrze. I że wylądują.

Poluzowała wreszcie napięte mięśnie, a nawet odważyła się zerknąć przez ramię do książki, którą czytała kobieta.

O Boże. *Hygge*.

*Używane rzeczy mają już jakąś historię. Wymyj pusty słoik i zmień w szklankę albo wazon na kwiaty, zerwane w drodze powrotnej z pracy. Wykorzystaj skrzynkę po jabłkach jako pojemnik na książki albo stolik, a stare rury przerób na wieszak do ubrania<sup>5</sup>.*

---

<sup>5</sup> Marie Tourell Søderberg: *Hygge. Duńska sztuka szczęścia*, przeł. Olga Siara, Kraków 2016.

Zachichotała.

Okazuje się więc, że to *hygge* od dawna w niej siedzi. Jest przecież specjalistką od *hygge*'owego recyklingu, choć do tej pory nieświadomą. Wypiła ostatni łyk kawy, wzięła kilka głębokich wdechów, a potem wylądowała wprawdzie głośno i z lekkim szarpnięciem, ale jednak bezpiecznie.

Pierwszy etap podróży miała już za sobą.

W tym samym czasie Seweryn kliknął na polecenie „kup bilet”, a potem jeszcze szybciej wykonał przelew.

## Rozdział 30

### MĘŻCZYZNA W ZIELONYM SWETRZE

Miasto najpierw westchnęło chłodnym powietrzem, a potem z nieba zaczęły padać drobne płatki śniegu. Osiadały na moment na domach, dachach, na *vaporetti*, mostach, postawionych kołnierzach, otwartych czaszach parasoli. Były dość ulotne, delikatne i szybko znikwały, jakby zawstydzone swoją urodą, ale Momo i tak zdążyła nałapać kilka na wełnianą rękawiczkę. Czuła, jak rozpiera ją wewnętrzna energia. Wenecja była piękna. Była piękna pieszo, wśród wodnych zaułków, była piękna z tramwaju wodnego i z gondoli, do której Momo po prostu musiała wsiąść. Była piękna ze schodów, z mostów i maleńkich uliczek. Z okna hotelowego pokoju również.

Locanda Silva. Maleńki hotelik, tuż nad kanałem, z maleńkim pokoikiem, w którym pachniało tapetą. Pojedyncze łóżko, drewniany stolicek, na którym stała butelka wody. Łazienka z kremowymi kafelkami, z miniaturową umywalką i wanną, w której mogła tylko usiąść. Nalała gorącej wody, rozpuściła kawałek mydła i usiadła w pachnącej pianie, przynajmniej częściowo zmywając z siebie niepokój, zapach samolotu i wewnętrzne napięcie.

Kiedy wysiadła na lotnisku Marco Polo, początkowo odczuła tylko strach. Nie wiedziała, w którą stronę pójść, kogo zapytać i o co, jak dostać się do miasta. Uczepiła się kobiety czytającej *Hygge*, a kiedy ta, przyduszona dziwną obecnością Momo, jej oddechem na plecach i ciągłym akompaniamentem kroków, spojrzała na nią pytająco, dziewczyna powiedziała po prostu:

– Nie wiem, co dalej.

Kobieta najpierw powiedziała, że ma na imię Kinga, a kiedy dzięki temu Momo poczuła się odrobinę raźniej, wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do wodnego tramwaju.

– Wsiadasz niedaleko placu świętego Marka, a stamtąd jest już blisko do twojego hotelu. Pierwszy raz w Wenecji?

Pierwszy raz w świecie.

Ale udało się. Znalazła hotel, znalazła swój pokój na pierwszym piętrze, a potem znalazła restaurację *Sacro e Profano*, gdzie zamówiła marynowane *gambasy* i makaron z sepią. Jadła i nie mogła przestać. Jej żołądek był nienasycony, jej potrzeba próbowania coraz to nowych potraw – również. Włosi uśmiechali się do niej i puszczali oko, a ona cieszyła się, że jest tutaj i teraz, i chociaż nie ma pojęcia, gdzie szukać tego, który jej się przyśnił, to jednak było warto. Choćby dla *caffè alla veneziana*, z dodatkiem bitej śmietany i whisky, po której odrobinę zakręciło jej się w głowie.

Uciec z własnych granic. Przekroczyć je bez uszczerbku na duszy i z poczuciem, że tak właśnie było trzeba. Turyści już nie przerażali Momo. Było ich mnóstwo mimo pogody, mimo śnieżynek i chłodu, mimo przedświątecznych prac domowych, choć może to przed nimi właśnie

uciekali. Czują się tu dobrze. Anonimowo, bezpiecznie, smacznie. Wenecja pachniała wodą, pachniała jedzeniem, pachniała wiatrem. A Momo wychodziła jej naprzeciw.

Spała jak zabita. Bez snu, bez marzeń, bez jakichkolwiek obrazów pod powiekami. Następnego dnia dostała w prezencie niebieskie niebo z zimowym, nieco rozproszonym światłem, granatowe fale laguny z resztkami mgły i przyjemne słońce, które rozgrzewało policzki. Wybrała się na wyspę San Michele, bo tak poleciła jej kobieta z recepcji.

– Jedź tam.

Groby Brodskiego, Strawińskiego, Schlumbergera. I było pusto, bo turyści woleli wyspę Murano z kolorowym szkłem albo Bazylikę, albo Caffè Florian, najstarszą w mieście, albo lody na Campo Santa Margherita. Bo lody są tutaj zawsze. Włóczyła się po alejkach, siadała na kamiennych ławkach, wystawiała twarz do słońca i rozprostowywała własne wewnętrzne zagniecenia.

Wieczór zatopił się we mgle, chowając w niej budynki, mosty i nieliczne drzewa. Woda zastygła pod tą mleczną kołdrą i tylko od czasu do czasu słychać było jej delikatnie chlupotanie o burty zacumowanych gondoli. Momo jadła zapiekane karczochy z gęstym, pomidorowym sosem. Wypiła dwa kieliszki czerwonego wina i poczuła, jak w jej głowie rozbrzmiewa muzyka i jak zlewa się z tym subtelnym pluskaniem wody. Momo nie chciała iść spać, tylko zanurzyć się w tę mgłę i zobaczyć, czy jest ciepła, czy zimna, czy chroni, czy raczej odpycha.

Jeszcze dwa dni.

Dlaczego jest tak absolutnie pewna, że tutaj właśnie znajdzie odpowiedź na wszystkie swoje sny? A jeśli to tylko złośliwe podszepty wyobraźni, zabawa z własną fantazją? A jeśli dała się oszukać?

– Czy podać coś jeszcze?

Tak.

Jeszcze *stoccafisso*, solonego i suszonego dorsza przyrządzonego z mlekiem i ziołami, parmezanem i pietruszką, serwowanego na grzance. I może jeszcze jeden kieliszek wina? A potem wejdzie w mgłę.

Piątek rano.

Wenecja śpi jeszcze, ale Momo już otworzyła okno, żeby popatrzeć na wodę, na kanał, na maleńki mostek i wnękę naprzeciwko hotelu, w której ktoś ustawił gigantyczny kosz ze sztucznymi różami. Żeby wziąć głęboki oddech i wyjąć wreszcie z walizki owinięty papierem słoik z zieloną, papierową choinką. Weźmie go dzisiaj ze sobą.

Na placykach ustawiono stoliki z parasolami, nie będzie dzisiaj śniegu, znowu ma świecić słońce, a jeśli człowiek dodatkowo otuli się ciepłym kocem, może tak siedzieć nawet i pół dnia. Parasole stoją w szeregu, czekają na otwarcie. Krzesła są plastikowe, dokładnie wytarte z mgły, a na ich oparciach wiszą czekoladowe koce. Żaluzje podjeżdżają w górę, gasną latarnie, włączają się światła w sklepach. W Wenecji nie trzeba się spieszyć, można sączyć dzień i można sączyć czas. Zastygnąć między turystami, którzy są szybsi od nas i którzy muszą coś odhaczyć na własnej mapie. Znieruchomieć na moment i popatrzeć na niebo, którego niebieskość nic sobie nie robi z pór roku. A jednak Brodski nie do końca miał rację. Być może zima jest obojętna na kolory i ich urok, ale nie tutaj. Bo kiedy słońce odsuwa chmury i pada światło, miasto się mieni, błyszczy i skrzy. Jest złoto, są brązy i miedzie, jest niebieskość w każdej postaci, od błękitu po granat, są odcienie szarości i jest czerwona sukienka, którą Momo dzisiaj założyła. Jest turkusowe krzesło, na którym siedzi, i pomarańczowa filiżanka, z której pije kawę. Są rdzawożółte *frittelle di zucca*, dyniowe placki z jogurtem. Jest zielona choinka pod szkłem,



schowana w czarnej torbie z zamszu. I jest srebrzysty gołąb na Campo San Polo, który przysiadł na oparciu krzesła i w którego pióra wkraść się odcień kobaltu. To nie jest bezbarwna zima i Momo aż sama sobie się dziwi, że widzi tyle kolorów.

Pół godziny później wyciąga komórkę i dzwoni do Rebeki.

– Byłaś tam?

Słyszysz, jak ciotka wzdycha i drapie się po głowie.

– Byłam. I powiem ci, Momo, że coś musiałaś pokręcić. Owszem, jest tam punkt naprawy obuwia, ale z pewnością nie ma żadnej piekarni. Poza tym szewc mówi, że wprawdzie jest stary, ale nie ślepy. I że chyba pomyliłam go z kretem. Więc tłumaczę mu, że może po prostu nie czuł potrzeby wypicia kawy albo nie lubi świeżych bułek i dlatego jakoś mu umknęła ta piekarenka naprzeciwko. Powiedział, że każdy lubi świeże bułki.

– Naprawdę nic tam nie ma? Pusto?

– No, jest stolik i dwa krzesła, i jakaś lada, ale wszystko zakurzone, zupełnie jakby od lat nikt tam nie zaglądał. I doniczki na parapecie, co akurat jest trochę dziwne, bo ciągle rosną w nich zioła. I wyglądają wyjątkowo żywo na tle całej tej nieświeżej reszty. Nie wiem, jakie rogaliki ty tu jadłaś, ale musiały pamiętać czasy faraonów.

Zioła.

– Bazylia? Chmiel?

– Co bazylia? I co chmiel?

– Były tam?

– Nie wiem, ale możliwe. Na pewno było zielono na parapecie.

Więc jednak to się jej nie śniło.

– A co u ciebie? – spytała Rebeka. – Wenecja magiczna, co?

– Jest pięknie. Znalazłam butik z biżuterią zrobioną ze starych uszczerek i sprężynek. Zachwyciłam się i stałam przed nim godzinę, aż wreszcie sprzedawca wyszedł na zewnątrz i powiedział, że w środku jest cieplej.

Ciotka roześmiała się.

– A tobie jest cieplej?

– Bardzo. Bardzo cieplej – uśmiechnęła się Momo i połknęła całkiem spory zapas świeżego powietrza. Zamknęła oczy. Miła jej się nie przyśniła i małeńka piekarenka z kawą o posmaku jagód również nie. I chociaż starsza pani zniknęła, Momo wiedziała, że na razie nie ma potrzeby jej szukać. A kiedyś i tak się spotkają.

Popołudnie i wieczór minęły jakoś tak miękko, przechodząc łagodnie w początek nocy.

Momo nie chciało się spać. Owinięta ciepłym swetrem, na który narzuciła puchową kurtkę, włożyła się po mieście, które nie spało razem z nią. Turycy zatrzymywali się na mostach i patrzyli przed siebie, zupełnie jakby to patrzeć tu i teraz było inne, bardziej jednoznaczne, zrozumiałe i potrzebne. Woda przykryta coraz ciemniejszym granatem odbijała nocne latarnie, światła hoteli i przemykające po niej gondole, podświetlane małymi latarenkami. Na jednym z licznych małych placyków usiadł jakiś mężczyzna i zaczął grać na akordeonie. Momo natychmiast przypomniała sobie koncert i ciepłe dłonie Seweryna, i poczuła delikatne ukłucie, że to nie jego tu spotka, że ktoś inny na nią czeka i chociaż go nie zna, wie, że jakoś tam są sobie przeznaczeni. To pewnie głupie ulegać snom i wierzyć w to, co nam pokazują, a jednak Momo wiedziała, że czasem warto posłuchać instynktu. Podobno istnieje realny związek między naszymi myślami a prawami natury. Mózg buduje synchroniczne tunele, by zdarzyło się dokładnie to, czego podświadomie oczekujemy. To dlatego na naszej drodze stają tacy, a nie inni

ludzie. To dlatego wybieramy miejsca, które odegrają w naszym życiu jakąś istotną rolę. Przypadkowość jest zaplanowana, tak jak zaplanowane jest spotkanie Momo z kimś, kto jej się przyśnił. Niektórzy muszą się poznać, by pójść dalej razem, inni poznają się dopiero w trakcie wspólnej podróży.

Spojrzała na zegarek.

Wigilia Wigilii. Dwudziesty trzeci grudnia stał się faktem, potwierdzonym ostrym powietrzem i zapachem pieczonych warzyw.

Momo pociągnęła nosem.

Pachniało cudownie. Ale kto w nocy cokolwiek jeszcze smaży, piecze, gotuje? Skręciła w prawo, potem w lewo, minęła trzy maleńkie mosty i jeden większy. Minęła uliczki z butikami i znowu skręciła w lewo.

Zerknęła na nazwy ulic. Corte Specchiera i Calle del Forner. A między nimi *osteria*, pachnąca tak intensywnie, że nie sposób było do niej nie wejść.

Al Portego. Restauracja, bar, knajpa? Nocne miejsce spotkań? Momo zerknęła na ladę. Miniaturowe kanapki z najróżniejszymi pastami. Marynowane sardynki, opiekane karczochy, cukinie w zalewie, ośmiorniczki z dodatkiem mango. Bardziej w głębi lokalu stały drewniane ławy.

– Tu przy barze zjesz *antipasti*, w środku zamawiasz do stołu – wyjaśnił jej potężny Włoch, szatkujący czosnek i uśmiech na twarzy.

Weszła.

Było trochę ludzi, trochę szumu, mnóstwo zapachów.

Przy ostatnim stole siedział mężczyzna, odwrócony do niej plecami. Mężczyzna w zielonym swetrze. Przeznaczenie. Zaplanowana przypadkowość.

Momo poczuła, jak jakaś jej część unosi się w powietrzu, a inna przygważdża ją do ziemi. Jak traci i gubi oddech. Jak rozpada się na tysiące kawałków, po to, by po chwili wszystko wróciło na swoje miejsce. Zrobiła kilka kroków w przód. Wyjęła z torby słoik z zieloną, papierową choinką i podeszła jeszcze bliżej. Chciała dotknąć pleców mężczyzny, ale jej ręka znieruchomiała w powietrzu. Jeszcze jeden krok w przód.

I stanęła naprzeciwko niego, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. I zmusiła go tym swoim wzrokiem i krzyzącym milczeniem, żeby w końcu na nią spojrzał.

Zastygł nad talerzem zapiekanych muszli. A potem wstał i też na nią patrzył, i milcząc, krzyczał, a zdumienie pomieszane ze wzruszeniem wyrывało się do niej z gwałtownością burzy. I zupełnie nie panował nad łzami.

Momo uśmiechnęła się, a potem wyciągnęła ręce i wpadła w jego ramiona, w ten zielony sweter, który tak znajomo pachniał i tak przyjemnie łaskotał w nos.

– Momo...

– Cześć, tato...

KONIEC

## Od autorki

Chyba każdy z nas choć raz w życiu zastanawiał się, co oznacza jeden z jego snów. Każdy ukradkiem zerkał do sennika i sprawdzał znaczenie poszczególnych obrazów. Każdy z nas śni i każdy może wyśnić samego siebie. Sny są jak lustro, trzeba tylko nauczyć się je rozumieć.

*Dwanaście niedokończonych snów* jest zimową baśnią, opartą na powtarzających się snach, które śnimy najczęściej. Przygotowując się do jej pisania, czytałam różne opracowania, ale chyba najciekawsze były *Alchemia snów* Teda Andrewsa oraz *100 snów, które wszyscy mamy i co one znaczą* Iana Wallace'a. Cudowne są też rozmowy Wojciecha Eichelbergera i Tomasza Jastruna w książce *Sny, które budzą*. Warto spróbować popatrzeć na siebie właśnie od strony marzeń sennych i spróbować zrozumieć, co i jak wiele mówią o nas samych.

Dziękuję wszystkim za pomoc, wsparcie i uwagi, które zawsze udoskonalają moją pracę.

Aniu Kasparzak – to jest podziękowanie trochę na zapas, ale i tak wiem, że wyłapiesz, co najważniejsze, i znajdziesz każdą literówkę. Natalio Nowak-Lewandowska, a za ciebie trzymam kciuki!

Mirku Marku – za to, że jesteś prototypem ciotki Rebeki. Ona mówi twoim językiem i tak, jak ty, jest nauczycielką historii. Właściwie ona to ty, a ty to ona!

Lilko Fabisińska – już chyba nic nie muszę pisać, bo wszystko wiadomo. Za przyjaźń, *butter chicken*, ciążę spożywczą, w której chodziłyśmy obie trzy dni, za „miłość” do stempelków pisarskich oraz perły.

Drużyno Szpiku – poznałam was osobiście po premierze *Apteki marzeń*, ale dziękuję teraz – Ani Majewskiej, Anicie Lipko, Piciowi Stanisławskiemu, Karoli Schoener i całej reszcie za wszystko, co robicie, i za uśmiech. Można się od was sporo nauczyć! Doroto Racziewicz – jesteś kobietą niezniszczalną i zawsze piękną.

Gosi Piaseckiej – Gosik, to smutny czas w twoim życiu i pewnie najsmutniejsza Wigilia. Ale ty wiesz, że masz wokół siebie całą armię ludzi, którzy nie pozwolą ci płakać w nieskończoność! Steve wróci do ciebie w snach.

Dobrych Świąt!

Natasza Socha

Monschau, wrzesień 2017

[www.facebook.com/nataszasocha73](http://www.facebook.com/nataszasocha73)

[www.facebook.com/groups/189426934849827nataszasocha.pl](http://www.facebook.com/groups/189426934849827nataszasocha.pl)

## Spis treści

<a href="#">Karta tytułowa</a>	
<a href="#">Karta redakcyjna</a>	
<a href="#">Cytat</a>	
<a href="#">Rozdział 1 - Momo</a>	
<a href="#">Rozdział 2 - Sen numer jeden</a>	
<a href="#">Rozdział 3 - Pati</a>	
<a href="#">Rozdział 4 - Sen numer dwa</a>	
<a href="#">Rozdział 5 - Rebeka</a>	
<a href="#">Rozdział 6 - Mila</a>	
<a href="#">Rozdział 7 - Sen numer trzy</a>	
<a href="#">Rozdział 8 - Na co komu hygge?</a>	
<a href="#">Rozdział 9 - Sen numer cztery</a>	
<a href="#">Rozdział 10 - Lena</a>	
<a href="#">Rozdział 11 - Sen numer pięć</a>	
<a href="#">Rozdział 12 - Ludwik Bawarski</a>	
<a href="#">Rozdział 13 - Sen numer sześć</a>	
<a href="#">Rozdział 14 - Znam cię</a>	
<a href="#">Rozdział 15 - Druciana choinka</a>	
<a href="#">Rozdział 16 - Sen numer siedem</a>	
<a href="#">Rozdział 17 - Czerwień ma się w sobie</a>	
<a href="#">Rozdział 18 - Niemęski sernik</a>	
<a href="#">Rozdział 19 - Sen numer osiem</a>	
<a href="#">Rozdział 20 - W pawlaczu</a>	
<a href="#">Rozdział 21 - Sen numer dziewięć</a>	
<a href="#">Rozdział 22 - Matylda</a>	
<a href="#">Rozdział 23 - Sen numer dziesięć</a>	
<a href="#">Rozdział 24 - Damski szalik</a>	
<a href="#">Rozdział 25 - Ulica Północna</a>	
<a href="#">Rozdział 26 - Sen numer jedenaście</a>	
<a href="#">Rozdział 27 - Fuga</a>	
<a href="#">Rozdział 28 - Kadłuby jajkowe, żagle serowe</a>	
<a href="#">Rozdział 29 - Wenecja</a>	
<a href="#">Rozdział 30 - Mężczyzna w zielonym swetrze</a>	
<a href="#">Od autorki</a>	